

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 6/44

1951



• *«La Culture» • Revue mensuelle •*

A. KAWAŁKOWSKI — Kapitulacja czy wyzwolenie * C. MIŁOŚZ — Poezja i dialektyka * W. GOMBROWICZ — Trans-Atlantyk (2) * J. MACKIEWICZ — Ballada o nowym sterniku * E. RODITI — Listy ze Skandynawii ♦ W. IWANIUK — Gorycze nocy ♦ W. ŻBIK-KANIEWSKI — Bronię N.S.Z. ♦
ARCHIWUM POLITYCZNE ♦ SPRAWY KRAJOWE ♦
KRONIKA EMIGRACYJNA ♦ KSIĄŻKI ♦
LISTY DO REDAKCJI.

SPIS RZECZY:

Al. Kawałkowski:	<i>Kapitulacja czy wyzwolenie</i> . . .	3
Czesław Miłosz:	<i>Poezja i dialektyka</i>	32
Edouard Roditi:	<i>Listy ze Skandynawii</i>	40
Witold Gombrowicz:	<i>Trans-Atlantyk (c.d.)</i>	47
Józef Mackiewicz:	<i>Ballada o nowym sterniku</i> . . .	62



Wacław Iwaniuk:	<i>Gorycze nocy</i>	81
-----------------	-------------------------------	----



W. A. Zbyszewski:	<i>Stephane Aubac</i>	89
-------------------	---------------------------------	----

ARCHIWUM POLITYCZNE

Aleksander Bregman:	<i>Ernest Bevin a wolność Polski</i> . .	94
Wiesław Żyliński:	<i>Likwidacja Unii Kościelnej</i> . . .	105
Juliusz Mieroszewski:	<i>List z Wyspy</i>	109

SPRAWY KRAJOWE

J. Kamiński:	<i>Wzrost ludności w Polsce</i>	115
--------------	---	-----

SPRAWY I TROSKI

Zast.:	<i>Kronika emigracyjna z Niemiec</i> .	121
Londyńczyk:	<i>Kronika emigracyjna z Anglii</i> . .	124
W. Kościałkowski:	<i>Z notatnika emigranta</i>	127

NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

W. Żbik-Kaniewski:	<i>Bronię N.S.Z.</i>	128
--------------------	--------------------------------	-----

KSIĄŻKI

Michał Sokolnicki:	<i>Polska w papierach Hopkinsa</i> . .	145
Józef Ursyn:	<i>Prasa w literaturze</i>	153



—	<i>Résumé en langue française</i> . . .	155
---	---	-----



Stanisław Stroński:	<i>List do Redakcji</i>	158
Emeryk Czapski:	<i>List do Redakcji</i>	159

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Czerwiec — Juin 1951

INSTYTUT



LITERACKI

Noty biograficzne autorów

Al. KAWAŁKOWSKI, ur. 8. VIII. 1899 w Warszawie, przed wojną konsul gen. RP. w Lille, podczas wojny kierownik mobilizacji do Armii Polskiej we Francji 1939/40. Od 1941 szef główny polskiego ruchu oporu P.O.W.N. we Francji, Belgii i Holandii. Po uwolnieniu Francji minister pełn. RP. przy Ambasadzie w Paryżu do 7. VII. 1945 r. Mianowany podczas wojny ppłk. dypl. rezerwy. Równoległa do służby państwowej działalność publicystyczna.

Józef MACKIEWICZ, literat i dziennikarz. Przed wojną prócz tomu nowel, sztuki scenicznej "Pan poseł i Julia" (do wspólni z Kazimierzem Leczyckim) i drobniejszych publikacji, ogłosił książkę pt.: "Bunt Rojstów". — W latach okupacji 1941-43 napisał, kolportowane w podziemiu w kopiach: "Prawda w oczy nie kole" i "Dziękujęmy Stalinowi za — radosną przyszłość...", w których m. inn. zwalczał antysemicką tezę o rzekomej roli Żydów w procesie bolszewizacji. — W r. 1944 wydaje w Warszawie tajne pismo antybolszewickie "Alarm". W tym samym roku w Krakowie antybolszewicką broszurę na powielacz: "Optymizm nie zastąpi Polski". — W r. 1949 nakładem Thomas-Verlag w Zurychu: "Katyn ungesühntes Verbrechen". Obecnie nakładem Hollis and Carter w Londynie, angielski przekład: "The Katyn wood murders". — Zapowiedziany wkrótce druk powieści pt. "Droga do nikąd".

Aleksander BREGMAN, dziennikarz, ur. 1906 r., dr nauk politycznych (uniw. w Genewie), autor licznych książek politycznych, m. inn.: "Liga Narodów" (1931), "La politique de la Pologne dans la Société des Nations" (1932), "Appeasement Charter" (1945), "Czy możemy liczyć na Amerykę?" (1946); "Dzieje Pustego Fotela" (1948). Obecnie redaktor zagraniczny i naczelny publicysta "Dziennika Polskiego".

Wacław IWANIUK, poeta. W 1936 r. grupa literacka "Wołyń" wydała jego poemat pt. "Pełnia czerwca". W 1938 ukazał się nakładem F. Hoesicka poemat "Dzień apokaliptyczny". Po wojnie opublikował: tom wierszy "Czas don Kichota" (Światopól. Londyn. 1946) oraz "Dni białe i dni czerwone" (wyd. "Klon", Bruksela 1947) oraz szereg wierszy i poematów drukowanych w czasopiśmie literackich, głównie w "Wiadomościach" i "Kulturze". Przebywa obecnie w Kanadzie. Ostatnio założył w Toronto klub literacko-artystyczny p. n. Smocza Jama.

W. A. ZBYSZEWSKI, ur. na Ukrainie przed pierwszą wojną światową, wychowanek Uniwersytetu Jagiellońskiego, urzędnik M.S.Z. w Warszawie, Paryżu, Stanach Zjedn. i Tokio, później współpracownik "Polityki — Buntu Młodych", "Czasu" i "Słowa", zamieszkał w Londynie w 1939 r. W czasie wojny urzędnik Ministerstwa Propagandy w Londynie. Pisuje artykuły przeważnie literackie, choć z zawodu jest prawnikiem i ekonomistą.

IMPRIME EN FRANCE

Imprimerie de la S.N.I.E., 32, rue de Ménilmontant, Paris (20)

Kapitulacja czy wyzwolenie

Nieistotny dylemat

Dylemat: pokój, czy wojna, zaprzęta od kilku lat uwagę świata cywilizowanego, tak, jak zaprzęta ją przed wrześniem 1939 roku.

Ryzykujemy tezę, że jest to dylemat, który zawisł, jak chmura burzowa, nad umysłowością tylko tej połowy świata, która znajduje się na zewnątrz "żelaznej kurtyny". Po drugiej stronie nie panuje nie dylemat lecz imperatyw. Jest nim dążenie do opanowania całego świata w celu urządzenia go na podstawach doktryny komunistycznej w jej stalinowskiej wykładni. Wynika ono z samej natury uniwersalistycznej doktryny sowieckiej, zrodzonej z przemieszania marksizmu z odwiecznymi prawami, rządzącymi duchem świata rosyjskiego. Dylemat: pokój, czy wojna, oparty jest na właściwościach psychologicznych świata zachodniego, dla którego ideałem jest szczęście jednostki, a dopiero przez nią szczęście ludzkości. Stąd niechęć do wojny, a gdy powstaje jej niebezpieczeństwo, poszukiwanie kompromisu i gotowość do ustępstw, byle uniknąć katastrofy, lub, w najgorszym wypadku, odwręcić ją i zostawić w spadku, gdy można, następnemu pokoleniu.

Sowieckie dążenie do opanowania świata nie uznaje żadnego kompromisu. Dylemat, przed którym stoi polityczna myśl sowiecka, sprowadza się jedynie i wyłącznie do konfrontacji środków z zadaniami, a w konsekwencji — do wyboru czasu i sposobu działania. Jego jedyną troską jest skuteczność w realizacji niezmiennego założenia. Zagadnienie pokoju i wojny jest nie tyle drugorzędną troską polityki sowieckiej, ile — równoległą do celu zasadniczego. Od tego celu nie wolno odstąpić za żadną cenę. Rozmaitość i potęga środków, będących do dyspozycji, są tak obrzmiałe, że pozwalają długo i pozwalają jeszcze zbliżyć się do celu ostatecznego bez wojny klasycznej. Ale gdy nie będzie innego wyboru, jak zaniechanie celu zasadniczego, lub realizowanie go siłą, sowiecka myśl polityczna nie zawaha się przed decyzją.

Oczywiście, nie jest to myśl ślepa i lekkomyślna. Ukształtowana na określonym obszarze geograficznym i w określonych, a mało znanych na zachodzie procesach historycznych, odzna-

cza się ona genialną bystrością i przenikliwością oraz genialną zdolnością do łączenia śmiałości zamysłów z realizmem metod. Użycie siły będzie dla niej zawsze aktem ostatnim, dokonany po takim wyczerpaniu, lub osłabieniu siły przeciwnej, aby cena wysiłku mogła być możliwie niewielka, a skuteczność możliwie decydująca. Sowiecka strategia polityczna stosuje, w razie potrzeby, przyczajania, w których spragniona pokoju umysłowość zachodnia dopatrywała się długo pojednawczości, a nawet jeszcze obecnie nie jest wolna od złudzeń. Na takim złudzeniu oparł Stalin pod koniec wojny z Niemcami swój slogan propagandowy o możliwości pokojowej koegzystencji dwóch światów, przygotowując tym genialnym manewrem rozkład świata zachodniego i jego dzisiejszą słabość.

Gdyby ludzkość uznała pokój za cel najwyższy i ostateczny, w takim stopniu, w jakim Sowiety uznają za cel najwyższy i ostateczny opanowanie świata, to pokój może być uratowany. Może go uratować kapitulacja świata, dzisiaj wolnego, wobec zasadniczego celu sowieckiego. Forma tej kapitulacji nie ma większego znaczenia, mogłaby to być kapitulacja milcząca. Gdyby Sowiety miały całkowitą pewność, że Zachód wyrzekł się walki z ich dążeniem do opanowania świata, okazałyby się prawdopodobnie wyrozumiałe i pojednawcze w planowaniu następstw takiej ugody. Konferencje międzynarodowe, obradujące nad kolejnością i szczegółami przekazywania poszczególnych połaci świata nowemu porządkowi miałyby przebieg o wiele pogodniejszy od pojedynków słownych pomiędzy panami: Wyszyńskim i Malikiem z jednej strony, a Achesonem i Warren Austin'em z drugiej strony. Kto wie, czy władcy sowieccy nie byłiby wspaniałomyślni w rozkładaniu na trzy, lub pięćlecia: czasokresów przejściowych, w których rządy byłyby sprawowane wspólnie. Wojna nie jest dla Rosji celem, ani nawet jedyną metodą. Celem jest *z w y c i ę s t w o*, zwycięstwo za każdą cenę, choćby za cenę wojny, gdy nie będzie można inaczej. Pokojowa propaganda sowiecka pod jednym względem nie kłamie: Sowiety wołałyby kapitulację świata wolnego bez wojny. Oto cena, za którą ludzkość cywilizowana mogłaby kupić pokój, oraz spokój obozów koncentracyjnych.

O panowanie nad światem

Dylemat: "pokój czy wojna?", przewijający się jeszcze we frazeologii dziennikarskiej, deklaracjach dyplomatycznych i przemówieniach parlamentarnych, jest czymś gorszym, niż szyderstwo z tragicznej rzeczywistości; jest świadectwem nieudolności oceny prawdziwej sytuacji, albo, co jeszcze gorzej, objawem niemocy, która nie pozwala na nazywanie faktów po imieniu.

W konwencjonalnym języku zachodnim wojną nazywa się

działanie, polegające na zadawaniu śmierci i zniszczeń środkami, wywołującymi wiele hałasu. Wojna toczy się dopiero wówczas, gdy strzelają działa i gdy lotnictwo bombarduje ludzi i domy. Ale nawet i wtedy wojna nie jest wojną, jeżeli odbywa się daleko i kosztem słabego. Mówi się wówczas o lokalizacji sporu. Zagrożone stado przygląda się z obrzydzeniem i oburzeniem, jak wilk "lokalizuje" owcę po owcy, ale dopóki stado nie zostało w całości pożarte, istnieje nadzieja, że przecież wilk się nasyci i pozwoli niedobitkom spokojnie skubać trawę.

Istotą wojny było zawsze użycie siły jako metody rozstrzygnięcia sporu i narzucania woli w stosunkach międzynarodowych. Dopóki zadanie zabijania wrogów i siania zniszczeń było powierzane wyłącznie wojsku, dopóty salwy karabinowe i ogień dział mogły uchodzić za wyłączne znamiona wojny. Wieki dwudziesty, system sowiecki, a jego śladem — inne systemy totalistyczne wymyśliły nowe narzędzia siły, sprowadzając wojsko tylko do jednego z nich, niezawsze stosowanego. Istota wojny się nie zmieniła, polega ona ciągle na narzuceniu woli siłą, rozszerzyło się natomiast pojęcie siły. Sowiety rozpoczęły swoją wojnę ze światem zachodnim nie wtedy, kiedy sprowokowały najazd Korei południowej, ani w czasie blokady Berlina, ani nawet wtedy, kiedy usiłowały dokończyć podboju Bałkanów przez opanowanie Grecji.

Z chwilą uporządkowania stosunków wewnętrznych, w kilka lat po zakończeniu wojny domowej i zawarciu z Polską traktatu ryskiego, Sowiety przystąpiły świadomie i planowo do przekształcania się na bazę przyszłego systemu, mającego ogarnąć cały świat. Krótkotrwały spór pomiędzy doktryną rewolucji międzynarodowej, zasilanej z bazy sowieckiej i organizacją ekspansji państwa sowieckiego, posługującego się prądami komunistycznymi, jako narzędziami rozkładu, musiał się skończyć klęską Trockiego choćby dlatego, że Stalin, Gruzin rosyjski, wychowany w Rosji, wyrastał z ducha praw, rządzących ekspansjonizmem rosyjskim. Umiał on, jak żaden człowiek w historii, zespolic doktrynę międzynarodową z *n a t u r a l n ą* *d y n a m i k ą* *o b s z a r u* *g e o g r a f i c z n e g o*, na którym odbyła się próba zastosowania tej doktryny.

Izolując się od świata zachodniego, choć nie bez jego pomocy finansowej, materiałowej, a zwłaszcza technicznej, budowały Sowiety bez wychnienia, bez żadnych względów na dobrobyt własnej, wielomilionowej ludności, swoją potęgę zaczepną. Trzeba bezstronnie przyznać, że nie ukrywały swoich istotnych zamiarów. Pisma Lenina i Stalina świadczą o tym, że Rosja w żadnej chwili nie straciła z oczu celu zasadniczego, polegającego na opanowaniu władzy nad światem. Nie jest winą przywódców sowieckich, że świat zachodni nie chciał, może jeszcze dziś nie chce ich zrozumieć. Głębokie i pełne znawstwa książki James'a Burnham'a, do niedawna zupełnie osobnionego, mogły grozić spędzaniem snu z powiek. Opinia zachodnia wola-

ła środki nasenne, zawarte w artykułach Waltera Lippmana i jemu podobnych.

Rok 1939 stworzył niebywałą okazję. Rosja mogła zapobiec wojnie, przyjmując antyniemiecką postawę. Ale Sowiety, zawierając pakt: Mołotow - Ribbentrop w sierpniu 1939 roku, prowokowały wojnę świadomie. Jeszcze raz: "Poprzez trupa Polski wiedzie droga do rewolucji światowej". Szło o spowodowanie zucia sił niemieckich i zachodnich w przewlekłej i wyczerpującej wojnie, po to, aby Rosja, demonstrując cały ogrom swej nienaruszonej potęgi, mogła następnie narzucić swoją wolę. Szybkie załamanie się Zachodu w roku 1940 i zwrot Hitlera przeciwko Sowietom w roku 1941 zakłóciły w pewnym stopniu ścisłość planów sowieckich. Ale obecnie, z odległości kilku lat, wydają się to drobne pomyłki taktyczne Stalina. Założenia jego planu wytrzymały próbę zetknięcia z rzeczywistością.

Wytrzymały ją dzięki krótkowzroczności i ignorancji, jaką okazywał świat zachodni. Anglia lat: 1939-41 nie miała prawa mieć jakichkolwiek złudzeń. Oświadczenie, jakie usłyszał ambasador polski w Moskwie dn. 17 września 1939 opublikowane później w "Białej Księdze" polskiej, dowodziło ponad jakiegokolwiek wątpliwości, że Sowiety traktują uderzenie na Polskę i swój sojusz z Niemcami Hitlera, jako uderzenie w Anglię. Nie miał prawdopodobnie tych złudzeń Churchill, zbyt długo zwalczający przed wojną niebezpieczeństwo sowieckie, aby się nim bliżej i głębiej nie zainteresować. Ten wspaniały organizator wysiłku wojennego zapatrzony był jednak tylko w cel bezpośredni i najbliższy: w ocalenie Anglii przed hitlerowskimi Niemcami. Temu celowi poświęcił inny: ocalenie Anglii tout court.

Wejście Stanów Zjednoczonych z całą ich niezmierzoną potęgą przemysłową do wojny po stronie osłabionych przeciwników Niemiec przesunęło ciężar zasadniczych decyzji o losach świata do Washingtonu, składając je na barki najpopularniejszego w tym czasie człowieka, wielkiego reformatora stosunków wewnętrznych w swym kraju, ale zupełnego ignoranta w zakresie polityki sowieckiej. Ten znakomity specjalista od strategii wyborczej pozwolił sobie manewrować, jak dziecko, wytrawnemu lisowi z Kremla. To on uspił czujność świata zachodniego, popierając Sowiety całym swoim, tak wielkim wówczas autorytetem, wystawiając im świadectwo moralności i demokracji. To za jego ślepotę i błędy broczy dzisiaj krwią żołnierz amerykański na Korei, a jest to przecież dopiero wstęp do prawdziwej hekatombi.

Krótkowzroczność i egoizm polityki angielskiej oraz bezprzekładna naiwność Roosevelt'a, ujawniona kolejno przez wszystkich pamiętnikarzy z jego otoczenia, spowodowały kapitulację moralną Anglosasów, polegającą na wyrzeczeniu się zasad "Karty Atlantykij". Jałta była logicznym następstwem Teheranu. Paniczny lęk przed teoretyczną ewentualnością oddzielnego pokoju między Niemcami i Sowietami wywołał stawanie na głowie w celu upewnienia Kremla o lojalności Zachodu. Punktem

kulminacyjnym ich zabiegów była deklaracja w Casablance o bezwarunkowej kapitulacji, która odebrała Zachodowi wszelką swobodę manewru w stosunku do Rosji i Niemiec.

W rzeczywistości lęk przed pokojem oddzielnym sowiecko-niemieckim mógł być usprawiedliwiony tylko w pierwszej fazie najazdu hitlerowskiego na Rosję. Brześć Litewski nastąpił po klęskach wojennych, kiedy sowieckie kierownictwo polityczne uznało za cel najważniejszy zabezpieczenie obszaru, objętego rewolucją, choćby kosztem strat terytorialnych. Rosja, przeżywiająca kryzys wojny i odpierająca najazd, nie zawiera pokoju z najeźdźcą przed odniesieniem ostatecznego zwycięstwa. Nie mógł go zawrzeć Aleksander I po cofnięciu się Napoleona z Moskwy i nie by tu nie wskórał nawet Talleyrand, gdyby mu pozwolono zastąpić Caulaincourt'a. Po Stalingradzie nawet Stalin nie mógłby sobie pozwolić na taką decyzję. Po Stalingradzie, tym przełomowym punkcie wojny, Zachód powinien był zrewidować swój stosunek do Rosji. Powinien był sobie przypomnieć, że Sowiety prowadzą d w i e w o j n y jednocześnie: jedną przeciwko Niemcom, drugą przeciwko reszcie świata. Po Stalingradzie wojnę należało prowadzić tak, aby zwyciężyć Niemcy, nie dopuszczając do całkowitego zwycięstwa Rosji. Sowiety dały dwa przykłady posługiwania się wrogiem do zużycia sił wroga następnego: pierwszy raz, zawierając traktat z Hitlerem i dostarczając Niemcom w ciągu półtora roku benzynę, surowce i żywność; drugi raz, zatrzymując armię Rokossowskiego nad Wisłą, aby umożliwić Niemcom zniszczenie Warszawy. Anglosasi powinni byli zmusić Niemcy do kapitulacji na Zachodzie, objąć je swoją okupacją zanim front sowiecki przesunął się poza Dźwinę i Dniepr. Byliby wówczas panami sytuacji i losy świata wyglądałyby dzisiaj inaczej. Literatura pamiętnikarska, zwłaszcza niemiecka, upoważnia do twierdzenia, że takie rozwiązanie było możliwe.

W wyniku Jałty i uzupełniających ją umów poczdamskich R o s j a w y g r a ł a nie tylko wojnę z Niemcami, ale i pierwszy etap swej wojny o opanowanie świata. Oprócz obszarów, beceremonialnie anektowanych kosztem Polski, Rumunii i Finlandii, dziewięć państw europejskich, istniejących przed 1939 rokiem, liczących 110 milionów ludności, straciło niepodległość. W ich rzedzie znalazła się Polska, która pierwsza spośród wszystkich narodów świata przeciwstawiła się czynnie ekspansji niemieckiej i którą opuszczono wbrew literze i duchowi powziętych wobec niej zobowiązań traktatów. Bezmyślna formuła o bezwarunkowej kapitulacji uniemożliwiła zabiegi pokojowe Japonii, dając Sowietom olbrzymie zdobycze na Dalekim Wschodzie bez żadnego z ich strony wysiłku i przygotowując późniejsze opanowanie Chin i Korei, oraz groźbę opanowania południowo-wschodniej Azji.

Ignorancja polityków anglosaskich, gdy chodzi o znajomość istotnych założeń polityki sowieckiej, czerpiącej swój dynamizm z rewolucyjnej doktryny komunistycznej, ale także z d u c h a

dziejów obszaru rosyjskiego, spowodowała, że pod słownik dyplomacji sowieckiej podłożono pojęcia świata zachodniego. Rozpoczął się pięcioletni dialog, przypominający rozmowę cudzoziemców, mówiących do siebie obcymi językami, z tym, że tylko jeden z rozmawiających znał język pozostałych, nie przyznając się do tego i zachowując w ten sposób przewagę nad partnerami.

Umysły, uformowane na zasadach prawa i etyki świata cywilizowanego, uznały konwencje jałtańskie i poczdamskie za rozwiązujące problem współżycia z Rosją kosztem mniej, lub bardziej haniebnych kompromisów. Nie zdawały sobie sprawy ze sposobu interpretacji tych postanowień przez sowieckiego partnera. Nie zdawały sobie sprawy z tego, że przez odstępstwo od zasad prawa i etyki i sprzeniewierzenie się dobrowolnie przez siebie ogłoszonemu programowi Karty Atlantycznej, straciły na długo zaufanie i szacunek narodów, wydanych w niewolę sowiecką, a nawet i tych, które zachowały jeszcze niepodległość. Jedną z przyczyn chwiejności narodów zachodnio-europejskich, tłumaczącą częściowo szerzenie się prądów komunistycznych i neutralistycznych, była w ciągu długiego czasu niepewność, czy polityka anglosaska nie dlatego wciąga Europę Zachodnią w orbitę swego oporu przeciw Rosji, aby ją lepiej sprzedać za nową Jaltę i nowy kompromis, wynikający z gonitwy za niedoścignionym cieniem pokojowej koegzystencji dwóch systemów. Jeżeli otwartość i odwaga określania dążeń, oraz konsekwencja w ich realizowaniu są czymś dodatnim z punktu widzenia moralnego, to polityka sowiecka w ciągu ostatnich sześciu lat była moralniejsza od polityki anglosaskiej. Program Sowietów ogłoszony był wyraźnie i bez obłudy zarówno przez Stalina, jak przez zjazd sowieckiej kompartii w jej rezolucjach, wykonanie było konsekwentne. Obłudny był tylko język, przy pomocy którego ten program głoszone, ale obłudny tylko dla tych, którzy nie znali komunistycznego języka i którzy pod słowami, które zupełnie co innego oznaczają w Rosji, podkładali pojęcia zachodnie. Rozumieli ten język skrzywdzeni, rozumieli go Polacy, Litwini, Białowie, Rumuni, Węgrzy, Słowacy, Chorwaci, ale świat zatykał uszy na ich rozpaczliwe wołania ostrzegawcze, bo pochodziły one od ofiar niemoralnego kompromisu, mogły zakłócić spokój sumień i rozwiewać ideą w y g o d y, oparty na złudzeniu k o e g z y s t e n c j i.

Na krótkiej przestrzeni czasu pomiędzy Jaltą i Poczdamem, w pierwszej połowie 1945 roku, Zachód, wskutek wyczerpania wojennego Anglii i ówczesnej niedojrzałości Stanów Zjednoczonych do przedwójniczej roli w świecie, p r z e g r a ł politycznie drugą wojnę światową, zaprzepaszczając wyniki zwycięstwa wojskowego.

Nastąpiła żywiołowa i błyskawiczna demobilizacja i rozbrojenie Zachodu, wobec reorganizujących się setek dywizji sowieckich. Gdy Sowiety przystąpiły do realizacji nigdy nieukrywanych, najistotniejszych założeń swej polityki, Zachód sądził dłu-

go, że chodzi o nieporozumienia, które można usunąć nowymi koncesjami, lub poszukiwaniem formuł dyplomatycznych. Nieubłaganej w o l i, wyposażonej w coraz bardziej narastającą siłę, przeciwstawiano puste f r a z e s y. Wszystkie problemy, wynikające z wojny 1939 - 45, zostały rozwiązane albo po myśli Sowietów, albo ich nie rozwiązano wcale. Wpoprzek Europy biegnie ciągle, coraz bardziej hermetyczna linia demarkacyjna, sprzeczna ze wszystkimi zasadami sprawiedliwości, gospodarki i zdrowego sensu. Dywizje sowieckie stoją pomiędzy Elbą i Renem, wymierzone w nagą i bezbronną pierś organizmu europejskiego. Sowiety zbroją Niemców wschodnich do walki z zachodem nie tylko wojskowo, ale i moralnie, mirażem ich zjednoczenia narodowego i politycznego, według recepty praskiej. Sowieckie planowanie gospodarcze otrzymuje, jako zadanie, dalszą rozbudowę przemysłu wojennego. Tak, jak przed rokiem 1939 produkcja dóbr konsumpcyjnych podlega ograniczeniu do skrajnego minimum, a razem z nią — stopa życiowa ludności. Kraje ujarzmione, w których rządy "jedności narodowej" zastępowane są stopniowo rządami partii komunistycznych, oczyszczonych z elementu lokalnego na rzecz agentów, uformowanych w Rosji, wciągane są w orbitę sowieckiego systemu gospodarczego, jako jego uzupełnienia, dostosowane do wymogów jego planowania.

W ciągu kilku lat po Poczdamie dokonywa się zwrot całej propagandy sowieckiej po zachodniej stronie żelaznej kurtyny. Partie komunistyczne zarzucają licytowanie się w nacjonalizmie z partiami narodowymi i przechodzą na patriotyzm sowiecki. Ojczyznę komunisty w każdym zakątku świata staje się Związek Sowiecki, a obowiązkiem patriotycznym — służyć interesom tej nowej ojczyzny bez względu na dobro własnego kraju. Nieśmiało odruchy obronne świata zachodniego otrzymują natychmiastową odpowiedź w postaci na olbrzymią skalę zakrojonej propagandy "pokojowej", zapoczątkowanej manifestem Stockholmskim i której skutków nie należy nie doceniać. Każdemu komunikatowi sportowemu, donoszącemu o nowym rekordzie w ulepszeniu bomby atomowej, towarzyszy wycie propagandy komunistycznej, licytującej się z prasą amerykańską w opisie wszelkich możliwych okropności, po to, by posiać panikę wśród milionów prostych ludzi i terrorem moralnym stłumić wszelką ochotę do walki, nawet do walki o obronę życia.

Oczywiście, przedsięwzięcie tak śmiałe, jak walka o panowanie nad światem, nie może się odbywać zbyt gładko i musiało spowodować opory.

Oslabienie Anglii, powodujące jej ześrodkowanie się na interesach Brytyjskiej Wspólnoty, przesunęło nagle ciężar odpowiedzialności za losy świata na potężną materialnie i technicznie, ale nieprzygotowaną moralnie i intelektualnie do tej roli Amerykę. Potencjalny ten mocarz, replika Rzymu w XX wieku, ale bez jego legionów, staje twarzą w twarz, wobec nowego

przeznaczenia, w pełni porooseveltowskiej euforii, w okresie niespotykanego jeszcze boomu finansowego i przemysłowego, z jednym, jedynym ideałem w polityce zagranicznej, ideałem koegzystencji i rozwiązywania nieporozumień w drodze apeasement'u. Skromny i nieśmiały człowiek, sprawujący w cieniu głośnego nazwiska beztreściwą funkcję wiceprezydenta, wydaje się bezradny w chwili, kiedy na jego niewysportowane barki spada przytłaczająca sukcesja. I oto zasługą tego skromnego i nieśmiałego człowieka jest powrót do realizmu i odwaga w sztywnym wysiłku przygotowania Ameryki do nowej roli. Do jakiej roli? Tego sobie Washington na pewno nie uświadamiał, zarzucając politykę apeasementu na rzecz polityki contenement'u, a później — przechodząc do "zimnej wojny", może jeszcze dzisiaj nie uświadamia sobie całkowicie. Prawdopodobnie skromny człowiek, który odziedziczył rozpaczliwą schedę po swym głośnym poprzedniku, zdał sobie sprawę, przy pomocy swoich wojskowych doradców, że świat jest bezbronny i że przed naporem rosnącej, sowieckiej potęgi, nie ma już żadnej tarczy, nie ma jej przede wszystkim w osłabionej przez wojnę, zrujnowanej gospodarczo reszcie wolnej Europy. Stąd plan Marshalla, oparty na złudzeniu, że przez odbudowę i wzrost produkcji krajów zagrożonych uda się podnieść ich dobrobyt, osłabić wpływ komunistyczne, doprowadzić do spoistości Europy Zachodniej, a w ślad za tym — do odzyskania przez nią zdolności obronnych. Podświadomie trwa jeszcze w polityce amerykańskiej złudzenie, że rachuby Rosji opierają się tylko na słabości gospodarczej i socjalnej Zachodu. Gdy się usunie przyczynę zła, gdy propaganda komunistyczna utraci atrakcyjność i natrafi na tężący opór, będzie można osiągnąć jakiś kompromis i powrócić do ideału koegzystencji. Istotnie, zasilona dolarami i pomocą materiałową, Europa powraca szybko do równowagi gospodarczej, produkcja przekracza wszędzie normy przedwojenne, inflacja ulega zahamowaniu, powojenny brak towarów przekształca się w niespotykaną, nawet przed wojną, obfitość. Nie udaje się jednak zespolecie Europy, ani gospodarcze, ani wojskowe. Nie udaje się ono z uwagi na egoistyczne stanowisko Anglii, torpedującej wszelkie próby zjednoczenia kontynentu oraz z uwagi na sprzeczności interesów w Europie Zachodniej. Nie udaje się także rozbrojenie wpływów komunistycznych i to aż z dwóch powodów. Jednym z nich jest, w przeciwieństwie do Ameryki i Anglii (w każdym z tych krajów z odmiennych powodów), zły podział dochodu narodowego w krajach zachodniej Europy, sprawiający, że gdy wielkie towarzystwa robią interesy i wypłacają dywidendy, siła nabywczą zarobków robotniczych, pracowniczych i małych przedsiębiorstw ulega stalemu zmniejszaniu, lub, w najlepszym razie nie wzrasta, nie usuwając w konsekwencji niezadowolenia społecznego. Nie udaje się także i z innego powodu, a mianowicie — z powodu przedstawiania się partii komunistycznych na patriotyzm sowiecki, oraz ich przekształcenia się na narzędzia

sowieckiej polityki ekspansyjnej. Wobec narastania wojskowej potęgi Sowietów, oraz postępów ich ofensywy dyplomatycznej i propagandowej na wszystkich frontach i obszarach świata, skromny i nieśmiały człowiek, który w międzyczasie wygrał wybory i wiele się nauczył, uświadamia sobie odpowiedzialność swego potężnego potencjalnie kraju za losy świata i za własne bezpieczeństwo. Dochodzi do skutku sojusz atlantycki, ale upłynęła dwa lata, zanim z dokumentu dyplomatycznego zaczęło on przekształcać się w rzeczywistość. W tym czasie odnosi Rosja jedno istotne niepowodzenie, odstępstwo titowskiej Jugosławii i, wśród wielu innych, jeden olbrzymi sukces: opanowanie kontynentu chińskiego. Od tej pory tempo wydarzeń ulega przyspieszeniu. Zatrwożony do niedawna świat zaczyna oglądać się na Amerykę, która publicznie rozprawia ze swymi sojusznikami o konieczności, a nawet o sposobach odzyskania siły wojskowej, jako jedyne go atutu, mogącego doprowadzić do skutecznych rozmów z Sowietami na temat osiągnięcia upragnionej koegzystencji na podstawie utrwalenia podziału świata. W maju 1950 roku jeden z członków sojuszu atlantyckiego, Francja, występuje z inicjatywą poolu stalowo-węglowego z Niemcami, mogącego stać się ośrodkiem zespolecia Europy Zachodniej, z Anglią, czy bez Anglii. Zachód jest jeszcze rozproszkowany, jeszcze zużywa swą energię w niezliczonych konferencjach, zjazdach, rozprawach i gadaninie, ale w tym chaosie zaczyna pojawiać się głos rozsądku, świadczące, że myśl zachodnia trafia na tropy rzeczywistości i zaczyna właściwie oceniać niebezpieczeństwa. Trzeba w to rusztowanie, mogące przekształcić się w kościec trwałej budowli, ale na razie oparte tylko na zamiarach, chęciach i przecuciach, uderzyć tak, aby się rozsypało. Trzeba uderzyć w Amerykę, zachwiać rosnące w stosunku do niej zaufanie, związać jej energię bezkarnie, w kierunku, jak najbardziej odległym od głównych ośrodków życiowych świata zachodniego. W końcu czerwca 1950 roku Sowiety wymierzają cios koreański. Ten wielki manewr rozpoznawczy przynosi wynik połowiczny. Udaje się związanie gotowych sił amerykańskich na drugorzędnym wojskowo obszarze działań, ale Ameryka przyjmuje wyzwanie. Zaufanie zagrożonych wzrasta, zapanowuje stan euforii. Więcej, Ameryka odpowiada przejściem w stan pogotowia, częściową mobilizacją ludzką i przemysłową. W języku wojskowym oznacza to zdystansowanie Sowietów na przestrzeni 2 - 3 lat we wszystkich typach samolotów, może czołgów, a na pewno wielu innych broni. Na razie jednak świat wolny jest jeszcze bezbronny, możliwości terroru moralnego istnieją. Sowiety kontynuują nacisk. Planowi uzbrojenia Niemiec przeciwstawiają groźne: "nie będziemy mogli tolerować", a następnie — uchwały praskie z października 1950 roku i oparte na nich projekt konferencji czterech, któremu towarzyszą propozycje unifikacji Niemiec, wystosowane do rządu w Bonn przez marionetki wschodnio-niemieckie. W obozie zachodnim powstaje zamieszanie, mija sierpnio-wrzesniowa

euforia, sklepanie jednolitej postawy Ameryki, Anglii i Francji odbywa się tak pracowicie, że aż niepokojąco. Jednocześnie, zamiast pobitych północnych koreańczyków wprowadza Rosja do gry swego chińskiego sprzymierzeńca. Wojska narodów zjednoczonych docierają do granicy mandzurskiej? Cóż z tego, skoro nie będą mogły zakończyć wojny i opuścić uwolnionego kraju, zagrożonego nowym najazdem. Listopadowy krok zaczepny Mac Arthura, bez względu na jego następstwa wojskowe, wyjaśnił sytuację. Ten wielki rekonesans, dokonany całą armią, zmusił komunistyczne Chiny do szybszego, niż zamierzały, odstąpienia ich planów zaczepnych, oświadczył istotny charakter sowiecko-chińskiego manewru w Korei.

Ale niepowodzenia wojskowe z listopada 1950 r. rozwiały euforię z września, z okresu zwycięskiej, zdawało się, ofensywy Mac Arthura. Opinia świata wolnego bierze za złe Ameryce, że nie okazała się wszechmocna. Amerykański wniosek o potępienie Chin wywołał prawdziwy kryzys zaczynającej się dopiero kleić spoistości świata zachodniego. Gdy trzeba było od słów przejść do czynów, od zamierzeń do rzeczywistości, mocarstwo, biorące na siebie główny ciężar odpowiedzialności za losy świata, zostało w pewnej chwili niemal samotne. Amerykę spotkał smutny przywilej wielkości, która jest zawsze samotna. Ale z tą chwilą, z chwilą przełamania trudności, wynikających z lęku przed stanowczymi decyzjami, świat wolny, zdobywa nareszcie przywódcę. Ameryka z końca 1950 i początków 1951 roku zdaje się posiadać ostatecznie świadomość swej roli i swej odpowiedzialności. Jeżeli to prawda, losy świata zaczną się toczyć inaczej, niż dotychczas. Dno upadku, wyrzeczeń i złudzeń zostało osiągnięte. Od tej pory powinien rozpocząć się proces krzepnięcia, oparty na świadomości, że nie ma i być nie może kompromisu między Zachodem i Sowietkim Wschodem. Dylemat: pokój, czy wojna, przestaje odpowiadać duchowi epoki. Wyrażać go będzie odąd dylemat: kapitulacja, czy wyzwolenie świata?

Reakcja Zachodu

Wypadki ostatnich miesięcy wskazują, że Ameryka, a za nią reszta świata wolnego, nie chcą skapitulować. Świadomość negatywna, polegająca na zdawaniu sobie sprawy z tego, czego się chce uniknąć, nie jest wystarczająca, ale w porównaniu z blądzeniem w ciemnościach na przestrzeni lat 1945 - 1950, oznacza olbrzymi postęp. Uświadomienie sobie, że nieuniknionym następstwem odrzucenia kapitulacji musi być koncepcja pozytywna, polegająca na wyzwoleniu świata, jest kwestią przyszłości. Odrzucenie kapitulacji wobec sowieckiego dążenia do opanowania władzy nad światem stało się podstawą decyzji obrony i wynikających z niej planów zbrojeniowych. Jeżeli logika nie zawiedzie, długotrwałość tej fazy życia ludzkości można obliczać na dwa - trzy lata.

Ogrom zadań w stosunku do rozporządzalnego czasu jest olbrzymi. Najbardziej pilne i najważniejsze z tych zadań, wypełnienie treścią paktu atlantyckiego, zaczyna wkraczać na grunt realizacji. W oparciu o mobilizację potencjału wojennego Stanów Zjednoczonych i przy ich pomocy finansowej, oraz materiałowej, ma się dokonać uzbrojenie Europy Zachodniej. Stosownie do powziętych decyzji, gen. Eisenhower powinien w końcu 1952 r. mieć do swej dyspozycji 40 nowoczesnych dywizji pierwszego rzutu, zdolnych do przyjęcia pierwszego uderzenia sowieckiego i drugie tyle w pierwszej rezerwie, dającej się szybko uruchomić. Realizacja tego programu zaczyna już powodować cały szereg następstw, które będą się potęgowały z dnia na dzień, w dziedzinie wojskowej, gospodarczej i politycznej. Ustawienie zgrupowania atlantyckiego narzuca konieczność stworzenia dla niego odpowiednika w organizacji strategicznej Bliskiego Wschodu i wschodniej części morza Śródziemnego. Z analizy różnych możliwości operacyjnych, jakie mogą zająć na europejskim obszarze obrony, wyniknie sprzeczność absurdalnego stosunku rządów zachodnich do Hiszpanii. Rola półwyspu pirenejskiego w systemie strategicznym paktu atlantyckiego, jako najpewniejszego bastionu obrony w razie utraty Zachodniej Europy i jako osłony północno-afrykańskiej platformy ewentualnego zwrotu zaczepnego, nie wzbudza już żadnych wątpliwości w umysłach wojskowych. Jedynie sprzeczności doktrynalne, cechujące myśl zachodnią powodują, że w epoce uznawania totalistycznych systemów rządzenia w Sowietach, państwach satelickich i w Jugosławii, utrzymuje się w izolacji gospodarczej, politycznej i wojskowej kraj, który swoją neutralnością w latach 1939 - 44 osłonił Gibraltar, przyczynił się do utrzymania zachodniej części morza Śródziemnego poza obrębem wojskowego panowania Niemców i zapewnił bezpieczeństwo lądowania sojuszniczego na wybrzeżach północno-afrykańskich w listopadzie 1943 roku. Jak najszybsze wciągnięcie tego kraju do zachodniego systemu strategicznego i przygotowanie go do wypełnienia roli, jaka mu przypada w udziale, należy do pierwszych konieczności.

Realizacja systemu atlantyckiego wymaga, równolegle do pomocy amerykańskiej, zespolenia wszystkich możliwości potencjalnych, jakimi rozporządza Europa Zach. Z tej konieczności wyniknąć winno przyspieszenie procesu integracji Europy w dziedzinie wojskowej, gospodarczej i politycznej. Zapoczątkowany w maju 1950 roku projektem Schumana (pool węglowo-stalowy pomiędzy Niemcami i Francją), proces ten, po przejściowym zahamowaniu w drugiej połowie ubiegłego roku, nabiera coraz wyraźniejszych rumieńców życia na skutek inicjatywy polityki francuskiej, ożywionej od chwili podróży premiera Plevena do Washingtonu.

Równolegle do organizacji europejskiego obszaru obrony dokonywać się będzie, pod osłoną przyczółków: koreańskiego i indochińskiego, tworzenie bastionu wschodnio-azjatyckiego. Spo-

woduje ono integrację Japonii i Formozy do systemu strategicznego, opartego o Filipiny i Australię, a kierowanego przez Stany Zjednoczone w ramach przyszłego paktu Pacyfiku.

Wykończenie tych dwóch elementów, europejskiego i azjatyckiego, powinno by doprowadzić do ograniczenia swobody manewru, z jakiego korzystały Sowiety do tej pory, dzięki swemu położeniu środkowemu w stosunku do niezwiązanych między sobą poszczególnych ogniw świata niekomunistycznego.

Jawność i wyrazistość planów obronnych świata wolnego nakazuje liczyć się z reakcją sowiecką.

Czy musi to być koniecznie reakcja wojenna w klasycznym znaczeniu tego słowa?

Gdyby Sowiety chciały i mogły wykorzystać przytłaczającą przewagę swoich sił zbrojnych, utrzymywanych w stanie pogotowia, mogły to były uczynić w warunkach, o wiele bardziej sprzyjających, w okresie blokady Berlina, lub w czerwcu 1950 roku, równocześnie z rozpoczęciem operacji koreańskiej, lub zaraz po niej. Jeżeli tego nie uczyniły przed mobilizacją amerykańską, nie ma wcale pewności, aby mogły pozwolić sobie na tę decyzję w najbliższej przyszłości. Oczywiście, inwazja Europy w ciągu tego roku mogłaby jeszcze doprowadzić sowieckie siły lądowe do brzegów kanału La Manche i Morza Śródziemnego, wydać na ich łup kraje Bliskiego Wschodu z ich bogactwami naftowymi, stworzyć poważne zagrożenie dla wysp brytyjskich, spowodować załamanie się strategicznego ugrupowania atlantyckiego.

Przeciwko powzięciu takiej decyzji przez Kreml zdaje się przemawiać szereg czynników, z których najważniejszym jest niewątpliwie naukowy charakter wojny nowoczesnej. W tej dziedzinie przewaga świata zachodniego, głównie Ameryki, będzie oddziaływała paraliżująco na możliwość inicjatyw sowieckich w ciągu co najmniej kilku lat. Stosunek sił lądowych na obszarze europejskim zapewnia Sowietom, niewątpliwie, możliwości powodzeń początkowych, bardzo groźnych dla świata zachodniego. Od chwili jednak, kiedy rola Europy dla bezpieczeństwa kontynentu amerykańskiego została oficjalnie uznana w raporcie Eisenhowera wobec Kongresu, zdaje się nie ulegać wątpliwości, że pierwszy krok zaczepny, dokonany przez Rosję, spowoduje uruchomienie wszystkich, będących już dzisiaj w dyspozycji naukowych środków wojny. Początek działań zbrojnych ze strony Kremla byłby jednocześnie początkiem atomowych bombardowań strategicznych, których celem byłyby sowieckie ośrodki przemysłowe, będące jednocześnie ośrodkami największych skupień ludzkich, sowieckie szyby naftowe, węzły komunikacyjne, może nawet obszary koncentracyjne. Państwo, którego jednym z wrażliwych punktów jest słabość systemu transportowo-komunikacyjnego, państwo, oparte na przemyśle policyjnym, oraz utrzymujące się siłą na obszarach zwalczanych, nie może liczyć na zachowanie spójności wewnętrznej olbrzymiego bloku z chwilą, gdyby bombardowania zdeorganizowały rozkazodawstwo, zaopatrzenie i bazy wytwór-

cze. Ewentualne rachuby przywódców sowieckich na zachodnio-europejski potencjał gospodarczy mogłyby okazać się pienne. Wojna posiada swoje prawa i swoją logikę, wobec których skrupuły humanitarne schodzą na drugi plan. Gdyby siły sojuszu atlantyckiego musiały wycofać się na Pireneje i wybrzeża afrykańskie, nie pozostawiłyby prawdopodobnie armatury przemysłowej Ruhry, Francji i Beneluxu w stanie używalności.

A zatem prawdopodobieństwo wybuchu otwartej wojny powszechnej w ciągu roku bieżącego zdaje się być niewielkie. Czy należy je usunąć zupełnie? Niczego nie można wykluczyć zupełnie, gdy chodzi o przeciwnika, którego taktyka otoczona jest skrajną tajemnicą. Nie wiemy, w jakim stopniu chwiejność Zachodu w ciągu ubiegłych pięciu lat wytworzyła na Kremlu lekceważenie przeciwnika. Rosja mogłaby się zdecydować na przekroczenie Rubikonu, gdyby oceniła, słusznie, czy niesłusznie, że:

- 1) Ameryka zawaha się przed użyciem bomby atomowej oraz innych broni naukowych ze względów humanitarnych,
- 2) Pięte kolumny komunistyczne posiadają dostateczną siłę dla opanowania urzędów wojskowych i gospodarczych i zabezpieczenia ich przed zniszczeniem aż do nadejścia wojsk najezdniczych.

Gdyby jednak Rosja nie zdecydowała się na wystąpienie otwarte przeciwko Ameryce i jej formalnym sojusznikom, nie należy wykluczyć z jej strony inicjatyw ograniczonych, wykonywanych bądź za pośrednictwem satelitów (na kierunku: Jugosławia - Grecja), bądź przez nią samą na kierunkach strategicznie bardzo ważnych (Turcja - Persja), a niedostatecznie strzeżonych wojskowo i traktatowo. Ubezpieczenie wschodniego skrzydła bloku atlantyckiego należy zatem do zadań tak samo pilnych, jak zbrojenia Europy Zachodniej.

Równolegle do zagrożenia wojskowego potęguje Rosja i potęgować będzie zagrożenie moralne i polityczne świata wolnego, wykorzystując nurtujące ten świat sprzeczności interesów i doktryn.

Sprawa niemiecka

Do tego celu zmierza przede wszystkim polityka Sowietów w sprawie Niemiec. Nota z 3 listopada 1950 roku, proponująca konferencję 4 mocarstw, wysuwa sprawę zaniechania zbrojenia Niemiec. Oczywiście, doświadczenia lat 1941 - 44 powodują, że Rosja z lękiem patrzy na możliwość odtworzenia niemieckich sił zbrojnych. Na pewno jednak oceniać musi o wiele poważniej mobilizację potęgi amerykańskiej, której nie jest w stanie osiągnąć, ani przeszkodzić. Podnosząc sprawę zbrojeń niemieckich, zmierza zatem polityka sowiecka raczej do pogłębienia na ten temat rozbieżności w bloku atlantyckim.

Ewolucja polityki amerykańskiej, rewizja zeszłorocznych planów Pentagonu, przewidujących stworzenie z dywizji niemieckich trzonu armii atlantyckiej w Europie, oraz inicjatywy polityczne Francji, osłabiły nieco możliwość nieporozumień na temat Niemiec, ale nie usunęły ich zupełnie.

Usunąć je może tylko wyraźna koncepcja rozwiązania sprawy niemieckiej, dotychczas nieistniejąca.

Empiryczna metoda myślenia, właściwa światu anglosaskiemu, była przyczyną krótkowzroczności polityki angielskiej między dwiema wojnami i w czasie drugiej wojny światowej, a dzisiaj utrudnia wizję przyszłości Ameryce.

Byłoby wielkim błędem patrzeć na problem niemiecki jedynie pod kątem widzenia pomnożenia sił Zachodu o większą, lub mniejszą ilość dywizji niemieckich. Korzyść praktyczna na dzisiaj może się okazać niebezpieczeństwem na jutro. Przystępując do rozwiązania problemu niemieckiego, Zachód nie powinien zapominać, że Niemcy prowadziły na przestrzeni 30 lat dwie wojny zdobywcze. Od chwili upadku Napoleona istnieją w Europie dwa tylko państwa o ambicjach imperialistycznych: Niemcy i Rosja. Zabezpieczanie się przed niebezpieczeństwem rosyjskim przy pomocy żandarma niemieckiego prowadzi do podobnego rezultatu, jak zabezpieczenie się przed Niemcami żandarmem rosyjskim. Te porównania mogą uchodzić uwadze opinii amerykańskiej, ale będą one niepokoiły zawsze narody europejskie, które w ciągu jednej generacji dwa razy doświadczyły bezpośrednio rzeczywistości wojennej. Nie chodzi wcale o to, ażeby stosunek narodów wolnych do Niemiec miał polegać na nienawiści i zemście. Francuska idea integracji Niemiec w sfederowanej Europie wskazuje najwłaściwszy kierunek przyszłego rozwiązania. Realizacja tej idei pozwoli narodowi niemieckiemu powrócić do wspólnoty narodów cywilizowanych na równych prawach, oraz zachować jego właściwości kulturalne i sposób życia, zapobiegając jednocześnie odrodzeniu się jego ambicji zdobywczych. Z przyjęcia tej idei wynika szereg koniecznych następstw, wśród których na pierwszym miejscu postawić należy zaniechanie rewizjonizmu terytorialnego.

W starciu pomiędzy Wschodem i Zachodem chodzi nie tylko o postawę Niemiec. Chodzi także o to, jaką postawę zachowa 100 milionów ludzi, należących do narodów, które na skutek Teheranu i Jałty straciły niepodległość i dostały się pod panowanie Rosji. Większość tych narodów ocenia niebezpieczeństwo niemieckie tak samo, jak rosyjskie. Kto poddaje w wątpliwość linię Odry i Nysy, lub linię Sudetów, ten stawia w położeniu bez wyjścia co najmniej Polaków i Czechów, razem blisko 40 milionów ludzi. Jeżeli nieunikniony proces integracji Europy wejdzie na grunt rzeczywistości, znacznie granic terytorialnych straci wiele ze swej ostrości. Gdy w sfederowanej Europie przywrócona będzie swoboda ruchu lu-

dzi i towarów, obecność celnika polskiego na linii Odry i Nysy, a czeskiego na linii Sudetów nie będzie miała wielkiego znaczenia. Wielkie znaczenie miałyby natomiast powrót Niemiec na polskie ziemie odzyskane, gdyż byłby on początkiem odrodzenia się Prus wraz z ich planami dalszej ekspansji terytorialnej ku Wschodowi. Jak wiadomo, Niemcy zostali usunięci zarówno z zachodniej Polski, jak z Sudetów za zgodą aliantów zachodnich. Rewizjonizm terytorialny prowadziłby do konieczności ponownej transplantacji 8 milionów Niemców do Polski i Sudetów, połączonej z koniecznością usunięcia 5 milionów Polaków z ziem odzyskanych. Czy Zachód miałby dosyć odwagi dla przeprowadzenia tej barbarzyńskiej operacji? Czy chciałby stanąć do współzawodnictwa z systemami totalistycznymi, hitlerowskim i sowieckim? Czy zdaje sobie sprawę z tego, że aby osadzić z powrotem kilka milionów Niemców na wschód od Odry i Nysy musiałyby użyć siły przeciwko narodowi polskiemu, który ma zwyczaj bronić integralności swych ziem oporem zbrojnym, jak tego dowiódł w roku 1939?

Pozostaje problem przeludnienia Niemiec. Cała Europa środkowa i Zachodnia, z wyjątkiem Francji i Hiszpanii, jest przeludniona. Niemcy nie mają monopolu na ten smutny przywilej. Przeludniona jest Polska, Czechy, Anglia, Holandia, Belgia i Włochy. Rozwiązanie tego problemu może się odbyć tylko w drodze porozumień międzynarodowych na skalę światową, nie zaś drogą zmian terytorialnych.

Polityka amerykańska musi wybrać pomiędzy chwilowymi korzyściami praktycznymi, grożącymi pogłębianiem się nieporozumień wewnątrz bloku atlantyckiego i utratą atrakcyjności narodów zza żelaznej kurtyny a francuską ideą integracji Europy na podstawach federacyjnych. Narody, obecnie ujarzmione przez Sowiety, będą kiedyś cennym uzupełnieniem sfederowanej Europy, wewnątrz której bogactwa przemysłowe Polski nad Odrą i Nysą stworzą element równowagi, zabezpieczający przed hegemonią niemiecką.

Gra na sprzecznościach

Myśl zachodnia przejrzała dostatecznie grę sowiecką, aby nie mieć żadnych złudzeń co do wyników konferencji Wielkiej Czwórki, o ile do niej dojdzie. Co więcej, polityka sowiecka również zaczyna wątpić w skuteczność tego manewru, którego celem jest poróżnienie państw bloku atlantyckiego i osłabienie jego spójności, jak dotychczas, jeszcze problematycznej. Wywiad Stalina z 16 lutego jest początkiem nowego manewru, zmierzającego nie tylko do wywołania nieporozumień między państwami, ale także między narodami i ich rządami. Od tej pory liczyć się należy nie tylko z inicjatywami dyplomacji sowieckiej, nie tylko z pogrózkami wojskowymi, ale także ze

spotęgowaniem do rozmiarów, jeszcze nieznanych, wojny propagandowej i działań sabotażowych.

"Pokój będzie zachowany i utrwalony — mówi w swym rozkazie dziennym generalissimus sowiecki — jeżeli ludy wezmą w swe ręce sprawę utrzymania pokoju i będą jej broniły do ostatka".

Chodzi, oczywiście, o pokój s o w i e c k i, czyli o opanowanie władzy nad światem.

Propaganda sowiecka zwróci się przede wszystkim z nową furią, przeciwko zbrojeniom świata wolnego, przeciwko doskonaleniom broni naukowych, przeciwko bombie atomowej. Zadaniem jej będzie r o z b r o j e n i e m o r a l n e Zachodu przez posłanie nieufności pomiędzy masami ludności, a ich rządami. Komitety "partyzantów pokoju" wyruszą pierwsze do natarcia, wyciągając jednocześnie braterską dłoń do neutralistów wszystkich odcieni: katolickich, protestanckich i laickich. Pod ich osłoną rozwijać się będzie działalność piątych kolumn komunistycznych, a terenem jej będą związki syndykalne i organizacje partyjne. Celem tej działalności będzie hamowanie, lub opóźnianie zbrojeń drogą strajków, manifestacji i sabotaży, oraz zaprawa formacji partyjnych do walk wewnętrznych na wypadek dalszych inicjatyw polityki sowieckiej w jej marszu do panowania nad światem.

Jednocześnie liczyć się należy z grą sowiecką, która polegać będzie na wykorzystywaniu sprzeczności interesów i doktryn, właściwych światu wolnemu. Pole dla tej gry jest rozległe, przedmioty liczne. Wystarczy wymienić tylko niektóre z nich, by zdać sobie sprawę z ogromu trudności do pokonania. Oto ich lista:

Sprzeczności polityczne i gospodarcze pomiędzy Anglią a Stanami Zjednoczonymi, oraz pomiędzy Anglią i Europą Zachodnią. Powodują one rywalizację o wpływy pomiędzy Anglią i Stanami Zjednoczonymi w wielu punktach świata, rywalizację pomiędzy blokiem sterlingowym i dolarowym, opóźnianie procesów integracyjnych w Europie, oraz takie skutki egoistycznej polityki handlowej Anglii (i nie tylko Anglii), jak zaopatrywanie, nieraz w materiały strategiczne, satelitów sowieckich i komunistycznych Chin.

Sprzeczności wewnątrz Brytyjskiej Wspólnoty Narodów, krępujące wyrazistość linii politycznej Londynu: neutralizm pewnych krajów arabskich i Indyj z jednej strony, a amerykańska orientacja Australii i N. Zelandii z drugiej strony.

Doktrynerstwo i niekonsekwencje angielskiej partii rządzącej, wyciągającej rękę do porozumienia z komunistycznymi Chinami, kokietującej Jugosławię, a jednocześnie posuwającej do absurdu zwalczanie Hiszpanii, której ustrój nie odbiega już dzisiaj wiele od portugalskiego, cieszącego się uznaniem Londynu.

Antykolonialne doktrynerstwo pewnych kół amerykańskich (do których z powodów bardziej praktycznych przyłącza się nie-

raz Anglią)), powodujące trudności w posiadłościach francuskich wbrew interesom wspólnoty atlantyckiej.

Sprzeczności parlamentaryzmu zachodniego, uzależniające często politykę zagraniczną od polityki wewnętrznej i od względów wyborczych, oraz powodujące przedłużanie się niemal w nieskończoność debat na tematy, które wymagałyby szybkich decyzji i konsekwentnego wykonania.

Różność systemów gospodarczych i społecznych, a głównie słabość gospodarki Europy i zły podział dochodu narodowego w krajach starego kontynentu, powodujący brak atrakcyjności hasła obrony, w którym masy pracujące dopatrują się także, nie bez słuszności, obrony status quo społecznego. Wygrywanie konfliktów społecznych we Francji i we Włoszech, gdzie doktryna komunistyczna wywiera niewątpliwą atrakcyjność na poważną liczbowo część mas pracowniczych, należy do głównych środków sowieckiego arsenału wojny psychologicznej. Na tym obszarze próbować będzie Rosja dokonania wyłomu "pokojowego" w tworzącym się froncie obrony wolności. Paraliż życia gospodarczego, zamęt społeczny, deprecjacja autorytetu państwa, wszystko to podmyte wykorzystaniem nastrojów antywojennych i propagandą "pokojową", oto etapy, mające doprowadzić do rządów "syndykalno-postępowych" i zwycięstwa prądów neutralistycznych, a w ostatecznym wyniku — do opanowania tych obszarów w taki sposób, aby użycie zasadniczego środka obrony przeciw inwazji, bomby atomowej, nie mogło znaleźć zastosowania. Przed rządami tych krajów, jak przed kierownictwem polityki atlantyckiej, leży olbrzymie zadanie złagodzenia, o ile nie usunięcia sprzeczności, jaka zachodzi pomiędzy obroną wartości moralnych, takich, jak wolność i demokracja, a koniecznościami materialnymi, wynikającymi z ubóstwa gospodarczego i złego podziału dochodu narodowego.

Wykorzystywanie tych sprzeczności przez politykę sowiecką może się przyczyniać jeżeli nie do zahamowania, to przynajmniej do opóźniania procesu zespolenia się świata wolnego, a przede wszystkim — do opóźniania programu zbrojeń.

Słabe strony Sowietów

O ile jednak polityka sowiecka w swoim dążeniu do opanowania świata posiada wiele atutów o niewątpliwiej wartości, to nie jest ona wolna także od kłopotów, których rozmiary są coraz bardziej znane światu wolnemu.

Olbrzymia dysproporcja pomiędzy wydajnością przemysłową Stanów Zjednoczonych i Rosji może doprowadzić do tego, że za 2 — 3 lata sowieckie siły zbrojne, mimo potęgi liczbowej, będą ustępowały siłom zbrojnym Zachodu pod względem technicznym, przede wszystkim w zakresie zasięgu motoryzacji i siły ognia.

Wszystko zdaje się wskazywać na to, że mimo niewątpliwego postępu badawczego po drugiej stronie żelaznej kurtyny, dys-

proporcja pomiędzy rozwojem naukowych środków wojny na Zachodzie i w Rosji będzie się utrzymywała na korzyść świata wolnego, co najmniej w ciągu kilku najbliższych lat.

Jeżeli już dzisiaj można zaryzykować tezę, że od wybuchu wojny w Korei, która spowodowała mobilizację w Stanach Zjednoczonych, Rosja nie może sobie pozwolić bezkarnie na wojnę przewencyjną, prawdziwość tej tezy będzie się na przestrzeni najbliższych kilku lat tylko potęgowała.

W gruncie rzeczy głównymi atutami polityki sowieckiej w okresie, zakreślonym programem zbrojeń Zachodu, będą:

- błędy jej przeciwników,
- zręczność jej propagandy, opartej na nadużyciu hasła pokojowych i niewątpliwej atrakcyjności mitu sowieckiego wśród mas robotniczych kontynentu europejskiego i wśród pewnej ilości intelektualistów na całym świecie,
- swoboda jej inicjatyw politycznych, gospodarczych i wojskowych, wynikająca z totalistycznego systemu rządzenia, nieskrępowanego żadnymi względami na opinię publiczną,
- piąte kolumny komunistyczne i ich neutralistyczne odgałęzienia w krajach świata wolnego.

Pewność tych atutów doznała jednak w ciągu ostatniego roku pewnego uszczerbku i doznawać go będzie nadal.

Świadomość rozmiarów i natury zagrożenia sowieckiego oraz dynamizm Ameryki, której rola, jako przywódcy świata wolnego, będzie wzrastała, powinnyby przyspieszyć proces solidarności międzynarodowej i coraz bardziej ograniczać możliwości gry sowieckiej na błędach przeciwników.

Swoboda manewrowa i koncepcyjna inicjatyw totalizmu sowieckiego może mieć zastosowanie tylko w granicach jego możliwości potencjalnych i wydajności właściwych mu metod. Jedno i drugie pozostawia wiele do życzenia.

Skuteczność działania piątych kolumn komunistycznych, a nawet ich wierność w stosunku do instrukcji kominformu, podobnie, jak zręczność propagandy sowieckiej, mogą zawieść, o ile świat wolny przeciwstawi im program działania, wyposażony w wielką siłę atrakcyjną w zakresie politycznym, gospodarczym i społecznym.

Ale to właśnie jest istota zagadnienia w starciu pomiędzy Wschodem i Zachodem.

Potrzeba koncepcji

Świat wolny zdaje się posiadać wszystkie możliwości przeprowadzenia nakreślonego w ostatnich miesiącach programu przygotowań wojskowych o charakterze obronnym. Przypuśćmy, że za dwa lata niebezpieczeństwo zbrojnego najazdu sowieckiego przestanie być aktualne.

Na jak długo?

Wszystko zależy od tego, jaki użytek zrobi mocarstwo przywódcze i skupiona koło niego część świata z nabycia siły ma-

terialnej. Wszystko sprowadza się do klasycznego pytania, jakie narzuca się w każdej akcji, pozbawionej wyraźnie postawionego celu ostatecznego: *c o d a l e j?*

W świetle miarodajnych oświadczeń amerykańskich celem programu zbrojeń i związanego z nim wysiłku konsolidacji świata wolnego jest przygotowanie obrony przed najazdem sowieckim i stworzenie warunków dla negocjacji.

Pewną precyzję planów amerykańskich można by odnaleźć w następującym zdaniu z deklaracji gen. Eisenhowera po jego powrocie z pierwszej podróży po Europie:

"Nasze zadanie polega na wzniesieniu solidnej tamy wojskowej, pod osłoną której będziemy mogli czekać w ciągu dwudziestu, lub trzydziestu następnych lat, aż imperium sowieckie się zawali, zjedzone bakcyłem zniszczenia, jaki zawiera sam w sobie".

Kategoryczne potępienia odosobnionych zresztą głosów polityków, lub wojskowych amerykańskich, wypowiadających się za wojną przewencyjną, harmonizują zarówno z oświadczeniami politycznych czynników oficjalnych, jak z deklaracją gen. Eisenhowera.

A zatem: negocjacja, a w razie niepowodzenia — pokój zbrojny w oczekiwaniu na rozkład państwa sowieckiego?

Jeżeli negocjacja, to o co? O ile program zbrojeniowy, na razie przynajmniej w zakresie paktu atlantyckiego, zarysowuje się wyraźnie, o tyle nie słychać o istnieniu wspólnego programu negocjacji, ani jej celu. Czy celem tym miałyby być osiągnięcie upragnionego do niedawna ideału współżycia dwóch systemów? I to może na podstawie angielskich tendencji utrzymania status quo, wytworzonego systemem umów teherańskich i jałtańskich?

Wydaje się to wątpliwe. Uświadomienie sobie przez czynniki kierownicze świata wolnego istoty zagrożenia sowieckiego poczyniło zbyt duże postępy, aby były podstawy do obaw, że ogromny wysiłek najbliższych dwóch lat zostanie zmarnowany w kompromisie, który nie rozwiązywałby niczego, który nie rozwiązałby przede wszystkim zasadniczego zagadnienia, jakim w erze wyzwolenia energii atomowej jest poczucie bezpieczeństwa. Będzie chyba bardziej odpowiadało prawdzie twierdzenie, że w chwili obecnej ani mocarstwo przywódcze, ani zespół państw, grupujących się koło Ameryki, nie posiada koncepcji pozytywnej, która mogłaby posłużyć, jako cel przyszłej negocjacji. Brak tego celu, w połączeniu z coraz bardziej krystalizującą się świadomością, że żadne porozumienie z Sowietami nie jest możliwe, może podszeptywać koncepcję pokoju zbrojnego w oczekiwaniu na rozkład Rosji.

Byłaby to koncepcja groźna, może najbardziej odpowiadająca ukrytym życzeniom Kremla na wypadek, gdy przywódcy sowieccy zdadzą sobie sprawę z tego, że wskutek gaffy koreańskiej

stracili okazję złamania oporu świata wolnego w ciągu najbliższych kilku lat.

O ile wyłączyć możliwość interwencji niewiadomych, czas pracować będzie w najbliższej przyszłości na korzyść świata wolnego. Punktem kulminacyjnym będzie zakończenie obecnego planu zbrojeń. Jeżeli osiągnięta w tym czasie przewaga sił i środków nie spowoduje zasadniczych i ostatecznych rozstrzygnięć, czas może znowu grać na korzyść Sowietów, jak grał do czerwca 1950 roku. Jest wątpliwe, aby świat demokratyczny mógł w ciągu dziesiątków lat prowadzić politykę forsownych zbrojeń, powodujących coraz większe zużycie funduszy publicznych i ograniczenie produkcji dóbr konsumpcyjnych. Nie może on sobie pozwolić na długotrwałe i z roku na rok pogłębiające się obniżanie stopy życia ludności, której niezadowolone, dzięki swobodom ustrojowym, może zaważyć na polityce rządów. Licząc na procesy rozkładowe wewnątrz imperium sowieckiego, świat demokratyczny mógłby się spotkać z rozkładem u siebie. Aby temu niebezpieczeństwu zapobiec, musiałaby w świecie wolnym dokonać się prawdziwa rewolucja. Musiałaby on przekształcić się z zespołu, zachowującego odrębności narodowe, w monolit, oparty na integracji w jeden system polityczny i gospodarczy, w którym w ślad za ograniczeniem poziomu życia musiałoby nastąpić także ograniczenie możliwości ujawniania niezadowolonych mas. Jeżeli świat demokratyczny byłby nawet zdolny do takiej rewolucji, przestałby być tym, czym jest, dane problemu uległyby całkowitej zmianie.

Koncepcja pokoju zbrojnego mogłaby otworzyć przed Sowietami nowe możliwości i przywrócić aktualność tych, które obecnie zanikają. Stawianie na rozkład wewnętrzny totalizmu sowieckiego pachnie grą hazardową. Może się udać, ale może i zawieść. Gdyby Stalin posiadał inteligencję Trockiego i jego znajomość psychologii Zachodu, zgotowałby prawdopodobnie światu wolnemu zasadzkę w rodzaju pokoju brzeskiego, byle odzyskać z powrotem panowanie nad elementem czasu, choćby kosztem wyrzeczenia się przestrzeni.

Realizacja programu zbrojeń za dwa czy trzy lata nie zawiera sama w sobie żadnego rozstrzygnięcia w walce świata wolnego z sowieckim dążeniem do opanowania władzy nad globem ziemskim. Narzędzie buduje się po to, by mogło służyć dla poparcia woli. Zbrojeniom Zachodu musi przyswiecać wyraźna idea przewodnia. Może nią być tylko wola wykorzystania siły dla spowodowania zasadniczego rozstrzygnięcia politycznego. Zapobiec kapitulacji może tylko wyzwolenie świata, całego świata, spod grozy sowieckiego panowania.

Dn. 23 lutego r. "podróżujący ambasador" amerykański, Philip Jessup, wygłosił przemówienie, w którym powiedział, że "celem polityki amerykańskiej pozostanie poszukiwanie pokojowego załatwienia wszystkich problemów bez wysuwania postulatów poddania się i kapitulacji".

Dn. 24 lutego kierownik mobilizacji gospodarczej i przemysłowej, Charles Wilson, oświadczył w przemówieniu radiowym, że przed upływem dwóch lat Stany Zjednoczone będą gotowe "do wojny totalnej, lub do pokoju totalnego".

Te dwie opinie, tak diametralnie sprzeczne, potwierdzają ścieranie się w Stanach Zjednoczonych polityki złudzeń z polityką zdrowego rozsądku.

Jeżeli zdrowy rozsądek zwycięży, polityka Stanów Zjednoczonych, a za nią cały świat wolny, postawi sobie, jako cel do osiągnięcia, p o k ó j t o t a l n y. Zarysuje się wówczas konieczność wypełnienia trafnego sloganu żywą treścią.

Obszar rosyjski

James Burnham, najwybitniejszy znawca doktryny komunistycznej w jej stalinowskim zastosowaniu, zwrócił pierwszy uwagę na niezmienny, nie dający się niczym powstrzymać, charakter sowieckiego dążenia do władzy nad światem. Tłumaczył on niezmienną tego celu ostatecznego i zasadniczego, widocznego poprzez wszystkie przystosowania taktyczne i dialektyczne, uniwersalizmem doktryny, wspartej potęgą środków, jakimi rozporządza imperium sowieckie. Na tych przesłankach oparł on swoje słuszne wnioski o niemożliwość koegzystencji dwóch systemów i o nieuniknioną konieczność totalnego zwycięstwa nad komunizmem sowieckim, jako o warunku ocalenia ludzkości przed niewolą.

Słabą stroną burnhamowskiej analizy imperializmu sowieckiego jest niedostateczne wydobywanie na światło dzienne równoległego, obok doktryny, źródła napędowego, zawartego we właściwościach naturalnych i w duchu dzieł obszaru rosyjskiego. Słabą stroną jego wniosków jest ich niedostateczność. Sprowadzają się one do tezy o konieczności zniszczenia systemu, jako zła, zagrażającego ludzkości. Są niejasne, gdy chodzi o stosunek do przyszłej organizacji obszaru, objętego obecnie panowaniem sowieckim.

Istota sowieckiego imperializmu polega na doskonałej symbiozie komunistycznej doktryny państwa uniwersalnego z naturalną dynamiką obszaru rosyjskiego, biorąc swe źródło w układzie geograficznym i w rozwoju historycznym tej części świata.

W samym środku Europy Wschodniej rozciąga się olbrzymi płaskowyż znany w geografii, jako "płyta rosyjska". Płaskowyż ten przechodzi na północy w nizinę nadbałtycką, na wschodzie w nadwołżańską, na zachodzie — w polską. Cechą charakterystyczną płyty rosyjskiej jest to, że przedstawia ona na swoim wzniesieniu, wyżynie wałdajskiej, potężny dział wód, z którym na kontynencie europejskim porównać się dadzą tylko działy wodne: alpejski i karpacki. Wyżyna wałdajska tworzy jak gdyby ośrodek kranów, z których wypływają wszystkie rzeki wschodnio-europejskie, biegnące rozbieżnie, jak promienie, do wszystkich mórz wschodnich. Biorą tutaj początek dopływy

Bałtyku: Wołchow-Newa i Dźwina Zachodnia; dopływy morza Czarnego: Dniepr i Don; wreszcie wpadająca do morza Kaspijskiego potężna Wołga.

Płyta rosyjska ma kilka rozgałęzień, z których każde odegrało w historii rolę naturalnego szlaku najazdów. Jedno z nich, zachodnie, idzie po osi Smoleńsk - Mińsk w głąb obszaru polskiego, stając się działem Dniepru, Dźwiny i Niemna. Drugie, południowe, idzie w kierunku obszaru ukraińskiego, rozpostartego na płycie czarnomorskiej. Trzecie wreszcie, wschodnie, przecięte środkowym biegiem Wołgi, tworzy pomost do podgórz uralskiego, a przez nie — otwiera drogę w głąb Azji.

Płyta rosyjska w środkowej swej części posiada glebę nieurodzajną i pozbawioną podstawowych bogactw naturalnych, której natura rozmieściła hojnie dopiero na jej krawędziach: południowej i wschodniej.

W samym środku płyty rosyjskiej rozsiadło się w zaraniu dziejów państwo moskiewskie. Usadowiło się ono na dziale wodnym, dzielącym systematy rzeczne trzech mórz europejskich, oraz na skrzyżowaniu się przekątnych, łączących wszystkie rozgałęzienia płyty rosyjskiej. Sytuacja geograficzna Moskwy przypomina pozycję pajaka w samym środku sieci, w tym wypadku — hydrograficznej i korytarzowej.

Najazd Mongołów spadł na Europę Wschodnią, z południowej części podgórz uralskiego, naturalnym pomostem, wiodącym w kierunku płyty rosyjskiej. Na płycie nadwołżańskiej rozdzielił się na dwa kierunki: na Kijów i Polskę poszedł przez płytę czarnomorską, na Moskwę — z Nadwołża.

Zrzuciwszy z siebie jarzmo mongolskie, lecz upodobniwszy się psychicznie i fizycznie do świata mongolskiego na skutek trzystoletniej niewoli, wyrusza Moskwa w końcu XIV w. ze swego środkowego położenia we wszystkich kierunkach jednocześnie. Wyrusza ze swej ubogiej koleby naturalnymi szlakami najazdów, na zachód, na północ, na wschód i na południe, po łupy wojenne i bogactwa, których nie posiadała.

Najbliższej Moskwy położona krawędź płyty rosyjskiej spada w nizinę nadbałtycką, w której usadowiło się naokoło jeziora Ilmen państwo nowogrodzkie. Ono też padło pierwsze ofiarą podboju.

Próby wyjścia w XV wieku z płyty rosyjskiej w kierunku zachodnim po osi Smoleńsk - Mińsk rozbijają się na razie o tamę, jaką zgotował opór potężnej federacji polsko-litewskiej. Opór ten okaże się skuteczny w ciągu półtora wieku i zacznie słabnąć dopiero w połowie wieku XVII.

W kierunku południowym inwazja Moskwy posuwa się z początku dość pomyślnie, ale na samej krawędzi płyty czarnomorskiej spotyka się z Tatarami, opartymi o potęgę turecką. I tutaj aż do połowy XVIII wieku ekspansja moskiewska nieznaczenie tylko uczyni postępy.

Jedynie w kierunku wschodnim, idąc przez płytę nadwołżańską ku Uralowi nie spotyka Moskwa oporu, bo trafia, nie-

mal w próżnię. Czyni olbrzymie zdobycze terytorialne małym kosztem i bez wielkiego w ciągu kilku wieków zadowolenia. Nie na wschodnim bowiem kierunku, nie posiadającym granic, a więc i celów, lokuje Moskwa w ciągu wieków: XV - XVIII swoje główne zapędy zdobywcze. Szturmuje ona całym nakładem swej podbojowej energii pozycję, które ją dzieli od Zachodu i Południa.

W drugiej połowie XVII wieku zaczyna słabnąć opór Polski i Moskwa usadawia się na Zadnieprzu i w Bramie smoleńskiej, zdobywając podstawy wyjściowe do wielkich planów i zamierzeń. Piotr Wielki konkretyzuje cele polityki zachodniej imperium rosyjskiego: polegają one na uzyskaniu dostępu do mórz: Bałtyckiego i Czarnego. Za swego życia realizuje pierwszą część tego programu. Drugą wykonuje Katarzyna, znosząc odrębność Zaporozża i ujarzmiając Krym. Z kolei następują rozbiory Polski i wytwarza się zbliżenie rosyjsko-niemieckie.

Ekspansja podbojowa Moskwy, a później — Rosji wynikała długo z charakteru geograficznego płyty rosyjskiej, kolebki plemienia wielkorusyjskiego. Kraj ubogi, a jednocześnie będący ośrodkiem dróg, rozchodzących się promieniście, musiał się rozszerzać odśrodkowo, we wszystkich kierunkach naraz. Zdobycze, osiągnięte na jednym z kierunków ekspansji podnosiły znaczenie pozostałych. Gdy w wieku XIX, pod wpływem wielkich wynalazków cywilizacji zachodniej i spowodowanych przez nie przeobrażeń gospodarczych. Rosja pozna i oceni wartość swych zdobyczy azjatyckich i kaukaskich, utrzymanie w swych rękach obszaru polskiego, oraz dostępu do mórz Bałtyckiego i Czarnego uzna tym bardziej za warunek swej mocarstwowej pozycji. Wszak wtedy prowadziły drogi, którymi mogła wynosić na obce rynki swe niezliczone bogactwa.

Właściwością ekspansji rosyjskiej, trwającą do chwili obecnej, była jej jednoczesna wielokierunkowość. Jeżeli postępy na pewnych kierunkach ulegały w pewnych okresach historycznych zahamowaniu, to tylko na skutek siły napotykanego oporu. Parcie nie ustawało nigdy. Rosja pęczniała zawsze; jak gąbka: we wszystkich kierunkach. Żeby zahamować pęcznienie gąbki na jednym kierunku, nie ma innego sposobu, jak wycisnąć ją w całości. Jeżeli Rosja cofała się kiedykolwiek, to jednocześnie na wszystkich frontach. Rosja Piotra Wielkiego, Katarzyny i Aleksandra I pęcznieje jednocześnie ze wszystkich stron. Rosja w okresach upadku, jak np. na przełomie XVI i XVII wieku i w latach 1904 - 1920 kurczy się na wszystkich kierunkach. Od roku 1939, od paktu: Mołotow - Ribbentrop, od chwili rozpoczęcia swej wojny o panowanie nad światem, Sowiety pęcznią, jak gąbka: znowu na wszystkich kierunkach. Dzisiaj, jak przed wiekami, problem pozostaje ten sam. Żeby ocalić Europę, trzeba bronić w tym samym czasie Azji i odwrotnie. Nie ma innego sposobu, jak wycisnąć gąbkę.

Rozmiary ekspansji rosyjskiej rosły w miarę osiągania kolejnych celów. Z początku chodziło o wyjście z ubogich obsza-

rów na przestrzenie urodzajne, później o wyjście na szlaki handlowe, później o dostęp do mórz, następnie o wyjścia na morza ciepłe, wreszcie, w naszej epoce, o dostęp do oceanów i o panowanie nad światem.

Inną właściwością imperializmu rosyjskiego, była, od końca XVII wieku co najmniej, wielka, czasami genialna umiejętność posługiwania się propagandą, pozwalającą na przemycanie najbardziej drapieżnych podbojów pod pozorami wielkich idei. Piotr Wielki, najbezwzględniejszy z despotów rosyjskich pomiędzy Iwanem Groźnym i Stalinem, czarował i obezwładniał świat zachodni swoją pozą pioniera postępu i cywilizacji. Katarzyna dokonywała rozbiórów Polski pod hasłem obrony uciemnionych rzekomo dyssydentów religijnych, przy poparciu wielkiej części opinii na Zachodzie Europy, przy akompaniamencie zachwytów ze strony Woltera, Diderot i innych koryfeuszy kultury zachodniej. Aleksander I, najbardziej despotyczny z władców europejskich swej epoki przewodził koalicji przeciwfrancuskiej pod hasłem walki z despotyzmem. W ciągu całego XIX wieku imperializm rosyjski rozwijał się pod hasłem wyzwalania ziem słowiańskich. O rozmiarze spustoszeń, jakich dokonała w umysłowości zachodnio-europejskiej propaganda rosyjska, świadczyć może upór z jakim pisarze i publicyści francuscy, urodzeni w epoce upajania się sojuszem rosyjskim, utożsamiają Rosję ze Słowiańszczyzną, a imperializm sowiecki z rzekomym, słowiańskim parciem na Zachód. Mistrzostwo Sowietów w zakresie wojny psychologicznej nie jest świeżej daty. Celowała w nim już stara, carska Rosja.

Imperializm rosyjski, czerpiący swój dynamizm z warunków geograficznych obszaru rosyjskiego, nie uznawał i bodaj nie mógł uznawać żadnych granic. Rosja, rosnąca w siłę, stawiała sobie coraz dalsze cele do osiągnięcia. Gdyby klęski, poniesione w pierwszej wojnie z Japonią i w pierwszej wojnie światowej nie wywołały rewolucji, Rosja carska sięgnęłaby po dostęp do oceanów. Nawet bez komunizmu Rosja musiałaby sięgnąć po władzę nad światem. Symbioza uniwersalistycznej doktryny z duchem dziejów obszaru rosyjskiego dała w wyniku stalinowską wykładnię komunizmu. Dążenie do komunistycznego państwa powszechnego przez rozszerzenie zasięgu imperium sowieckiego jest nową formą zjawiska, które rozwijało się od wieków. Gdyby rewolucja komunistyczna dokonała się nie w Rosji, lecz w którymkolwiek kraju zachodnim, komunizm mógłby być zachować charakter ruchu międzynarodowego. Realizowany na obszarze rosyjskim, musiał nasiąknąć duchem tego obszaru, oraz ulec jego odwiecznym prawom i ich logice.

W świetle tego uzupełnienia teza Burnhama, wykluczająca możliwość wyrzeczenia się przez Sowietów dążenia do władzy nad światem, nabiera pełnego wyrazu. Komunizm sowiecki, opierający się na bazie obszaru rosyjskiego, nie ma możliwości zaniechania dążeń ekspansyjnych nawet gdyby tego szczerze pragnął. Zapanowawszy siłą, lub podstępem na przestrzeniach nie-

rosyjskich, posiadających odrębną osobowość kulturalną i historyczną, musi on dążyć do wchłonięcia ujarzmionych narodów i organicznego zespolenia ich z całością państwa sowieckiego. Konieczność zabezpieczenia tego procesu zmuszać będzie Sowiety, jak dawniej zmuszała Rosję, do stałego poszukiwania bezpieczeństwa przez obejmowanie pod kontrolę coraz dalszych przestrzeni, oraz przez obezwładnianie realnych, czy urojonych przeciwników, mogących zakłócić spokojny przebieg absorpcji. Sowiety nie mogą się wyrzec podbojowej doktryny, gdyż zmusza ich do podboju logika rozwoju historycznego obszaru, jaki zajmują. Gdyby doktryna uniwersalnego państwa komunistycznego straciła swoją własną rację, służyłaby jeszcze dla usprawiedliwienia niezależnej od niej dynamiki obszaru, ujarzmionego przez Rosję. Sceptycyzm wobec sowieckiego projektu konferencji czterech, czy pięciu, czy wobec jakiegokolwiek konferencji, byłby śmieszny, gdyby wynikał z posądzania sowieckich partnerów o małąpą złośliwość. Jego prawdziwym usprawiedliwieniem jest narastanie świadomości, że ż a d n e porozumienie z sowieckim wschodem nie jest osiągalne bez przedsięwzięcia, czy późniejszej wobec niego kapitulacji.

Pokój całkowity

Prawdziwy pokój jest osiągalny tylko pod warunkiem radykalnego usunięcia przyczyn zagrożenia świata. Musi to być pokój całkowity, polegający na realizacji całkowitego programu. Tego programu w chwili obecnej nie ma i nie stworzą go kancelarie najlepszych rządów, o ile nie powstanie on w umysłach pisarzy, filozofów, ekonomistów i nie przybierze charakteru żywiołowego prądu, w którym rządy znajdą źródła decyzji.

Podstawowym warunkiem usunięcia przyczyn zagrożenia świata jest o d e b r a n i e obszarowi, zajmowanemu obecnie przez Związek Sowiecki, wszystkich cech, zmuszających go do bezustannego parcia imperialistycznego i to we wszystkich kierunkach. Upadek komunizmu w wyniku wojny, czy rozkładu wewnętrznego, n i e s p e ł n i sam przez się tego warunku. Spełnić go może tylko wówczas, gdy towarzyszyć mu będzie o g r a n i c z e n i e obszaru rosyjskiego do jego naturalnych rozmiarów, wypełnionych przewagą elementu wielkorusyjskiego. Zakreślenie granic tego obszaru w Europie jest stosunkowo łatwe. Z zastrzeżeniem takich, czy innych poprawek, wytycza je geografia polityczna Związku Sowieckiego. Zachodnia i południowa granica sowieckiej republiki rosyjskiej pokrywa się na ogół z konturami geograficznego obszaru rosyjskiego, znanego pod nazwą płyty rosyjskiej. Na zachód i południe od tej granicy rozciągają się nierosyjskie obszary republik: kaukaskich, Białoruskiej i Ukrainskiej, zamieszkałe przez narody nierosyjskie, posiadające w mniejszym, lub większym stopniu własną osobowość kulturalną, a często i historyczną. Sowiety same uznały te odrębności, zapewniając tym obszarom statut republik związko-

wych, lub autonomicznych, oraz wprowadzając niektóre z nich, jak Ukrainę i Białoruś, do Organizacji Narodów Zjednoczonych, jako organizmy rzekomo suwerenne.

Rewizja statutu terytorialnego obszaru rosyjskiego w Europie, sprowadzająca go do naturalnych granic i przywracająca wolność narodom nierosyjskim, zmieni w radykalny sposób charakter tego obszaru i uwolni go od tendencji zdobywczych. Pozbawiona bogactw rolnych i kopalnianych obszar ukraińskiego, oraz kaukaskich źródeł ropy naftowej, Rosja właściwa zostanie zmuszona do współżycia z wyzwolonymi krajami i z całym światem na zasadach wzajemnej wymiany usług i towarów w warunkach równości, a nie przymusu. Jej bogactwa będą jeszcze ogromne i dostateczne, aby jej pozostawić możność udziału w życiu międzynarodowym, jako czynnikowi pierwszego rzędu, ale jej potencjał, przekształcalny na cele podbojów, ulegnie osłabieniu. Następstwa tych przemian odebrałyby Rosji możność powrotu na tory imperializmu zarówno w Europie, jak w Azji.

Wyznawcy przebrzmiałych teorii ekonomicznych mogliby mnożyć w nieskończoność zastrzeżenia przed osłabieniem terytorialnym i gospodarczym, jako prowadzącym do odwetu. Słaba strona tych zastrzeżeń polega na tym, że stosuje się je zazwyczaj nie do wszystkich, lecz do wyjątków. Byłoby nonsensem zwalczanie hitlerowskiej koncepcji poszerzenia przestrzeni życiowej Niemiec przez podbój krajów sąsiednich, a uznawanie słuszności poszerzenia rosyjskiej przestrzeni życiowej przez ujarzmianie narodów nierosyjskich.

Ten typ zastrzeżeń posiadał pewne uzasadnienie w czasach, kiedy opanowanie przestrzeni zapewniało zdobywcy względną, przynajmniej samowystarczalność. Dążenie do zaspokojenia konieczności życiowych mogło wówczas usprawiedliwiać grabież i podbój, połączone z ujarzmianiem słabszych liczebnie i materialnie narodów. Ale ta epoka należy do bezpowrotnej przeszłości. Mówi się jeszcze o Stanach Zjednoczonych i o Rosji, jako o dwóch państwach, posiadających warunki samowystarczalności. Postępy naukowe i rozwój techniki ostatniego dziesięciolecia spowodują rewizję i tego poglądu. W okresie radaru i samolotu o motorze odrzutowym, w okresie wyzwolenia energii atomowej żadna część globu ziemskiego nie może sobie pozwolić na wyłączenie się z całości. Świadomie, czy nieświadomie, z wolą czy wbrew woli jednostek, lub narodów świat wkroczył na drogę do integracji w jedną całość. Jakikolwiek byłoby przeszkody, mogą one tylko opóźnić ten proces, nie potrafią go zatrzymać. Na naszych oczach dokonywa się integracja przymusowa przestrzeni, opanowanej przez Rosję, oraz próba integracji Europy Zachodniej, powolna, bo dobrowolna. Zagrożenie sowieckie powoduje jednak coraz bardziej uchwytne zaczątki procesów integracyjnych w reszcie świata w najszerszej skali i nie zapobiegnie temu izolacjonizm amerykański, indyjski, lub arabski. Wynikający z postępów nowoczesnej nauki i techniki proces integracyjny jest wyrazem najdonioślejszej mo-

że rewolucji w dziejach świata. Posiada ona swoją własną logikę, w niewielkim stopniu tylko zależną od woli ludzkiej. Chodzi o to, czy warto się tej rewolucji opierać i czy nie lepiej włączyć się w nią, by w jej istocie znaleźć źródła nowych idei, oraz nowe cele w odwiecznym pochodzie ludzkości ku ideałowi szczęścia.

Punktem wyjścia koncepcji pokoju totalnego może być tylko przyjęcie zasady integracji świata. Powinna się ona dokonać w okresie przejściowym poprzez integrację poszczególnych jego części, zanim przekształcenie świata na jeden związek organiczny okaże się możliwe. Integracja Europy wymaga organizacji poszczególnych jej obszarów na zasadach federacyjnych. Europa zachodnia może być tylko zaczątkiem przyszłej całości. Europa w pełni tym tego słowa znaczeniu może powstać dopiero po wyzwoleniu i zorganizowaniu na zasadach federacyjnych przestrzeni, zawartej między linią: Odra - Nysa - Sudety, a wschodnimi granicami obszarów nierosyjskich, które są zarazem wschodnimi granicami Europy. Ta wyzwolona i zorganizowana przestrzeń, obejmująca 9 państw samodzielnych przed rokiem 1939, oraz Białoruś, Ukrainę i Kaukaz, zgrupuje około 160 milionów ludności, oraz wielkie bogactwa rolne, surowcowe i przemysłowe. Przesuwając granice Europy z dzisiejszej, żelaznej kurtyny na zachodnią krawędź płyty rosyjskiej, organizacja tej przestrzeni może zapobiec skutecznemu odrodzeniu się dwóch imperializmów, które zakłócają spokój ludzkości: niemieckiego i rosyjskiego.

Rosja, nawet ograniczona do swej naturalnej przestrzeni, nie będzie obszarem europejskim ani psychicznie, ani terytorialnie. Uformowana, jako reakcja na niewolę mongolską, przejęła od dawnych władców wiele z ich właściwości psychicznych, umysłowych, a nawet fizycznych. Zachód, zarażony propagandą rosyjską w ciągu XIX wieku, stawia lekkomyślnie Rosję na czele świata słowiańskiego, pojmowanego niemal jako organizm jednolity pod względem językowym, kulturalnym, obyczajowym i moralnym. W rzeczywistości jednolitość świata słowiańskiego należy do rzędu tych samych fikcji, jak jednolitość świata łacińskiego i germańskiego. Polska, Czechy, Słowacy, Chorwaci i Słowenci, jak również nie słowiańscy Bałtowie, Węgrzy i Rumunowie, należą do cywilizacji zachodniej podobnie, jak Włochy, Francja czy Niemcy. Przez długie wieki językiem wspólnym tych narodów była łacina. Rozmiar różnic pomiędzy sposobem życia i myślenia w Polsce i w Czechach z jednej strony, a w Rosji z drugiej strony jest taki sam, jak pomiędzy narodami łacińskimi a muzułmańskim wschodem.

Rosja jest obszarem eurazjatyckim i tworzyć powinna w przyszłej organizacji świata jego odrębną część składową. Uwolniona w Europie od obszarów nierosyjskich, zorganizowana w Azji na zasadach federacyjnych i usunięta z obszarów o dostatecznie zarysowanej odrębności kulturalnej i narodowej, powin-

na być wprowadzona do wspólnoty światowej na zasadach równości, ale nie w i e c e j.

Wyzwolenie i organizacja przestrzeni środkowo-wschodniej Europy, ograniczające w wysokim stopniu potencjalne możliwości odrodzenia się imperializmów: rosyjskiego i niemieckiego, przedstawiać powinno jeden z zasadniczych warunków pokoju całkowitego. Drugim z tych warunków, niezbędnym dla wyzwolenia ludzkości ze strachu przed wojną, powinno być umiędzynarodowienie tych wynalazków naukowych, które mogą być nie tylko narzędziem postępu, lecz i zniszczenia, wraz ze służącymi dla ich realizacji źródłami surowców i armaturą przemysłową. Wkroczenie świata na drogę stopniowej integracji ułatwi znakomicie spełnienie tego warunku.

Oto problemy, przed którymi stoi świat wolny z przodowniczym mocarstwem na czele i które musi umieć rozwiązać pod warunkiem własnej zagłady. Półśrodk, obliczone na zastraszenie Sowietów, nie doprowadzą do niczego pożytecznego, gdyż organizm, tak potężny, jak Rosja i tak na serio walczący o osiągnięcie celów, w których widzi swą ideę przewodnią, zastraszyć się nie da. Rosji sowieckiej nie sprowadzą z drogi, na którą wkroczyła, ani pogroźki, ani konferencje, ani nawet zbrojenia, których celem byłby kompromis na zasadzie humorystycznie już dzisiaj brzmiących "wzajemnych ustępstw". Dopóki Stalin i jego sztab polityczny będą czuli, że świat nie otrzeźwiał ze swoich naiwnych złudzeń o ułożeniu "koegzystencji" dwóch systemów, dopóty oni będą prowadzili grę, zachowywali inicjatywę, narzucali rozwiązania. Dopóki oficyny Departamentu Stanu będą brały na żołąd przywódców politycznych, uciekających z żelaznej kurtyny, skompromitowanych współpracą z miejscowymi rządami komunistycznymi i z ich sowieckim mocodawcą, dopóty Sowiety nie będą potrzebowały liczyć się z aktualizacją zagadnienia — niepodległości państw zwasalizowanych. Politycy sowieccy są dostatecznie inteligentni, aby zrozumieć, że nie używa się ludzi, którzy firmowali Jałtę, do zerwania z polityką Jałty. Wiedzą, że wysuwanie tych ludzi, należy do gatunku niewinnych manewrów, zmierzających do niepokojenia rządów satelickich i to tylko dlatego, aby w chwili wielkiej negocjacji zachęcić Sowiety do ustępstw, które by doprowadziły wreszcie do upragnionej, pokojowej koegzystencji dwóch systemów, przedzielonych linią podziału strefy wpływów. Lęk anglosaskich kół politycznych do "kompromitowania się" z legalnym rządem polskim w Londynie i z grupą stronnictw, stojących na stanowisku ciągłości prawnej państwa polskiego, połączony z forytowaniem zwolenników układu Jałtańskiego, przedstawia dla Sowietów dostateczną wskazówkę obecnej tendencji Departamentu Stanu, unikającej przekreślenia Jałty, a więc pod każdym względem odpowiadającej interesom Kremla.

Dopóki błąkać się będą pomysły tworzenia w ramach armii

atlantyckiej cudzoziemskiej legii ochotniczej, dopóty Sowiety nie mają powodu lękać się niebezpieczeństwa prawdziwej dywersji na tyłach pasa frontowego, którą mogłoby spowodować tylko istnienie zespołu zaczątków armii narodowych, organizowanych pod autorytetem własnych rządów, lub legalnych reprezentacji¹⁾ i na podstawie gwarancji politycznych. Dopóki polityka niemiecka Departamentu Stanu będzie stwarzała choćby tylko pozory dążenia do przywrócenia Niemcom potęgi wojskowej, oraz przedwojennego stanu posiadania terytorialnego, dopóty Sowiety będą miały prawo liczyć na nieporozumienia w obozie zachodnim i na wahania wśród najbardziej im wrogich kół opinii publicznej w krajach ujarzmionych.

Przerwać sowiecki pochód do władzy nad światem może tylko pewność, że narody wolne, z Ameryką na czele, posiadają nieubłaganą w o l e posłużenia się siłą, którą zaczęły tworzyć, dla wprowadzenia w życie zasad pokoju totalnego. Sowieckiemu dążeniu do komunistycznego państwa uniwersalnego nie zapobiegnie program obrony status quo, nie posiadający z a d n e j atrakcyjności ani wśród mas społecznych świata wolnego, ani wśród narodów, izolowanych za żelazną kurtyną. Dynamizmowi idei stalinowskiej trzeba przeciwstawić dynamizm n o w e j i wielkiej idei, która wstrząsnęłaby wyobraźnią mas, a ludzkości przywróciłaby wiarę w celowość wysiłków i poświęceń, jakich się od niej wymaga. Taką ideą może być tylko w y z w o l e n i e ludzkości z lęku przed stalinowskim totalizmem, wyzwolenie n a r o d ó w u j a r z m i o n y c h, stopniowa i n t e g r a c j a świata w jeden organizm, w którym nauka służyłaby postępowi, a nie śmierci i w którym mogłoby nastąpić wyrównanie różnic gospodarczych i kulturalnych. Rewolucyjność tego programu może przerażać tylko ślepych i głuchych. Świat żyje w pełnej rewolucji i nie ma takiej siły, która byłaby zdolna ją stłumić. To, co niesie światu Rosja Sowiecka, jest rewolucją w stosunku do wierzeń i ideałów, właściwych społeczeństwom, jeszcze wolnym. Ale rozpoczęta pod przewodem Ameryki organizacja świata wolnego dla obrony przed totalizmem powoduje i powodować będzie w coraz szybszym tempie przemiany niemniej rewolucyjne. Chodzi o to, aby świadomość ludzka, zamiast dreptać śladem dokonywujących się przemian, zaczęła je przewidywać. Chodzi o kodyfikację głównych kierunków dokonywującej się rewolucji w system, czy program, dla którego warto byłoby żyć, a w potrzebie nawet umierać. Chodzi o wizję przyszłości i o wolę urzeczywistnienia tej wizji.

Świat wolny zaczął sobie zdawać sprawę z grożącej mu kapitulacji. Ocalić go może tylko idea i wola w y z w o l e n i a.

Styczeń - luty, 1951.

AL. KAWAŁKOWSKI.

1) Pogląd redakcji "Kultury" był sformułowany w poprzednich numerach przez J. Mieroszewskiego.

Poezja i dialektyka

W pismach wydawanych w Polsce toczą się ostatnio rozlewkle dyskusje o poezji. Prawdopodobnie większość Polaków, którzy czytają te pisma na emigracji, nie zdaje sobie sprawy z wagi tych sporów i pomija je obojętnie. Jest to zresztą naturalne; trudno żądać od ludzi przebywających zagranicą aby pozbyli się swoich przyzwyczajęń i przestali traktować poezję (i w ogóle sztukę) jako niewinną rozrywkę estetyczną, dającą tę przyjemność (w najlepszym wypadku) co kawa po obiedzie.

Niemniej dyskusja o poezji dla młodego człowieka z Warszawy, Łodzi czy Wrocławia jest niesłychanie poważną sprawą. We wszystkich krajach Nowej Wiary rozważania ideologiczne mają wartość bynajmniej nie ćwiczeń umysłowych: zależą od nich osobiste decyzje, a co za tym idzie los własny i los najbliższych. Nie trudno też odgadnąć dlaczego wśród tych rozważań na pierwszy plan wysuwają się rozważania o poezji, malarstwie czy muzyce. Bezpośrednie zaatakowanie problemów filozofii nie jest możliwe, gdyż boją się tego nawet najwyżej postawieni dialektycy, a w Centrum, gdzie przemawia głos wyrzeczni, filozof jest osobnikiem, który ma nieduże szanse dożycia sędziwego wieku. Natomiast tam, gdzie chodzi o teorię poezji, malarstwa czy muzyki ciągle istnieje możliwość ostrożnego wypowiadania własnych opinii, bo pomimo usiłowań nie stworzono dotychczas systemu estetyki marksistowskiej i nie bardzo wie się jak łapać złodzieja: jest to duży, dziko zarośnięty ogród, po którym chodzą wprawdzie strażnicy, ale sami czują się niezbyt pewnie. A poezja, malarstwo czy muzyka są tak ściśle połączone z całym życiem człowieka, że ktokolwiek próbuje o nich mówić, musi pusić w ruch swoje najbardziej podstawowe wyobrażenia o świecie. Spory o sztukę mają więc tę wagę co spory teologiczne w ubiegłych wiekach i są śledzone z wielkim napięciem. Pospolity i zabawny błąd, popełniany przez wielu na Zachodzie, polega na odrywaniu tych zjawisk, które określa się jako "kulturalne", od całości systemu Nowej Wiary; intelektualści zgorszeni widowiskiem przymusu stosowanego wobec artystów, występują wtedy w "obronie kultury"; natomiast ludzie mniej zainteresowani podobnie górnolotnymi kwestiami skłonni są uważać szamotania się poety, który nie chce uprawiać "socjalistycznego realizmu", a nawet idzie z tego powodu na emigrację, za kłopoty pięknoducha. W rzeczywistości i jedni i drudzy okazują znaczną lekkomyślność: gra nie toczy się tutaj o bliżej nieokreślone "wartości kulturalne". Przeciwnie, zaangażowane są tutaj najbardziej zasadnicze wierzenia ludzkie i od rozstrzygnięcia niektórych, zdawałoby się zupełnie abstrakcyjnych, zmagają, zależy przyszłość pewnego typu cywilizacji, a więc los robotnika i chłopa, równie jak artysty. W walkach Arian z katolikami i z luteranami nie chodziło tylko o troistą istotę Bóstwa: zagadnienie czy Chrystus jest Synem Bożym czy jednocześnie jedną z osób Trójcy oznaczało całkowicie przeciw-

ne dążności cywilizacyjne u spierających się stron. Podobnie w krajach Nowej Wiary bardzo cienkie rozróżnienia w zakresie teorii sztuki nabierają ogólnego sensu i rozumie to dobrze tamtejszy czytelnik.

"Przełom" w życiu kulturalnym Polski dokonał się w r. 1950*). Do tej daty nie każdy utwór, ukazujący się w pismach wydawanych za pieniądze rządowe, musiał być oceniany przez redakcje według zasad przyjętych w Centrum. Od r. 1950 kto chce dyskutować na łamach rządowych pism powinien wykazać, że trzyma się ściśle leninizmu-stalinizmu. Stwarza to duże trudności, bo mniej wyćwiczeni nie mogą zapuszczać się w gąszcz, gdzie na każdym kroku grozi wpadnięcie w herezję. Tylko najzręczniejsi odważają się na te wyprawy, przypominające marsz na linie.

Poza prasą ściśle ortodoksyjną, istnieje prasa katolicka i do niej może się zwrócić kto chce zażyć większej swobody. Jednakże cena, jaką będzie musiał zapłacić jest dość wysoka. Autor, który chce drukować w prasie katolickiej, godzi się tym samym na przyszcicie sobie łaty. Zyskuje status Żyda w bardziej tolerancyjnych fazach hitleryzmu. Łaty są dwóch rodzajów. Jeżeli będzie pisać do "Dziś i Jutro" zyska łatę "postępowego katolika", a więc coś jakby Żyda pracującego dla Rzeszy. Nie jest to szczególnie miłe. Jeżeli będzie pisać do "Tygodnika Powszechnego" czy "Znaku" zyska łatę Żyda niepoprawnego. Jest to bardzo mądry system, bo najbardziej nawet przenikliwe artykuły przez sam fakt ukazania się w prasie katolickiej budzą u obywateli pierwszej klasy grozę: jest to towar z napiętnowanego sklepu. Pisma katolickie wloką za sobą ogon czytelników, którzy są rodzajem zabytku minionej epoki; toleruje się te pisma, wychodząc ze słusznego założenia, że lepiej jest zapewnić oficjalne ujście dla uczuć religijnych i "nacionalistycznych" i stopniowo podobne uczucia likwidować, niż spychać je do katakumb. We Wschodnich Niemczech dla tych samych powodów utworzono specjalną partię dla byłych członków NSDAP. Pism tych czeplia się również najlepsza — bo niekonformistyczna — młodzież, oczywiście, jeżeli przyjmiemy założenie, że non-konformizm jest zaletą charakteru, a nie wadą. Fakt, że kto chce jawnie głosić swoją opozycję w dziedzinie sztuki musi dać sobie przyszyć łatę, jest wygodny, bo odstrasza ludzi, którzy chociaż są w cichej opozycji, nie chcą dać się zepchnąć do "parafianśczyzny". Mnóstwo więc korzyści z tolerowania pism katolickich; cenzura już dba, żeby ich poziom nie był zbyt wysoki.

W takich warunkach — tj. przy istnieniu prasy ortodoksyj-

*) W r. 1950 natapila fuzja "Kuźnicy" i "Odrodzenia" w jedno pismo "Nowa Kultura", poddane bezpośrednio kontroli KC PZPR. Również w tymże roku "Twórczość" została przeniesiona z Krakowa do Warszawy i stała się oficjalnym organem Związku Literatów. Związek Literatów otrzymał sekretarza generalnego "mocnej ręki" w osobie Jerzego Putramenta.

nej i prasy przeznaczonej dla rezerwatu dzikusów — otwarta dyskusja jest niemożliwa. Postaram się wyłowić to co stanowi sedno sporów, pojawiających się w formie celowo mglistej i zamaskowanej.

Jedną z najciekawszych polemik ostatnich paru lat była polemika o wartości impresjonizmu francuskiego toczona w Moskwie. Można ją znaleźć w języku polskim w "Przeglądzie Artystycznym" z r. 1950. Co prawda był to raczej atak niż polemika, a mówiąc dokładniej, był to akt oskarżenia rozłożony na kilka głosów. W r. 1949 znaleźli się jeszcze w Moskwie i Leningradzie historycy sztuki, którzy bąkali, że współczesne malarstwo rosyjskie jest niewiele warte i że należy uczyć się u impresjonistów francuskich jak malować. Ci właśnie historycy sztuki, jako "kosmopolici bez ojczyzny" stali się przedmiotem napaści. Nie tylko zresztą oni. Głównym oskarżonym był ceniony przez nich impresjonizm francuski. Niechęć do sztuki Zachodu nie jest w Rosji nowym wynalazkiem. Na tychże impresjonistów gromy rzucał i Lew Tołstoj, uważając ich za degeneratów (wrzucając do jednego worka jako objawy degeneracji również Wagnera — czego mu nie mam specjalnie za złe — i Szekspira). Nie chodzi jednak o ogólną tendencję, a o gatunek użytych argumentów. Oskarżyciele impresjonizmu udawadniali, że malarstwo francuskie końca XIX wieku jest produktem tej samej "fazy historycznej", która wydała po-kantowską teorię poznania; ponieważ świat był dla tych malarzy feerią światła i barw łatwo wynioskować że ich stosunek do świata był czysto zmysłowy i że rezygnowali oni z racjonalnego poznania zjawisk. Ich sztuka była oparta na błędnej filozofii, która przedstawiała wiernie dekadencję francuskiej burżuazji. W przeciwieństwie do nich, współcześni im rosyjscy malarze realistyczni opierali się na racjonalnej analizie zjawisk, tj. widzieli przeciwieństwa klasowe w Rosji, za cel główny malarstwa uważając oddanie życia ludu. Realistyczne więc malarstwo rosyjskie XIX wieku stoi wyżej niż impresjonizm francuski i ono to powinno być źródłem natchnień dla malarzy.

Przytoczyłem ten wywód bynajmniej nie dlatego, że łatwo uznać go za absurdalny. Sięga on do samych głębin dialektyki. Dialektyka jest to jak wiadomo "logika sprzeczności". Dialektyka materialistyczna wychodzi z założenia, że sprzeczności naszych pojęć (które sprawiają, że w wielu wypadkach nie wystarcza logika formalna) są odbiciem sprzeczności materii w ruchu. Wszelka dyskusja o sztuce jest ni mniej ni więcej tylko dyskusją o metodzie dialektycznej (bo sztuka jest najbardziej bezpośrednią próbą uchwycenia materii) i dlatego ma pierwszorzędne znaczenie teologiczne.

Współczesny poeta czy malarz, dzieląc ze swoimi współobywatelami ich losy i doznając na własnej skórze niesłyszanego historycznego przyspieszenia, patrzy na świat jako na zespół zjawisk w ciągłym ruchu i w tym jest zgodny z dialektykiem.

Inna sprawa jednakże kiedy trzeba przyjąć twierdzenie, że metoda dialektyczna, tak jak się ją wyklada w uniwersytetach na obszarze od Szanghaju do Elby, przedstawia wiernie ruch zjawisk. Przyglądając się zrecznym figlom dialektyka, artysta nie może uwolnić się od podejrzeń. Podejrzewa dialektyka, że gra on kartami wyjmowanymi zrecznie z rękawa tzn., że najpierw wprowadza pojęcia, pokazuje te pojęcia zdumionym widzom, stwierdza ich sprzeczności i te sprzeczności pojęć podaje za sprzeczności zjawisk. Tylko w ten sposób można udowodnić, że np. impresjonizm francuski stoi niżej od malarstwa rosyjskich "pieredwiżników". Jeżeli tak złożone zjawisko jakim był impresjonizm francuski sprowadzi się do pojęcia burżuazyjnej teorii poznania i przeciwstawi się jej leninowską teorię poznania, stwierdzając jednocześnie, że jedna jest zjawiskiem schyłkowym, a druga wstępującym, nie trudno jest osiągnąć zwycięstwo (co ciekawsze, uważa się, iż leninowska teoria poznania istniała in potentia w umysłach inteligencji rosyjskiej ubiegłego stulecia). Co jednak począć z faktem, że malarstwo impresjonistów francuskich jest pełne upojenia pięknem świata, świadczy o wewnętrznym ładzie twórców i pozostaje jako trwały wkład w historię światowej sztuki, czego nie można powiedzieć o realistach rosyjskich? Zresztą zabieg moskiewskich krytyków można uznać za klasyczny. Jest on stosowany w różnych dziedzinach np. przy jego pomocy udowadnia się przekonująco, że jedynym człowiekiem naprawdę wolnym jest obywatel sowiecki, albo, że Amerykanie napadli na Północną Koreę, co wynikać powinno z tego, że są imperialistami. Poeta czy malarz jednak, albo stara się uchwycić zjawiska w ich całej złożoności, tj. mówić to co widzi, albo stoczy się po równi pochyłej: kiedy zamiast stołu (z chropowatością jego drzewa, płamą atramentu, nadłamaną jedną nogą) wprowadzi pojęcie stołu, postąpi jak ktoś, kto mogąc jeść chleb i pić wino, godzi się na sztuczne odżywianie. Po dłuższej kuracji tego rodzaju odzwyczai się od normalnych pokarmów.

Osobiście sędzę, że właśnie dlatego pomiędzy sztuką i dialektyką istnieje zupełna wrogość. Każde prawdziwe dzieło sztuki, choćby jego autor przysięgał, że jest zwolennikiem materializmu dialektycznego, usuwa w cień dialektykę i, na odwrót, dialektyka uniemożliwia sztukę. Wolno każdemu wybrać co woli, ale wybrać trzeba. Można powiedzieć, że zbyt ni szacunek dla sztuki jest wytworem pewnego okresu historycznego i że nie należy wiązać losów ludzkości z losem sztuki. To też jest punkt widzenia. Sprzeciwia się temu inny pogląd, według którego sztuka jakiegoś społeczeństwa daje nam możliwość zbadania w jakim stopniu dane społeczeństwo jest zdrowe tj. na jaką równowagę psychiczną artystów pozwala. Z tego punktu widzenia np. Holendrzy XVII wieku osiągnęli dużą harmonię, kraje dzisiejszego kapitalistycznego Zachodu są ciężko chore, a ludność Związku Sowieckiego osiągnęła stan niemal doskonałej psychicznej śmierci.

Spory o poezję w Polsce obracają się dokoła właśnie tego zagadnienia. Słusznie krytykuje się "deklaratywność" wierszy całej plejady świeżo nawróconych na "realizm socjalistyczny" poetów. Jednakże "deklaratywność", tj. operowanie zdaniem jakby wyciętymi z artykułów wstępnych, jest prostym następstwem poddania poezji dialektyce.

Malując jabłko Holender nie starał się, żeby to jabłko było t y p o w e, tj. żeby było pojęciem jabłka.

Opisując Państwowe Gospodarstwo Rolne poeta nie przedstawia go konkretnie (bo to mógłby być pesymizm; co jeśli np. zdarzy się że partyjni są tam największymi draniami, albo rozpadają się budynki?) tylko tworzy obrazy pogodne, ponieważ PGR czy kołchoz są wyższą formą gospodarki niż dwór czy gospodarstwo chłopskie. W istocie poeta nie może używać innego języka niż język artykułów wstępnych i różnica talentu wyraża się w tym, że jeden pisze lepszy artykuł wstępny, a drugi gorszy. Ataki na "deklaratywność" są zamaskowanymi atakami na dialektykę materialistyczną tj. pozwalają przypuszczać, że pomiędzy ruchem pojęć i ruchem zjawisk zachodzi niewspółmierność i że sztuka zdolna jest lepiej uchwycić ruch zjawisk niż dialektyka. Jest to wyrażna herezja. "Deklaratywność" wynika z faktu, że w dialektyce materialistycznej znalazła pełne ujęcie nihilistyczna asceza, która miała w Rosji ubiegłego stulecia swoich świętych i męczenników. Jest dla mnie zupełnie jasne, że "naszaźdzenie", które było uważane przez rosyjskich teoretyków XIX wieku za grzech ("para butów jest więcej warta niż Szekspir") jest nieodłączne od wszelkich prób uchwycenia w wierszu czy w obrazie zjawisk otaczającego nas świata. Potępienie impresjonizmu francuskiego jest zupełnie uzasadnione, bo w każdym obrazie Maneta czy Renoira jest to "naszaźdzenie". Również tam gdzie artysta jest najbardziej gorzki i satyryczny istnieje "naszaźdzenie" bo zdaje się ono polegać na wysiłku żeby jak najwięcej rzeczywistości zamknąć w dziele sztuki.

Wielka powieść rosyjska miała to cierpkie "naszaźdzenie" a znajdowała łaskę w oczach nihilistów, ponieważ przedstawiała ponurą Rosję carską. Kiedy jednak dzisiaj, przy pomocy dialektyki realizowane jest szczęście ludzkiego gatunku, artysta powinien służyć dialektyce niepodzielnie tzn., że ona typizuje zjawiska i daje mu w ręce gotowe pojęcia.

Za wzór powieści "realizmu socjalistycznego" uchodzi w Polsce "Daleko od Moskwy" Ażajewa. Otóż powieść ta jest chyba najdoskonalszym przykładem pisarskiej ascezy: mimo największego wysiłku czytelnik nie może zobaczyć rzeczywistych ludzi i rzeczywistych warunków w których żyją. Jest to już niemal matematyczne równanie: wróg klasowy, inteligent z dobrymi zadatkami, który błądzi, ale się nawraca, dzielny komunista, śmiała komsomołka, szkodnik — niedołęga-karierowicz. Czytelnik zadaje sobie pytanie kto są robotnicy, którzy pracują w śniegach syberyjskiego północno-wschodu, w jaki

sposób tam się znaleźli, gdzie są ich rodzinne wioski, co myślą, co czują, jak długo mają tam przebywać. Żadnej odpowiedzi. Istotna tylko jest budowa naftowego rurociągu. Równanie złożone jest z elementów plus (to co budowie pomaga) i minus (co budowie szkodzi). Jeszcze dalej idzie film "Pieśń Tajgi", gdzie tłum robotników, pracujących w lasach syberyjskich, jest pokazany tylko w chwilach zabawy, tj. w miejscowej kantine, gdzie grają na harmoniach i śpiewają. W finale filmu bohater ze swoją ukochaną patrzą na gotowy rezultat pracy tych robotników tj. wielki gmach fabryki, który wyrósł w puszczy; na dachu powiewa czerwony sztandar. Byłoby ciekawe przeczytać takie powieści o obozach pracy przymusowej, jak np. "Bucht Nachodka" Rostowa.

"Deklaratywność" poezji nie jest to tylko sprawa estetycznej wartości wierszy ukazujących się w pismach, a więc bynajmniej nie sprawa "kultury". Albo poeta trzyma się ściśle tego co widzi i czuje, albo robi jedno ustępstwo i wtedy już nie ma dostatecznych racji aby nie pójść dalej. Z dialektycznego stanowiska rurociągi, drogi, kopalnie i fabryki Syberii są szczególnie ważne dla zwycięstwa rewolucji i wysiłek rosyjski na tamtym terenie jest objawem radosnym. Słusznie więc muzyk czy malarz powinien opiewać gigantyczność tego wysiłku. Kto pisze jeden wiersz "deklaratywny", jest gotów przez to samo napisać "Buchtę Nachodkę" czy scenariusz do "Pieśni Tajgi". Na analizę zasługuje natomiast zachowanie się Elinor Lipper, która spędziła wiele lat w syberyjskich obozach pracy przymusowej; zobaczywszy w Paryżu "Pieśń Tajgi" mogła wykrztusić ze ściśniętego gardła tylko te słowa: "oni śmieli!!". Zważmy jak te pozornie estetyczne zagadnienia są związane z losami milionów ludzi: olbrzymia ilość wierszy, filmów i powieści stanowi zasłonę dymną, za którą może odbywać się gigantyczna praca przy pomocy metod najbardziej okrutnych. Nihilizm artystyczny zaczyna się od tego, że zabrania się malarzowi namalowania drzewa, bo jaki jest cel namalowania drzewa? Uchwycenie na płótnie kształtów i barw materii? To za mało. Natomiast może on namalować drzewo idealne i zatytułować obraz "Jabłoń Mieczurina". Stacją końcową nihilizmu jest człowiek odarty z konkretności, człowiek "deklaratywny".

Przypuśćmy, że chcę uczynić bohaterem powieści mego dobrego znajomego X. Jest on członkiem Partii, z zawodu artystą i stale bierze państwowe nagrody na konkursach. Znam go i z innej strony. Kiedyś piliśmy długo w małym gronie przyjaciół. W pewnej chwili X, który miał mocno w czubie, spojrział nieprzytomnie i powiedział: "A ja wam mówię (czknięcie), że ja ten socjalizm (czknięcie) przetrzymam!". Rozdwojenie jakie w nim istnieje czyni go postacią ciekawą dla pisarza. X nie jest jednak według dialektyki typem komunistycznego artysty i książka w której by występował taki jaki jest naprawdę, nie mogłaby się ukazać. Tutaj natykamy się na ciekawy problem typizacji. Mówi się że zadaniem powieściopisarza jest

przedstawianie typów społecznych. Oczywiście, że powieściopisarz obserwując ludzi dzieli je na pewne typy. Zmierza jednak przede wszystkim do jak najstaranniejszej obserwacji swoich postaci i dopiero kiedy jest wierny rzeczywistości jego bohaterowie wchodzą do historii literatury jako typy. Cziczikow Gogola czy Ojciec Goriot Balzaca są typami, ale właśnie dzięki temu, że ich twórcy tak uważnie śledzili rzeczywistość starając się n i c z niej nie uronić. Mój znajomy X mógłby stać się typem literackim, bo takich ludzi jak on jest wielu w Polsce. Gdyby wydrukowano powieść, której byłby bohaterem, okazałoby się że sztuka jest pewniejszym środkiem łapania zjawisk na gorącym uczynku niż dialektyka. Literatura w służbie dialektyki natomiast tym się odznacza, że typy muszą odpowiadać urzędowym oczekiwaniom. W ten sposób zabija się w y p r z e d z a j ą c ą rolę sztuki.

Uznanie szczególnej roli sztuki groziłoby systemowi całkowitym przewrotem. Przedstawienie w sztuce zjawisk tak jak się je widzi, a nie tak jak je widzieć należy, obaliłoby cały szereg instytucji ukrytych za zasłoną dymną. Kiedy zabrania się malarzowi malować martwą naturę, jest to zupełnie logiczne, bo malując konkretne jabłko spełnia on tę samą funkcję co powieściopisarz opisujący konkretny kołchoz czy konkretną Buchtę Nachodkę. Od rzemyczka do koziczka. Malarze i pisarze na Zachodzie grzeszą dłubaniem martwych natur i psychologicznych zawiłości, jednak ciężka choroba nie jest jeszcze śmiercią i w Polsce, założywszy, że nie obowiązują tam "socialistyczny realizm", szybko zabraliby się do kuszących tematów zbiorowego życia. Wtedy jednak prawdopodobnie całe życie w kraju wyglądałoby zupełnie inaczej, bo strach nie może współżyć z prawdą. Różne formy walki podjazdowej przeciwko "socialistycznemu realizmowi" w poezji są obroną prawdy zjawisk przed dialektyką.

Ktoś może mówić o uczciwości pisarzy. Pisarz jednak nie przebywa na księżycu, zaraża się szybko atmosferą swego otoczenia. Szybki podział na kastę uprzywilejowaną i masę obywateli drugiej i trzeciej kategorii, umieszcza go w grupie najlepiej płatnej i wolnej od dolegliwości, które trapią innych. Jego sądy kształtują się w dość wąskim kole ludzi mających podobny społeczny status. Jego kontakty z masą narodu są pozorne; przed wojną był zamknięty w kawiarni, dzisiaj zamyka się w domach pisarzy, a jego wieża z kości słoniowej, jego miły apartament w rządowym bloku, jest chroniona nieraz przez UB. Zmienia się samo jego widzenie rzeczywistości. Dojrzeźwa w nowym gatunku cieplarni. Mój przyjaciel Jerzy Andrzejewski pozwolił sobie w swojej powieści "Popiół i Diament" na odstępstwa od prawdy o roku 1945, który razem spędziliśmy w Krakowie, bo przebywał w Domu Związku Literatów i cierpienia tego narodu, zaiste przerażające, nie były mu dostępne w ich szczegółach. Zastępując rzeczywistość schematem: 1. zdeprawowana inteligencja, 2. młodzież, czyli przegrana ety-

ka, wierności, 3. komuniści, czyli zwycięska etyka społecznego celu — nie spłacał należnego długu zbiorowej tragedii. Cóż mówić o dalszych latach, które go wciągały coraz głębiej w dialektykę. I ja, gdybym mieszkał w Polsce, pisałbym pewnie tak jak inni. Kiedy w grudniu 1950 roku przyjechałem z Paryża do Warszawy i przekonałem się czego ode mnie oczekują, ogarnął mnie bezgraniczny wstręt na myśl o roli pisarza ulegającego prawidłom wypracowanym w kręgach elity. Gdybym próbował przedstawić rozmiary tego wstrętu moim kolegom-pisarzom nie zrozumieliby może o co mi chodzi. Są urzędnikami, Związek Literatów jest czymś w rodzaju ministerstwa, dostają instrukcje jak pisać. Właśnie ich kolektyw, zawieszony wysoko nad życiem powszednim mas, jest nie do zniesienia. "Tak żyje pisarz w demokracji ludowej", mówił do mnie z dumą jeden z poetów, pokazując swoje książki i meble: za oknem był plac-dekoracja w dzielnicy dla uprzywilejowanych. Przy tej uliczce (Aleja Róż) mieszkają członkowie rządu i pisarze. Poeta ten nie wiedział co we mnie się dzieje. Przez szereg lat mieszkalem w Ameryce, w warunkach takich samych jak mój gospodarz-elektrotechnik. Nie miałem do poety pretensji, że mieszka lepiej niż robotnik. Ale należał do kasty wydzielonej, miał czyn jak w Rosji carskiej i nie czuł, że dla kogoś może to być nienaturalne. Moje życie w Ameryce wyobrażał sobie pewnie jako ciąg niebywałych przepychów i wspaniałości, bo trudno wyrwać się z koła analogii. Tylko tam, gdzie pisarz mieszka inaczej niż elektrotechnik i gdzie dokłada wszelkich starań aby nie stracić przywilejów kasty, może dialektyka skutecznie władać umysłami. Tylko tam, w takich właśnie mieszkaniach, powstaje "Daleko od Moskwy" i scenariusz "Pieśni Tajgi".

Jakież wnioski z tego artykułu? Myślę, że za dużo mówi się o tym czym poezja powinna być, a za mało czym jest. Jest ona prawdopodobnie zaprzeczeniem nihilizmu. Tak jak jabłko na obrazie Holendera i s t n i e j e, tak istnieje strofa "Pana Tadeusza", bo dotyczy ona tego, co szczególne. Autor rymowanych artykułów wstępnych może być przez pewien czas niezłym poetą, bo czerpie z magazynu swoich spostrzeżeń, musi jednak krzyczeć coraz głośniejsze; takie jest prawo; taka jest cena za odejście w pustkę pojęć. Jedno prawdziwe drzewo, jedna prawdziwa kropla rosy zabijają go i ukazują mu jego nicłość.

Na dziwactwa poezji krajów Zachodu można wzruszyć ramionami — pod warunkiem, że się je zna, a nie opluwa zachodnich poetów nie wiedząc o co tam chodzi. Zachodni poeci są to na ogół ludzie, którzy nie dostali dobrze w d... Kiedy dostaną, może dojdą do pewnych zbawiennych wniosków. Jeżeli dojdą do wniosku o wyższości dialektyki nad poezją kula ziemską będzie racjonalnie zagospodarowana i jedyną już jej wadą okaże się to, że nie będzie można na niej wytrzymać. Masowe deportacje na księżyc nie będą wtedy uchodziły za szczególnie ciężką karę, bo ostatecznie wszystko jedno.

Czesław MIŁOSZ

Listy ze Skandynawii

LIST ZE SZWECJI

Wielokrotnie zwracano uwagę na dziwny kontrast pomiędzy historycznym pesymizmem Augusta Strindberga, najbardziej reprezentatywnego przedstawiciela literatury szwedzkiej a optymizmem i pogodą, które są tak typowe dla stosunków społecznych i politycznych w Szwecji. Ten kraj kompromisu, złotego środka, ściszej neutralności w polityce zagranicznej zdolał uniknąć nieszczęść, które były udziałem prawie wszystkich innych narodów europejskich w ciągu ostatnich stu lat. Z jednej strony przeciętny Szwed wydaje się niekiedy aż zanadto ufny w przyszłość i zbyt przywiązany do czysto materialnego dobrobytu. Z drugiej strony artyści i intelektualiści szwedzcy zdają się ulegać ciągłym halucynacjom: odgrywają stale rolę Kassandry, ale trzeba zaznaczyć, że głos ich rzadko dochodzi do szerokiej szwedzkiej publiczności a jeśli dochodzi nie jest brany serio.

Roczniki *Bonniers Litterära Magasin*, czołowego szwedzkiego periodyku literackiego, wyraźnie potwierdzają zmienne nastroje szwedzkiej literatury naszych czasów. Po deprymującej epoce Strindberga, trochę lżejsze nastroje zostały wprowadzone przez Selmę Lagerlöf i innych pisarzy, wierzących w socjalistyczny postęp. Ponadto predylekcja Selmy Lagerlöf do powieści regionalnych wpłynęła na upodobania literackie całego pokolenia: gusta te znalazły swój najpełniejszy wyraz w przyznaniu przez akademię szwedzką nagrody Nobla Pearl Buck, którą sama Selma Lagerlöf entuzjastycznie reklamowała, jako pisarkę o pokrewnym talencie (podobnym przejawem tych samych upodobań było udzielenie tejże Nagrody Nobla Reymontowi w r. 1925 — przyp. tłumacza).

Przez długi czas tylko "solidni", "konkretni" autorzy zagraniczni znajdowali poczytność w Szwecji, jak np. John Galsworthy i Sinclair Lewis, którzy obaj zresztą otrzymali nagrodę Nobla. Obecnie natomiast panuje niesłychana moda na pisarzy amerykańskich: William Faulkner, Erskine Caldwell, Ernest Hemingway, John Steinbeck, Richard Wright, Thomas Wolfe, William Saroyan, nawet Saul Bellow i Truman Capote

zostali przetłumaczeni na język szwedzki i są w Sztokholmie równie znani jak w Paryżu. Egzystencjalizm Sartre'a był szeroko omawiany w całej prasie, w Sztokholmie wystawiono jego dramaty, a nawet "L'art de voler" Jean Genêt'a został obecnie ogłoszony w tłumaczeniu w awangardowym organie młodych *Utsikt*.

Toteż przeciętny szwedzki czytelnik mógł się po wojnie przekonać, że ponure nastroje jego własnych pisarzy są dzisiaj udziałem również większości poważnych autorów i myślicieli świata zachodniego. Intelektualiści współcześni w Szwecji nie są już w jego oczach tylko "dekadencjami estetycznymi". Nawet popularne powieści szwedzkie poszły za ogólną modą introspekcji, lubowania się w zagadnieniach zbrodni seksualnych, zbrodni i moderstw. I tak obecnie największą poczytnością cieszą się w Szwecji powieści gwiazdy filmowej Birgit Tengrot pt. "Pragnienie" i "Nocny portier". Odznaczają się te dzieła niezwykłą śmiałością i dokładnością w drastycznych opisach, za to są mniej artystyczne niż utwory awangardowego pisarza Bengt'a Anderberga, którego najwybitniejszą powieść nazywa się "Kain". Pani Birgit Tengrot została zaatakowana przez inną autorkę, która wydała całą książkę, płonąca oburzeniem na swoją rywalkę: w książce tej zostały zacytowane in extenso całe strony sprośności pani Tengrot — toteż to vade mecum też cieszy się zasłużoną popularnością.

Obecna moda na ponury i rozpaczliwy naturalizm spowodowała, że Szwedzi zrewidowali swe poglądy na swych własnych autorów ostatnich paru dziesiętników lat, i niektórzy z nich są dzisiaj bardziej cenieni, niż dawniej. I tak np. powodzenie światowe Orwell'a "1984" przysporzyło czytelników pani Karin Boye, której książka, wydana w 1940 r., a więc na 10 lat przed Orwell'em, była podobnie antycypacją nadchodzącej ery totalitarnej, co prawda bardziej liryczna a mniej satyryczna. W 1940 r. uważano utwór ten — "Kollocaine" — za brechtę, dzisiaj jest traktowany poważnie. Sama pani Karin Boye tak się przejęła swymi ponurymi wizjami, że popełniła samobójstwo w r. 1941 — los jej więc przypomina tragiczny los Virginii Woolf. Karin Boye była ponadto utalentowaną poetką liryczną, i dzisiaj uważana jest za najwybitniejszą przedstawicielkę poezji szwedzkiej bieżącego wieku. Prawie na równi z nią jest ceniona jeszcze inna poetka, tym razem Szwedka z Finlandii, pani Edyta Södergran, której wiersze zostały ogłoszone dopiero pośmiertnie. I wreszcie trzecia gwiazda szwedzkiej poezji jest też kobietą — Harriet Lowenhjelm, a sława jej jest też głównie pośmiertna. Na wszystkich trzech znać wybitne wpływy anglosaskiej poezji.

Podobnie jak i w innych krajach skandynawskich istniała w Szwecji od dawna liczna "socjalistyczno-realistyczna" szkoła, która, zwłaszcza w okresie frontów ludowych czwartego dziesiętka lat b. w., okazywała wyraźne sympatie do komunizmu i Sowietów. Obecny ideologiczny kryzys całej tej grupy

ilustrują wahania najlepszego szwedzkiego tłumacza amerykańskiej poezji, Eryka Blomberga, który początkowo podpisał apel sztokholmski a po wybuchu wojny w Korei podpisał swój wycofał. Inny głośny autor, powieściopisarz Jan Fridegaard ostatnio przerzucił się od prokomunizmu do spirytualizmu i twórczości natchnionej gorącą religijnością. Z proletariackich pisarzy Tage Aurell jest może najwybitniejszy; bardziej finniejszy od swych rywali jest także w przeciwieństwie do nich — przeważnie chorujących na sentymentalizm i rozwlekłość — zawsze zwięzły, o stylu wartkim i żywym.

Harry Martinson, autor szeregu powieści autobiograficznych, został wybrany w 1948 na członka akademii sztokholmskiej, (która przyznaje nagrody Nobla); wybór jego stanowił sensację, bo po raz pierwszy do tego dostojnego zgromadzenia trafił pisarz tak jaskrawo antysocjalny, otwarty wielbiciel wszelkich mętów społecznych. Inne curiosum: gdy parę lat temu mierny i łatwy poeta Türe Nerman został wybrany posłem do parlamentu wygłosił on swą "dziewiczą mowę" posługując się wyłącznie hexametrem.

Pär Lagerkvist uchodzi dotąd za jednego z czołowych powieściopisarzy i autorów dramatycznych w Szwecji. Celuje on w szczegółowej analizie uczuć i myśli ludzi szarych, skromnych. Granz G. Bengtsson jest autorem "Czerwonego Wiązu", pełnej humoru i erudycji sagi o Vikingach: odznacza się rzadkim u Skandynawów poczuciem humoru i dowcipu.

Z młodszych pisarzy dużą reputacją cieszy się Artur Lundkvist, poeta surrealistyczny. Eryk Lindegren wyraźnie naśladuje T. S. Eliota, jego szwagier Carl Vennberg jest poetą lewicowym. Stig Dagerman, autor powieści pt. "Spalone dziecko" zajmuje się problemem podświadomości. Większość krytyków uważa Dagermana i Anderberga, wspomnianego już autora "Kaina", za najbardziej obiecujących pisarzy młodego pokolenia; obaj są pod wpływem literatury amerykańskiej, obaj lubują się w typach gwałtownych i używają brutalnego, nawet wulgarnego języka, nie cofając się przed najbardziej nieprzyzwoitymi wyrazami i obrazami.

LIST Z DANII

Zagraniczny intelektualista, nieśmiało przedzierający się przez terra incognita współczesnego życia literackiego Danii, będzie przede wszystkim zdumiony, że wielki egzystencjalistyczny filozof duński Soeren Kierkegaard jest bardzo rzadko wspominany w rozmowach swych rodaków; a jeśli się to niekiedy zdarza, to wszystko co mają oni o nim do powiedzenia — to trochę płaskich, plotkarskich anegdot. W rzeczy samej Duńczycy nie okazali żadnego zainteresowania swym wielkim a pesymistycznym myślicielem; dopiero gdy do Kopenhagi doszły wieści o jego wielkim rozgłosie w Niemczech, Francji, Ameryce i Anglii założono w duńskiej stolicy Towarzystwo imienia

Kierkegaarda, które obecnie zajmuje się wydaniem pełnego zbioru jego dzieł. Ale nawet dzisiaj młodzi pisarze duńscy wydają się mniej zajęci koncepcją strachu Kierkegaarda niż amerykański poeta W. H. Auden czy głośny francuski filozof, powieściopisarz, essayista i autor dramatyczny, Jean-Paul Sartre.

Nie znaczy to że XX-wieczna literatura duńska obecnie odrzuca XIX-wieczny pesymizm filozofii Kierkegaarda. Przeciwnie, choć pozbawiona tego nateżenia kompleksu winy, który wyróżnia literaturę szwedzką, współczesna literatura duńska odznacza się tą skłonnością do beznadziejności i rozpacz, którą pieczętują się wszystkie piśmiennictwa północnej Europy: ten nastrój ponurego przygnębienia pojawia się już w północnych i wschodnich Niemczech i jakby się wzmacnia w miarę jak posuwamy się ku krajom, gdzie słońce świeci o północy, względnie gdzie w południe panuje zmierzch.

Z współczesnych duńskich autorów tylko Johannes V. Jensen, essayista i bajkopisarz, który otrzymał nagrodę Nobla w 1944 r., i Martin Andersen Nexø, autor lewicowych powieści "Pelle zdobywca" i "Ditte" są znani poza granicami swej ojczyzny. Trzecim wyjątkiem jest baronowa Karen Blixen-Fi-necke, która pisze pod pseudonimem Isak Dinesen, ale ta pisze przeważnie po angielsku. Jensen jest znakomitym stylistą, a jeśli chodzi o poglądy XIX-wiecznym pozytywistą, pogłębiłym po dziś w teoriach ewolucji Darwina, zajęty porównywaniem wpływów dziedziczności i otoczenia. Andersen-Nexø, mniej dbały o styl, jest sentymentalnym marksistą. W 1947 r. udał się on do Moskwy, gdzie ma być bardzo poczytny, i znalazł się na trybunie honorowej podczas tamtejszych obchodów rocznicy rewolucji. Wielkie mu tam składano hołdy, i otrzymał w prezencie nowiutki sowiecki samochód. We wszystkich krajach za żelazną kurtyną Andersen-Nexø jest wystawiany na równi z takimi zagranicznymi luminarzami komunistycznymi, jak Louis Aragon i Howard Fast.

Większość duńskiej literatury ostatniego ćwiecwiecza może być sklasyfikowana, bez nadmiernego uproszczenia, jako należąca bądź do "szkoły Jensena", bądź do "szkoły Andersen-Nexø". I tak np. Hans Kirk jest autorem kilku dobrych realistycznych i socjalistycznych powieści: "Rybacy" (1928), "Robotnicy rolni" (1936) i "Nowe czasy" (1939), które, choć nie pozbawione pewnych elementów lirycznych, regionalnych i nawet romantycznych, a także freudowskiej psychologii, noszą wyraźnie piętno wpływu Andersen-Nexø. Od 1939 Kirk nic nie ogłosił, i jak gdyby pragnął się nieco odciąć od stalinowskiego komunizmu. Harold Herdal, poeta i powieściopisarz, podobnie należy do szkoły Andersen-Nexø. Knuth Becker, jest autorem ogromnej 10-tomowej autobiograficznej powieści (dotąd nie skończonej), w której opisuje młodość chłopaka skorumpowanego niemoral-

nością swej rodziny i umieszczonego w zakładzie poprawczym (sam Becker był w takim zakładzie właśnie wychowany). Innym realistycznym powieściopisarzem był Mogens Klitgaard, zmarły w 1945 r., którego specjalnością były opisy smutnego życia źle-płatnych urzędników kopenhaskich, bez nadziei na awans czy polepszenie bytu.

Od 1945 r. cała ta szkoła realistyczno-socjalistyczna wydaje się w odwrocie, i po wojnie nie ukazał się w Danii ani jeden wybitniejszy lewicowy pisarz należący do szkoły Andersen-Nexø. Przeciwny obóz uczniów i wielbicieli Jensena, chociaż naturalnie ideologicznie znacznie mniej zwarty, złożony przeważnie z zacieklej indywiduistów, wydaje się obecnie popularniejszy a także bardziej płodny. Wślad za Jensenem cała ta grupa okazuje wielką dbałość o piękno i wyczelowanie języka, a także jednomyślnie odrzuca marksizm Andersen-Nexø i jego wyznawców.

Isak Dinesen (baronowa Blixen-Finecke), autorka "Seven Gothic Tales", "My African Farm" i "Winter Tales" (napisanych po angielsku) oraz mniej znanych dzieł napisanych po duńsku jest dzisiaj najwybitniejszą pisarką w obozie antymarksistowskim. Jej międzynarodowa sława, jej arystokratyczne maniery, osobisty urok, ogromna erudycja, dowcip, czytanie i smak sprawiły że cieszy się ona zupełnie wyjątkową pozycją i jest prawdziwym arbitrem duńskiego życia umysłowego. Pozostała ona jednak dziwnie wierna XIX wiekowi w środku naszego stulecia; ulega w dalszym ciągu silnym wpływom niemieckiej literatury romantycznej, w szczególności Tiecka i Hoffmanna a także "gotyckich" ekstrawagancji niektórych amerykańskich i angielskich romantyków. Lecz być może największy wpływ na jej twórczość wywarł wielki romantyk francuski, Prosper Mérimée. Podobno baronowa Blixen jest również autorką powieści która niedawno ukazała się po duńsku pt. "Tajemniczy mściciele", która rzekomo ma być tłumaczeniem dzieła młodego Francuza, Pierre Andrézel "urodzonego w Rouen w 1915 r. i wychowanego w Oxfordzie". Jest faktem że o tym Andrézel nikt nigdy poza tym nie słyszał.

Martin A. Hansen, autor "Podróży Jonatana" (1940) i "Szczęśliwego Krzysztofa" (1945), oraz zbioru opowiadań pt. "Ciernisty Krzak" pozostaje najwybitniejszym pisarzem duńskim młodej generacji. Urodził się on w biednej, chłopskiej zagrodzie, jest samoukiem, i wybitnym przykładem kulturalnych możliwości tej upośledzonej warstwy, uparcie trzymającej się starych tradycji i zwyczajów. Hansen jest jak gdyby protestanckim Mauriac'em, chwilami przypomina też Hardy'ego. Zajęty głównie konfliktem między wiarą i złudzeniami a rzeczywistością, Hansen opisuje, na tle regionalnym, ciężki przeskok od tradycyjnego życia na roli do współczesnego życia wielkomiejskiego.

Hans Christian Branner, autor czterech powieści kilku zbiorów noweli, ukazał już w swym "Śnie o kobiecie" wielki talent

opisywania złych przeczuc. Jego "Jeździec" (1949) jest uważany za powieść stawiającą go w tej samej klasie co Martin A. Hansen. Jest to opis zmagania się humanizmu z potęgą totalitaryzmu. Różni się on wszakże od Hansena odmiennym podejściem do zagadnień religijnych.

Ogólnie jednak biorąc, religia zdaje się odgrywać ogromną rolę w życiu i zainteresowaniach tych młodych pisarzy duńskich, którzy odrzucają marksizm. Wielu z nich nawróciło się na katolicyzm; inni, poprzez studiowanie pism Kierkegaarda, próbują odnowić protestanckie tradycje, które — w Danii podobnie jak i w innych krajach skandynawskich — na ogół już od połowy XIX w. zdegenerowały się do poziomu łatwego, filantropijnego chrystianizmu, tak drapieżnie wyśmiewanego przez Strindberga.

Młoda generacja duńskich pisarzy antymarksistowskich skupia się dookoła czasopisma "Heretica" założonego po wojnie; ich materialistyczni przeciwnicy skupiają się dookoła innego periodyku zwanego "Dialogue", a młodzi poeci, przeważnie surrealiści mają też swój organ "Vild Hvide" ("Dzikie zioła"). **Heretica** jest świadomie wybredna (High-brow), estetyzująca, wysoce intelektualna. Drukuje chętnie St. Exupéry, Rilkego, T. S. Eliota, podkreśla znaczenie poezji lirycznej dla wzmocnienia wartości idealnych, nawołuje świat zachodni do przeciwstawienia komunistycznej propagandzie materializmu wyraźnych alternatyw. **Gads Danske Magazin**, doskonale redagowany przez Emila Frederiksen pozostaje czołowym pismem literackim, niezwiązanym z żadną koterią czy szkołą.

Podobnie jak wiele innych ośrodków intelektualnych w Zachodniej Europie, **Heretica** zdaje się być omal równie podejrzliwa w stosunku do amerykańskiego kulturalnego imperializmu jak i wobec sowieckiego tyranii. Duńczycy zdają się znać tylko best-sellery regularnie tłumaczone na język duński, amerykański jazz, amerykańskie filmy i popularne ilustrowane periodyki. Duńczycy ze zdziwieniem dowiadują się że Henry James był Amerykaninem. Z drugiej strony Amerykanie twierdzą ze zdziwieniem, że relatywnie poeta może być bardziej głośny i poczytny w małym kraju jak Dania, niż w takim kolosie, jak Stany Zjednoczone. Ale w Danii, podobnie jak i w Holandii i w wielu innych mniejszych krajach w dużej mierze najbardziej poczytne są utwory prozą, nie-powieściowe, lecz wspomnienia czy dziennikarskie komentarze, przetłumaczone z francuskiego, angielskiego, niemieckiego czy rosyjskiego na ten bezbarwny język, który wydaje się wspólnym we wszystkich krajach wszystkim zagonionym i źle-płatnym tłumaczom. Ponadto rodzime powieści wydają się prowincjonalne, gdy się je porównuje z tłumaczeniami z Sartre'a, Hemingwaya, Manna itd. Tym większe ma znaczenie rodzima poezja: odbija się ona jaskrawo od bezbarwnego języka tylu utworów prozajicznych. Dlatego może Dania ma wybitnych współczesnych

poetów, znacznie bardziej znanych niż znani są amerykańscy poeci amerykańskiej czytającej publiczności. Ole Sarvig jest chrześcijańskim surrealistą; Ole Wivel, redaktor *Heretica* jest autorem poematów bliskich tematycznie Eliot'owi i Rilke'mu; Ove Abilgaard jest romantycznym satyrykiem, przypominającym niekiedy Heinego, to znowuż Guillaume Apollinaire'a; Paul la Cour jest wyznawcą Valéry'ego i późniejszych francuskich symbolistów; Morten Nielsen, zabity podczas okupacji Danii, pozostawił piękne wiersze; Erik Knudsen wydał trzy tomy wierszy i tom teatru kukiełek; Frank Jaeger, znany od dawna jako poeta liryczny, ostatnio wydał zbiór nowel ("Iners", 1950), pełnych uroku i fantazji.

Powieść pozostała we współczesnej literaturze duńskiej ściślej związana z poezją, niż w wielu innych krajach, gdzie stała się zbyt często domeną zawiedzionych dziennikarzy i publicystów. Dzieła Hansena i Branner mają cechy wybitnie poetyckie; Isak Dinesen, choć nie pisze wierszy, jest wyraźnie pod wpływem niemieckich poetów romantycznych. Tode Ditlevsen jest młodą obiecującą poetką, i autorką noweli. Ten związek z poezją ratuje czołowych duńskich prozaików od bezbarwnego i bezkrwistego reportażu oraz niekończącego się mędrkowania, które stanowi kamień młyński na szyi tylu powieściopisarzy na całym świecie. Duńscy prozaicy pozostali świadomie wierni tradycji prozy poetyckiej, która dla cudzoziemców, nawet mało obeznanych z literaturą, będzie zawsze związana z wielkim nazwiskiem Hans Christian Andersen'a.

Edouard RODITI

POLSKIE KSIĄŻKI I PISMA Z EUROPY
WSZYSTKIE WYDAWNICTWA INSTYTUTU
LITERACKIEGO W PARYŻU

posiada na składzie

JÓZEF F. BIAŁASIEWICZ

1165 Milwaukee Ave. Chicago 22, Ill. U.S.A.

Przedstawicielstwa "Kultury", "Orla Białego",
"Wiadomości", "Zycia".

Trans-Atlantyk

2

Ropacki, Rachmistrz stary, mnie Akta dał do wciągania, ale diabli tam wiedzą, czy jaka potrzeba tego wciągania zachodziła, bo człowiek ten wzrostu niewielkiego, bardzo Chudy, w okularach ciemnych, rogowych, a jak mumia wysuszony, włosy miał Rzadkie, które jemu wiankiem dokoła czaszki dużej Łysej się obwijały; do tego zaś Palce długie, chude. Przyglądając się robocie mojej, coraz mnie jakaś literkę poprawi, a za uchem się drapie, albo nos uciera, pyłek sobie jaki z ubrania strzepuje; a już najchętniej wróbelkom kruszynki za okno wyrzuca. Oj, widać że Rachmistrz pocziwota, pocziwota z kościarni, a choć guzdralstwo jego i nadzwyczajna we wszystkim drobnotkliwość nieraz do śmiechu mnie pobudzały, wystrzegając się wszystkiego coby staruszką miłego uradzić mogło; a nawet tabakę jego zażywałem, która, myszką przed laty wylęgnięta, a nawiądomo jakim Grzybkiem przyprawiona, kamizelki jego Kaszmirowej zapach miała.

Ale, prawdę mówiąc, nie do śmiechu mnie było. Bo choć tam jakie takie zabezpieczenie bytu uzyskałem, zespół wszystkich warunków i okoliczności, jako to: Kraj Nieznany, obcość miasta, brak przyjaciół, lub towarzyszków zaufanych, dziwaczność Pracy mojej... jakimś lękiem mnie wypełniały; do tego zaś Bój silny za wodą i z krwi rozlewem, a wiele osób, przyjaciół moich lub krewnych już tam niewiedomo gdzie byli, co robiły, może i Bogu duszę odawały. Choć tedy i daleko, za wodą to było, przecież człowiek jakby Ostrożniejszy, ciszej mówi, spokojniej się Rusza, żeby to jeszcze czego Złego nie wywołać i jak Zajac pod miedzą by przycupnął. Dlatego to Kruszynkę małą z chleba na kałamarzu zauważywszy, częstokroć na tę kruszynkę spoglądałem, a nawet jej końcem pióra dotykałem.

Najbardziej jednak mnie moja z Poselstwem sprawa doskwierała. Nie potoż chyba J.W. Posel Celebracją ze mną odprowołał, żeby to tak po kościach rozejść się miało; i gdy ja tu za biurkiem siedzę, Akta wciągam, to oni tam pewnie swoje i kto wie, czy dalej czego tam ze mną, choć bez wiedzy mojej, nie wyrabiają. Siedzę tedy, piszę, a myślę co tyż tam oni ze mną, jak tyż to tam mnie zażywają i do czego używają. Jakoż nie omy-

liły mnie przecucia moje, bo gdym na wieczór do Pensjonatu powrócił, duży bukiet fluksji białoczerwonych od Ministra mi wręczono, a z nim list od Pana Radcy. Powiadał więc Radca w najuprzejmniejszych słowach, że jutro po mnie zajędzie, aby do malarza Ficinatti mnie zabrać na wieczór, który przez najprzedniejszych Pisarzów i Artystów tutejszych będzie zaszczyconym. Prócz tego listu i kwiatów, jeszcze dwa Bukiety mnie wręczono, które od tutejszych swojskich Prezesów pochodziły, oba zaś ze wstęgami i stosownymi napisami. Prócz tego małe Dzieci podobnie przybyły i przed moim oknem Kantyczkę śpiewały.

A niech cie Diabli! To gdy ja przycupnąć chcę, oni mnie na świecznik! Hołdów obfitością zadziwiona, właścicielka Pensjonatu mego słyszeć nawet nie chciała, abym dalej w małej mojej ciupce mieszkał i do najlepszego pokoju mnie przeniosła: a tak w tym czasie trudnym, niebezpiecznym moim ja, zamiast w małym pokoiku być, w dużym Salonie z dwoma oknami się znalazłem. Już też wiadomość o nadzwyczajnej, żal się Boże, wybitności, wielkości mojej lotem strzały po wszystkich Rodakach się rozszła: nazajutrz w Biurze niskimi bardzo pokłonami mnie przyjęto i nawet wszelkich rozmów, żartów w przytomności mojej zaniechano.

A niech to Diabli, Diabli! Coraz tedy silniejsza powstawała Celebracja, a widać J.W. Poseł wbrew woli mojej i nie bacząc na gwałtowne niechęć moją, swoje robił i Celebrację na wszystkie rozprzestrzeniał strony. A niechże go, a pocóż ja jemu na oczy się pokazywałem! A do tego niebezpieczna rzecz! Możnaż w zwykłym czasie takie szpryncy urządzać, ale gdy tam Mordowanie, Zarzynanie, to już lepiej cicho siedzieć i przeczekać, a o to dbać, żeby czego złego na siebie nie ściągnąć.

Przysięgałem więc i postanawiałem, że ja na to Przyjęcie wcale nie pójde, ani na żadną dalszą Celebrację św. ach Głupia chybą, Marną, osoby mojej nie pozwolę. Wszelako w tem sęk: bo, jakbym teraz wyraźnemu życzeniu J.W. Posła się oparł, to już chyba przez wszystkich za Zdrajcę byłbym poczytany, co w obecnym stosunków układzie nadzwyczaj niebezpiecznym było. A przecież i słodki hołd współziomków człowiekowi, który od naważniejszych dni dzieciństwa swego tylko wzgardy doznał... tu zaś, jakby za sprawą dobrej wróżki jakiej, głowy przed nim chylić zaczynają i jemu Czapkują. Przeklętyż tedy, kłamliwy hołd i marny jak Diabli! Ale święty, błogosławiony, prawdziwy hołd bo Czoło moje, Oko moje, Myśl moja i prawda moja i szczerść serca mego i śpiew mój i dostojność Moja! To więc prawo moje, to płaszc mój, to korona moja! A co ja darowanemu koniowi w zęby patrzeć będę! Oj, więc chyba pójde na Zebranie owe i pozwolę aby to ze mną na niem uczyniono, bo przysięgam na Boga i na Matkę moją, przed Bogiem, Ołtarzem, że ten kto przedemną czapkuje wcale źle nie czyni, owszem, najlepiej on, najsłuszniej postępuje!

Owóż wy tam g...rze Chytrkujcie, Mędrkujcie a za swoją korzyścią jak kury dziubajcie. Ja, co z waszej Natury tępej a chyt-

rej poczęte wedle Natury mojej przyjmę i gdy mnie g... karmicie ja to jak Chleb i Wino jadł będę i się Najem. Gdy zaś mistrzem prawdziwym na owem przyjęciu zabłyśnę, gdy jako Mistrz przez cudzoziemców uznany, obwołany będę, już mnie niestrasza J.W. Posła głupstwo a on mnie także uszanować musi... Siadajże tedy, siadaj na tego Konia, co ci dają, a na nim daleko zajedziesz! Pójde, pójde tedy! Jakoż, powróciwszy do Pensjonatu mego, zaraz kufer otworzyłem, a goląc się, przebieając, strojąc, wprost nadzwyczajną miałem pewność Mistrzostwa mego i wiedziałem że jak Mistrz nad wszystkimi zagórować, zapanować muszę. O Mistrz, Mistrz, Mistrz i Mistrz i Mistrz! Ale zdumienie i Zdziwienie moje! Bo naraz taki głos za sobą posłyszałem: — Cześć Pisarzowi naszemu wielkiemu, cześć Mistrzowi! Skoczyłem i krzyknąłem, sądząc że głos ten sydercy jakiego jest głosem, lub może i ze mnie samego się dobył, a tu Podstrocki Radca w spodniach prążkowanych i we fraczku, z turnulką prasowaną w mopsa pod żelbetem, mnie w pas się kłania: — J.W. Panie! Z polecenia J.W. Posła jak tu karyjolką przyjechał. Jedźmy tedy!

Dźwięk kłamstwa jawnego, a przede mną znagła ucieleśnionego, jakby mnie w pysk dał! O pocóż ten g...rz, co mnie za g...rza ma, Mistrzem nazywa? Wsiadamy tedy do Karyjolki. Jedziemy tedy karyjolką, a choć najsilniej zaszczyty, honory sobie wyświadczamy, to przecie wiedząc, że on wie, że ja wiem, że on wie, że ja wiem, i g... g... g... najsilniej sobą pogardzamy; i tak w honorach i w g... przed dom zajeżdżamy. A tam, zaledwie z karyjolki wysiadłem, już do mnie Swojaków kupa i "cześć, cześć", "witaj, Witaj" i "chwała, sława", więc kwiaty wręczają, więc świętują jakby to Boże Narodzenie było; a między niemi Baron; tyż i Pyckal; dalej Ciecisz a także Ciunkała i Kasjer, Księgowy i panna Zofia w grodeturowej żółtej toalecie. Dopieroż honorują! Radca obok mnie najuprzejmiej w prawo i w lewo się kłania, ja tyż się kłaniam, pozdrawiam i tak w Honorach do domu tego wstępujemy. A tam Cicho.

W dużej znalazłem się sali; a tam wiele osób, częścią stojących, a częścią siedzących; i ciasteczek jedzenie, wina popijanie ze Szklaneczkami, z Kieliszkami w dłoni; owóż tam Kobita jakaś po Kieliszek rękę wyciągnęła; gdzie indziej we trzech czy czterech książkę lub Butelkę oglądają; tam w koło siedli, rozmawiają. A właśnie nie gwar, ani hałas, tylko Cichość nadzwyczajna, bo choć rozmów nie brakło, a nawet i śmiechów, rozmowy, śmiechy, wykrzykniki owe zamiast odrobinę mocniejszymi być, właśnie odrobinę słabszymi, bardziej ściszonemi były, a ruchów tyż dziwna była Nieruchliwość, jakby Ryby w stawie. Radca najuprzejmiej wpół zgięty, chusteczką wachlując, do Gospodarza mnie prowadzi i jemu przedstawia, a jako Mistrza Wielkiego Polskiego Geniusza Gombrowicza Głośnego wychwala. Gospodarz pulchny, krągły, fanfarę Radcy niskim ukłonem przyjmuje i już to nie wie, jak cieszyć się, jak Honorować, w grzecznościach, płasach się rozpyliwa..., ale go Dama Blondyna cien-

ka, mała zagadnęła i z nią rozmawiać zaczął, a o nas zapomniał. Stojemy tedy. Ale do Starego, chudego, siwego, który pewnie znakomitszym był gościem, Radca mnie prowadził i z fanfara hucznie mnie przedstawia — aż się Kłania Stary i jak może honoruje... cóż kiedy zaraz o nas Zapomina bo jemu się sznurawo rozwiązało. My więc do trzeciego, który słusznego wzrostu, szpakowaty, a ten aż się za głowę złapał, "co za zaszczym" woła... ale ciasteczko wziął, zjadł i zapomniał. I tak stojemy z Radcą na środku, mało co mówimy, a za nami inni Rodacy Swojacy też stoją i mało co mówią. Mało mówią.

— Indianie to są — rzekł Radca — Indianie ciemne, mało co opierzone, daleko im do nas! Stojemy tedy, a obok inni Goście stoją, może ze sto osób. Owoż bardzo dostatnio i schludnie ubrani, bo koszule Jedwabne albo Zefirowe za 13, 14 albo 15 Pezów, krawatki, Fontazie, lub modne Lornetki, a także Szprynelki, dalej Obcasy wąskie z obróbkami, chusteczki, pomadki, wysokie Inglezy za 20 lub 30 Pezów. Głównie zaś skarpetki Mężczyzn w oczy biły i oni te Skarpetki chętnie ukazują, nogawkę do góry podciągnawszy; damy zaś Kapelusiki sobie oglądają. Jeden więc drugiego klepie. Jeden drugiego czule obejmuje "amigo, amigo", "que tal", "que es de tu vida, que me cuentas", ale pomimo czułości kordialności owej Rozmowa coraz im przygasa, albo się rozłazi, bo to jeden gada a drugi w roztargnieniu, w Zapomnieniu jakimś już i Słuchać przestał, już sobie Skarpetkę ogląda. Mówią tedy: — Wyszła ta Rewista? — A mnie 50 Pezów za artykuł zapłacono. — Jak się masz, jak się masz! A co tam nowego? — Ile też ten Plac kosztował? — Ja sobie skarpetki sprawilem. Wtem wszyscy razem ręce do góry wzniesli i za głowy się łapiąc, na głos zawołali: — O, cóż to Mówimy? O, dlaczego Mówić nie umiemy?! O, czemuż siebie samych nie Szanujemy i nie Zaszczycamy?! O, dlaczego tak Płasko, tak Płasko, tak Płasko?! Więc do siebie wzajem Przyskakują, jeden drugiemu Honor świadczy. Jeden do drugiego "Maestro, maestro" a "Gran Escritor" a "Que Obra" a "que Gloria", cóż kiedy zaraz im się rozlaźło i w roztargnieniu znów Skarpetki sobie oglądają.

— Indianie to są — rzekł Radca — Indianie, ciemne mało co opierzone. Już my im pokażemy! Ale stojemy. Szepnął do mnie Radca, błady i spotniały: — Pokażże co, g...rzu tym g...rzom, bo wstyd będzie! Mówię jemu: — G...rzu, co ja im pokażę? A za mną Moi stoją i widząc, że nikt na mnie uwagi nie zwraca chyba mnie za g...rza mają, żli jak Diabli, chybaby mnie w łyżce wody utopili! Diabła tam, diabła tam, diabła tam! Ki diabeł! Coś chyba Nie dobrze! Aż tu widzę, że nowe osoby wchodzi, a niebyle jakie, bo zaraz ku nim Uklony, Honory powiały.

Owoż pierwsza szła Dama w gronostajowej Pelerynie i Piórami Strusiem, Pawiem i z dużą Sakiewką, tuż obok kilku Lizusów, a za Lizusami kilku Sekretarzów, dalej kilku Skrybów i kilku Błazenków, którzy w Bębenki uderzali. Tyż między niemi człek Czarno Ubrany, a widać znaczniejszy, bo, gdy wszedł,

głosy słyszeć się dały: "Gran escritor, maestro", "Maestro, maestro" ... i z tego podziwu chybaby na Kolana padli; lecz ciasteczka jedli. Zaraz też koło słuchaczów się wytoczyło, on zaś pośrodku silnie Celebrować zaczął.

Człowiek ten (a pewnie tak dziwnego człowieka ja pierwszy raz w życiu oglądałem) nadzwyczaj był wydelikacy, a do tego jeszcze siebie Delikacił. W Sakpalcie, za dużemi Czarnemi okularami, jak za płotem, od wszelkiego światła ogrodzony, wokół szyi szalik jedwabny w groszki półperłowe, na rękach Rękawiczki czarne, zefirowe, półpalcowe, na głowie kapelusz czarny półrondowy. Tak opatulony i odosobniony, coraz to z wąskiego pociągał flakon, albo Chusteczką czarną, zefirową się ocierał i wachlował. W kieszeniach Papirów pełno, skryptów, które nieustannie gubił, a pod pachą Książki, Inteligencji nadzwyczaj subtelnej, która w sobie wciąż subtylizował, destylował, w każdym odezwaniu się swoim tak inteligentnie był inteligentnym, iż Kobit i Mężczyzn zachwycone cmoki wywoływał (choć to Skarpetki, krawaty sobie oglądają). Głos swój nieustannie ściszał, ale, im Ciszy, tym właśnie donośniej, bo inni, ścisząc się, jeszcze bardziej go nasłuchiwali (choć i nie Słuchają); i tak on w Czarnem Kapeluszu zdawał się w Ciszę Wieczną swoją czeredę prowadzić. Do książek, notat swoich zaglądając, je gubiąc, w nich się Tarzając, nurzając, on cytatami rzadkimi myśl swoje okraszał i z nią tam sobie w Sobie dokazywał, a już do siebie, jakby na odludziu. I tak w sobie Papirem i Myślą kaprysząc się, on coraz inteligentniej był inteligentnym i ta inteligencja jego sama sobą pomnożona i sama na sobie okrakiem, tak już Inteligentna stawała się, że Jezus Maria!

A tu Pykał, Baron mnie do ucha: — A huz, huzia! Tyż i Radca z drugiej strony: — Huz, huzia, bierz go, huzia! Powiadam: — Ja nie pies. Szepnął Radca: — Bierz go, bo Wstyd, bo to ich Najślawniejszy Pisarz i nie może być, żeby tu z nim Celebrowali gdy Wielki Pisarz Polski Geniusz jest na sali! Ugryź go, g...rzu, geniuszu ugryź, bo jak nie, my ciebie ugryziemy!... Jakoż za mną cała moja Czereda stoi... Poznałem, że innej Rady nie ma, tylko ja jego ugryźć muszę bo mnie Swojacy spokoju nie dadzą; a już, jeśli by ja tego Bawołu ugryź, sambym Lwem na placu ostał. Ale jak ukryć, gdy bestia jak z książki Marcypani, marcypani, że aż mgliło, i coraz Inteligentniej jest Inteligentnym, subtelniej Subtelnym...

Odezwałem się tedy do sąsiada, a dosyć głośno, żeby to mnie słyszał.

— Nie lubię ja gdy Masło zbyt Maślane, Kluski zbyt Kluskowe, Jagły zbyt Jaglane, a Krupy zbyt Krupne.

Odezwanie się moje w powszechnym ściszeniu, jak Trąba, zabrzmiało i na mnie powszechną uwagę zwróciło, a ów Rabin celebracją swoją przerwał i, na mnie okulary nastawiwszy, niemi spoglądał z ciemni swojej; potem zaś zagadnął po cichu Sąsiada, kto zacz... Powiada Sąsiad, że Cudzoziemski Pisarz, więc trochę się stopił i pytał, czy Anglik, Francuz, lub może

Holender; ale Sąsiad jemu powiada, że Polak. — Polak — zawcłał — Polak, Polak, Polak... i dopiż, Kapelusza poprawiwszy, nogę sobie silnie rozgrymaśił, a potem w notatkach swoich, w Papirach pogrzebał i rzecze, ale nie do mnie, tylko tam do Swoich:

— Tu powiadają, że masło maślane... Myśl, owszem, ciekawa... ciekawa Myśl szkoda że niezbyt jest nowa, bo to już Sartoriusz powiedział w swoich Bukolikach.

Cmokać poczęto, odpowiedź jego smakując, jakby to najprzedniejsze Marcepany były. Wszelako cmokając, jak gdyby własnem cmokaniem gardzili i z tegoż powodu im się Cmokanie rozłazi. Gdy on do Swoich się zwrócił, ja w gniewie do Moich się zwróciłem i powiadam: — A mnie po diabła co Sartoriusz powiedział, gdy Ja Mówię?!

Owóż moi mnie zaraz poklask dali: — Cześć cześć Mistrzowi naszemu! Dobrze mu się odciął Niech żyje Gombrowicz Geniusz! Ale przyklaskują, a jakby Przyklaskiem swoim pogardzali... i zaraz się Rozłaził. Wtenczas tamten w książkach, papirach pogmerał i odparł, kiełbasząc silnie nogę, a wciąż tylko do Swoich się zwracając: — Tu powiadają, że co mnie Sartoriusz gdy Ja Mówię. A to wcale niezła Myśl i można by ją z Rodzenkowem sosem podać, ale z tem Bida, że już Madame de Lespinasse coś podobnego powiedziała w jednym z Listów swoich.

Znowuż cmokają, smakują, choć Cmokiem, Smakiem swoim pogardzają... i w Roztargnieniu on im się rozłazi. Ja więc do Swoich się zwracam, żeby jemu co Dobrze powiedzieć a tak Ugryźć, żeby już się jemu szcekać odechciało! A tu widzę: moi jak Ogień czerwoni! Czerwony więc, jak burak, Radca, czerwony Pyckal wraz z Baronem, a Cieciszowski silnym Rumieńcem po uszy się oblał i tak stoi! O Boże, co to, dlaczego tak nagle spłonęli, przecie przed chwilą jeszcze Uwielbiali, skąd taka przemiana..., ale nic, stoją, Czerwienią się... Mnie jakby kto w Pysk strzelił od Rumieńca Swojaków, który też tak mnie Zarumienił, że zagnała przed ludźmi cały czerwony się stałem jak w Koszuli! A diabła, diabła tam! Już nawet mnie się Uszy zacerwieniły!

Owóż to Męka moja, że ja jak g...rz Czerwony i jakbym z czapkę w garści pod płotem boso stał; a już najgorsze, że nie z przyczyny jakiego Wstydu mojego, a tylko Rumieńca cudzego, choć to i Swojskiego. W strachu więc że ja za sprawą tych to g...rów moich co mnie za g...rza mają, g...rzem przed g...rzami tamtemi wypadnę, a już chcąc tego g...rza pogryźć, krzyknąłem: G... g... g...

Odpowiedział: — Owóż to wcale niezła Myśl i z Grzybkami dobra, tylko ją nieco przysmażyć i śmietanką podlać; ale cóż kiedy już przez Cambronne'a powiedziana... i w sakpalcie swoim się zamknąwszy, nogę rozkapryśił.

Ja się bez słowa zostałem! A bo już języka w gębie zapomniałem! A łajdak, tak mnie oniemiał, że i Słów nie miałem, bo co moje nie Moje, podobnież Kradzione!

Stoję więc przed ludźmi wszystkimi, a tam z tyłu moi mnie kuksy dają, ciągną, odciągają i chyba Czerwoni, Czerwoni... Tu zaś przedemną tamci oklask cudakowi swemu dają, choć zarazem, jakby oklask swój lekceważyli, skarpetki, koszule, spinki sobie oglądają. Już na nic nie baczając, wszystko porzucając, od hańby mojej, wstydu uciekając, ja do drzwi przez całą salę iść zacząłem i Uchodzę! Uchodzę, bo do Diabła wszystko i Diabli, Diabli, wszystko Diabli wzięli! Uciekam, uchodzę! Aż tu, gdy w jawnej ucieczce mojej prawie do drzwi doszedł, znów Diabli mnie biorą, Diabli, i myślę, że co ty będziesz do Diabła uciekał, co będziesz uciekał! Zawróciłem i wracam, idę przez cały salon, a wszyscy się przedemną rozstępują! A Diabli, Diabli, a niech to Diabli, Szatani!

Idę tedy, a byłbym pysków porozbijając! Ale, jakem już do ścian doszedł, znowu zawróciłem i z powrotem do drzwi iść zacząłem, bo myślę sobie, lepiej nie bić. Gdy zaś już prawie do drzwi dochodziłem, znowuż zawróciłem (bo już mnie się Chód w przechadzkę jakąś po tym Salonie przemieniał) i znów przez salę idę... Powszechnie więc osłupienie, gęby porozdziawiano, patrzą, a może mnie za Półgłówka mają, ale Diabli, Diabli, o nic nie dbam, a Chodzę, jakbym tu sam był, jakby nikogo nie było! A Chód coraz silniejszy, Potężniejszy... i tak już diabli, diabli, Chodzę i Chodzę i Chodzę, a już Chodzę, Chodzę i Chodzę i Chodzę...

A to już tak Chodzę! Z trwogą spoglądano, bo chyba nikt nigdy na żadnem Przyjęciu tak nie Chodził... otóż tam pod ścianami, a jak trusie przycupnęli, a siaki taki i pod Mebel wlaź, albo się Meblem odgrodził... a już Chodzę, Chodzę i już nic tylko Chodzę, a tak Chodzę, że aż Chód jak Diabli, że wszystko chyba Porozbijam... O Jezus, Maria! To już Moi nie moi ogon pod siebie, dudy w miech, patrzą, a ja Chodzę i wciąż Chodzę, Chodzę, a już Chód mój jak po moście dudni Diabli, Diabli i ja nie wiem co z nim pocznę, co z nim zrobić, bo to Chodzę, Chodzę a już tak jak pod górę Chodzę, Chodzę, a tak Chodzę i Chodzę pod górę, pod górę, o, co to za Chód, o, co ja zrobię, co począc mam, o, już chyba ja jak Szaleniec jaki Chodzę i Chodzę i Chodzę, a to przecie mnie za Wariata będą mieli... ale Chodzę, Chodzę... i Diabli, Diabli, Chodzę, Chodzę... aż tu spostrzegłem, że tam koło Pieca też Chodzić zaczął i Chodzi i Chodzi, a już tak Chodzi, Chodzi, że gdy ja Chodzę, to też i on Chodzi... Dopieroż się patrzą; Dopieroż ja od ściany do ściany, a on tam pobok od Pieca do okna i gdy ja Chodzę to też i on Chodzi... Tożem zbaraniał, myślę sobie, co zacząć... ale Chodzę, Chodzę, a on też Chodzi... tak we dwóch Chodzimy... Mnie Diabli biorą, a co on się przyczepił, czego chce, czemu ze mną Chodzi?

Owóż ze strachu samego oni by pewnie i mnie i jego za łeb, a za drzwi!... ale, choć to się boją, a też i Gniewają, przecie i gniew i strach własny lekce sobie ważą, więc im się Rozłazi, Rozłazi... i dopiż, choć to za stołkami, pod stołkami, jeden

zbladł, drugi brew zmarszczył, trzeci nawet Kułak wystawił, to zarazem ciasteczka, bułki z szynką jedzą i jeden do drugiego: "Wyszła ta rewista?" "A ja sobie Kafelki sprawilem" "Ja tom nowy Poezji wydaję". Otóż tak Gadają, Gadają, choć to się Gniewają, może i Strachają, ale też widzę że się Wyśmiewają i, choć to tam jeden z bułką, drugi może i z kieliszkiem, a za stołkami, pod stołkami, Gniewają się, Gadają, Strachają, ale też chyba się i Wyśmiewają, a ja Chodzę, Chodzę i on też pobok Chodzi, Chodzi a Diabli, Diabli! ... Dopiroż ja myślę, a co to, a jak, a dlaczego, a dlaczego, a co też to, i baczniej na tamtego co to tam Chodził, Chodził, się spojrziałem... a on Czerwone ma Wargi! Wargi ma, powiadam, Czerwone, Ucierwienione, Karminowe! I tak, z Wargami Czerwonymi chodzi, Chodzi, Chodzi! A to już mnie jakby kto w Pysk dał! A to już jak Rak zczzerwieniałem! Dopiro ja, jak Oparzony, Czerwony, Chód mój Diabli, Diabli, do drzwi skierowałem i przez te drzwi, o, już nie Chodzę, Chodzę, a tylko Uchodzę... Uchodzę jakby mnie Diabli, Szatani gonili.

W dalszym ciągu opowiadania Gombrowicz zapoznaje się z międzynarodowym pederastą («puto»), Gonzalem, który pragnie uwieść Ignaca, syna zanego Polaka, Tomasza. Tomasz wyzywa Gonzala na pojedynek. Ale Gombrowicz, podmówiony przez Gonzala, nabija pistolety samym prochem...

Niewiele czasu dla wyspania się tej nocy miałem, bo wczesnym rankiem Pojedynek.

Z doktorem Garcyją o 6-ej rano pod mieszkanie Tomasza zajechawszy, z nim razem na miejsce spotkania się udaliśmy.

Gdy na łączkę umówioną, która niedaleko rzeki położona, zajechaliśmy, jeszcze nikogo nie było, a Tomasz pacierze odmawiał; ale wkrótce bryczka z Lekarzem przybyła; i zaraz potem Gonzalo z szumem, z fukiem, w czwórkę rysaków i z Forysiem, a za pojazdem jego Baron wraz z Pyckalem na ogierach roslących, skarogniadych, które, ostrogami sztyfowane i uszda zdzierane, Skakały i Chrapały. Jużemy tedy wszyscy byli. Ja z Baronem plac odmierzać zacząłem, ale żabę zobaczyłem, więc do Barona mówię: — Żaby tu są. Odparł: — Są bo wilgotno. Tyż dr Garcyja przystąpił do mnie i mówił, żeby pośpieszać, bo Cesją ma a tyż Tramitacją.

Znak dany został i przeciwnicy na plac wstąpili. Pan Tomasz skromnie, cicho, Gonzalo zaś w blasku, w fuku wszystkich szat swoich: a to jest Rapcie z niebieskiego atlasu, Kamizelka takąż Atlasowa żółta Szafranowa, na to Kitelek czarny i takież Półfraczek szamerukowy też i Orderowy, dalej Peleryna w podwójnym Kolorze, oraz Kapelusz Czarny Meksykański z Rondem, które duże, bardzo duże, Baron z Pyckalem znowuż Ogierów dosiedli. Gonzalo Kapeluszem powiał, Konie zachrapały. Pyckal do mnie galopem nadbieżał, konia zdarł, mnie z konia pistolety podał; a Puto ponownie Kapeluszem powitał.

Tomasz spokojnie na miejscu swoim stał i czekał. Ja pisto-

lety nabijam... i Kule w Rękaw, w Zarekawek. Dopiroż pistolet Tomaszowi wręczyłem, ale Pusty, drugi zaś takież Pusty pistolet Pyckal Gonzalowi wręczył. Gdy na bok ustępowaliśmy, zawołał Baron: — Ognia! Ognia!... ale krzyk jego Pusty, bo i lufy puste. Gonzalo kapelusz swój o ziemię cisnąwszy, pistolet podniósł i wypalił. Huk po łące się rozszedł, ale Pusto. Wróble tam na krzaczkach przysiadły (tłuszcjsze niż u nas) ale się spłoszyły; tyż i Krowa.

Tomasz widząc że jego kula Gonzalowa ominęła (a bo jej nie było) broń swoje podniósł i długo, długo mierzył: ale i nie wiedział, że mierzenie jego Puste. Mierzy, mierzy, strzela, ale cóż, pusto, pusto: i z puku jego i nic oprócz huku. Tu słonko już się nieco wzbilo przygrzewać jeło (bo mgły się rozeszły), a tu zza krzaka krowa wylazła; Gonzalo kapeluszem powiał; a z dala, zza krzaków, Kawalkada się ukazała; i najprzód więc dwóch Forysiów, z których jeden dwa, a drugi cztery miał Charty na postronku, w ślad za niemi Damy i Kawalerowie w szumnym korowodzie jadą, pogadują, podśpiewują... i otóż tak przejeżdżają, przejeżdżają, pierwszy zaś z prawej strony JW. Poseł w myśliwskim Rajtroku na Ogierze dużym, srokatym, dalej Radca a obok Pułkownik. Jadą, jadą, a niby nic, za szarakiem choć to, panie, Pusto bo szaraka nie ma... i tak, panie, zwolna, przejeżdżają.

Tożemy się na nich zagawronili, a głównie Tomasz. Ale przejechali. Dopiroż pistolety nabijać, ja kule w rękaw, ognia, ognia, Gonzalo kapeluszem powiał, pali z pustej lufy, ale nie i Tomasz broń podnosi, celuje, celuje, celuje... o, jak on celował! O, jak on Celował długo, długo, pilnie, a tak już usilnie, tak Strasznie celował że, choć Pusta Lufa, skurczył się, zmartwiał Puto, a już i mnie się zdawało że nie może być aby Śmierć z ty Lufy nie wypadła. Huknął. Ale z huku jego i nic oprócz puku. Gonzalo Kapeluszem Wielkim Czarnym powiał, Pyckal, Baron konie zdarli, aż na zadach siadły, do mnie zaś dr Garcyja przystąpił i prosił, żeby pośpieszać, bo ma Cesja.

Wtenczas dopiero ja się mało za głowę nie złapałem! I naraz jasne mnie się stało, żeśmy jak w Potrzask wpadli a wcale tu Końca żadnego nie może być i Pojedynek ten wcale skończyć się nie może: bo przecie on do krwi, a jakże tu Krew wystąpi jeśli bez kul Pistolety? A toż to Niedopatrzienie, Pomieszanie nasze, Pomyłka nasza, żeśmy to przy układaniu warunków przegapili!! Przecie oni tak przez dzień cały i noc i dzień następny i dalszą noc i dalej przez dzień cały pukać mogą, bo ja im wciąż Kule w Rękaw i ognia, ognia, i tak bez Końca, bez wytchnienia! Boże, co robić, co począć! Ale wystrzelił Gonzalo! Strzela Tomasz! I Kawalkada z dala, za krzakami się ukazała, więc Damy i Kawalerowie, a tyż Charty, i jadą zwolna truchtem albo stępą, pierwszy JW. Poseł, dalej Radca z Pułkownikiem i jadą, jadą za szarakiem (choć szaraka nie ma) przejechali...

Gonzalo kapeluszem powiał. Tomasz pistolet do oka podniósł,

O, jak on celował! Boże, Boże, Boże, z całej duszy swojej, z Mocy swojej, z całej ty jakiejś Uczciwości swojej... i brew marszczy... oczy się jemu zmrużyły... a już Celuje, tak Celuje, że Śmierć, Śmierć, Śmierć pewna krwawa, tu Śmierć, Krew być musi! Huknął. Ale Puknął. I Pukiem pustym chyba sam siebie zabija. Powiało Puto czarnym Kapeluszem. I Kawalkada się ukazała, a tym razem bliżej choć niby nic, między sobą rozmawiają, pogadują, pokrzykują, za Szarakiem, za Szarakiem jadą! Aż tu Pyckalowi ogier ogiera, na którym Baron siedział, w zad ugryzł. W zad ugryzł! Baron jego trzepnął, ale trzepnął jego Pyckal, więc Baron jego z Konia w łeb, bez łeb, a Pyckal w łeb! Kwiknęły ogiery.

My do nich. Ale już poniesły, po łące latają! Baron spadł! A tyż widze że tam Konie w Kawalkadzie chrapia, kwiczą i Damy spadają. Wtem psów, Chartów ujadanie wściekle słyszeć się dało i krzyk, jęk, oj, chyba kogoś dopadły, tarmoszą! My, pojedynk porzucając, za krzaki na pomoc pobieżymy, tu konie Ogierzy wszystkie na kiel biorą, gryzą się, kwiczą... a pod Psami nie kto inny, tylko Ignac z Psami się przewraca, od nich kłasy, szarpamy! Wrzask ludzki, psów charczenie, dławienie, Ignaca jęk, koni galop, dam pisk, mężczyzn głosy w dantejską zlały się symfonią.

Tomasz "Pistolet, pistolet" zawołał i mnie z ręki pistolet wyrwał, strzela do Psów; ale pusta Lufa.

Wtenczas Gonzalo na tych Psów się rzucił, a z gołymi rękami, tylko z krzykiem strasznym, niebogłosnym... i, pośród nich upadłszy, z niemi tarzać się zaczął, z wrzaskiem, z tarmoszeniem, ich od Ignaska swego odrywając, jego ciałem swoim, ciałem swoim zasłaniając!

A już i forysie na psów z postronkami, z batami, z czym kto miał; inni też skoczyli. A tak tych Psów odgonili.

Także i konie połapali; a kto padł był, to się z ziemi gramolił i do kupy zbierał. Tomasz Syna dopadł, a widząc że, oprócz ran powierzchownych, żadnej obrazy nie odniósł, na kolanach Bogu dziękował za niezmierzone dobrodziejstwo jego; potem zaś do Gonzala dłoń swoją wyciąga: — O, już ty mnie nie wrogiem, a Bratem, Przyjacielem będziesz, gdyś Syna mojego z narażeniem Życia swojego wybawił! Zaraz więc w objęcia się wzięli z wielkim wszystkich aplauzem, a Gonzala męstwo pod niebiosą wynoszono: — Od śmierci go wybawił! Wrogowi to wyświadczył! Mało sam nie zginął... Ignac tyż do Gonzala dłoń wyciąga, ten zasię w objęcia go bierze i jak Brata ściska.

Owóż po strachu Radość. Powiada JW.Poseł: — No, chwalić Boga że się tak skończyło, a winy w tem niczyjej nie ma, chyba tylko Ogierów i Forysiów... bo gdy się Ogierzy gryźć zaczęły, Forysiom psy się wyrwały i na Młodzieńca skoczyły, którego Niepokojność o Ojca swojego do ukrycia się w tych krzakach przywiodła. Otóż to, panowie moi, wdzięczne Panie, widzieć mogliście widomy znak Łaski Bożej, która Ojcu syna wybawiła. Patrzcież na te gaje! Patrzcież na zioła, na krzewy, na Naturę

całą, która pod Niebios ogromem spoczywa; i patrzcież, jak to Polak wobec Stworzenia całego wybawicielowi Syna swojego przebacza! Łaska Boża! Przychylność natury całej! O, bo rzecz to pewna, najpewniejsza, że Polak Bogu i Naturze miły dla Cnót swoich, a głównie dla tej Rycerskości swojej, dla Odwagi swojej, Szlachetności swojej, dla Pobożności i Ufności swojej! Patrzcież na te gaje! Patrzcież na Naturę całą! I patrzcież na nas, Polaków, amen, amen, amen. Wszyscy tedy "Viva Polonia Martir" zakrzyknęli.

Ja na kolana padłem. Aż tu Gonzalo na środek wystąpił, a Kapeluszem koło zatoczył, od czego Konie znowuż płoszyć się zaczęły on jednakże, na konie nie zważając, tak przemówił: — Wielki, niezmierzony to dla mnie Honor, że z człowiekiem tak godnym Polakiem mógł na placu stanąć, a bo JW.Panie od tego wstydu niech mnie Pan Bóg broni, żebym ja komu nie stał, i już to ja nikomu się w tem nie umykam, a mnie Znajdzie kto Szuka; bo tyż tak rozumiem, że nie ma to dla Mężczyzny większego skarbu, jak nieskalana Cześć Imienia jego. Gdy wszakże za sprawą Wyratowania od Psów Syna JMości ten to godny Nieprzyjaciół mnie za Przyjaciela mieć chce, ja od Przyjaźni tej się nie uchylam, owszem Przyjacielem, Bratem jego chcę być po wszystkie czasy. I tyż tak myślę, że mnie tej łaski nie odmówi, aby gościń w domu moim przyjął i dla Popicia przyjaźni owej wraz z Synem swoim do domu mojego się udał, gdzie tyż Popijemy! Zaraz więc wszyscy krzycheć i wiwatować zaczęli, tu się ściskają, tam Całują i Gonzalo znów w objęcia brał, najprzód Tomasza, potem Syna jego. Taki Pojedynku koniec.

Podajemy wreszcie sceny finału. Rzecz dzieje się w estancji Gonzala. Gonzalo, pragnąc za wszelką cenę uwięzić i „zepsuć” Ignaca, uciekł się do pomocy swego zausznika, młodego Horacja. Horacio zaprzyjaźnił się z Ignacem i między obu chłopcami powstał rodzaj zabawy, coś jak zgranie się, zestrojenie w pewnym rytmie («Buchbach»). Tym to «buchbachem» chce Horacio doprowadzić Ignaca do zamordowania Ojca.

Tomasz, ze swej strony, zamierza popełnić synobójstwo. Poselstwo, wierne swej misji propagandowej, organizuje Kulig aby wdziękiem polskim oczarować Naturę...

«Kawaleria» tj. Związek Ostrogi, którego idea jest terror — sterroryzować, przestraszyć Naturę — najeżdża estancję...

W pierwszej parze JW.Poseł tańczył z Prezesową Pścikową, w drugiej W.Pułkownik z JW.Panią Kielbszową, w trzeciej W. Prezes Kupucha z Panią Kownacką, w czwartej Profesor Kaliściewicz z panną Tuśką, w piątej Radca Podszocki z panną Myszką, a w szóstej pan mecenas Worola z panią Dowalewiczową. Dalej inne pary! Tuum! Tuum! A chyba kwiat Kolonii naszej! Wszystkie pary! Hurmem zajechali i hurmem Tańczą, hoc, hoc, tiri, tiri, z podkówkę krzeszą i Dom cały wypełniają aż na Ogród bije ćwir, ćwir, ćwir, za kominem, pani matka ze swym

synem. Wszystkie rybki śpią w jeziorze. Kulig tedy, Kulig! Porwał pan Zenon pannę Ludkę, Określił:

Za górami, za lasami

Tańczyła Małgorzatka z góralami.

Tu sługi biegną z jadem, z butelkami, stoły zastawiają, tam Gonzalo rozkazy wydaje, a stangreci, czeladź przez okna zagląda i już dom cały tak Bucha, tak Bucha, że na Łąki, na Pola Wybucha. A napijmy się. Używajmy. Pij, dlaczego nie pijesz? Jeszcze go raz. Hoc, hoc, hoc, dziś, dziś, dziś. Oj, panno Zosiu. Oj, panno Małgosiu. A co tam, panie Szymonie? Hej, panie Mateuszu, kopę lat, kopę lat. Było nie było. Ale do mnie panna Muszka z panną Tolcią podbiegają: — Tańczyć. Tańczyć. Kulig. I rozgrzane, zgrzane, śmieją się, śpiewają. Dopieroż powiadam do Radcy Podśrockiego, który obok Butelkę otwierał: — Bójże się Boga, atóż chyba Nowiny jakie szczęsne nadeszły, o których ja nie wiem, bo tak nadzwyczajna radość wszystkich Rodaków pod przewodem samego Pośta nie może z innej przyczyny być, jak tylko ze Zwycięstwa nad wrogiem. A ja w gazetach czytałem, że już po wszystkim i nasza przegrana. Odpowiedział mi: — Milcz, Milcz, Owszem pogrom, klęska, koniec, już i na obie łopatki leżymy. Ale my z JW. Pośtem to umyślił, żeby niczego po sobie nie pokazywać, a właśnie Kuligiem, Kuligiem! Zastaw się, a postaw się.

Zastaw się, a postaw się.

Zastaw się, a postaw się.

I zaraz kubek wznosi: — Wiwat. Wiwat. — Wiwat. — zakrzyknęli, a tancerzów wąż poprzez wszystkie pokoje przebiega i z Potrząsaniem, z krzesaniem a z przytupywaniem i z poklaskiwaniem; to znów pary się rozłamali i Parami tańczą. Tam zaś, po bokach, starszych przygadki, Popijanie, to znów z dubeltówki całowanie, oj, panie Walenty, oj, panie Franciszek, a co tam pani Doktorowa, a jak Dzieci? Jeszcze kropelkę. Bóg zapłać, Bóg zapłać! Ale Minister do mnie przypadł: — Tańcz Mazgaju, dlaczego nie tańczysz? Cóż to, że Polak do tańca a i do Różańca? Tańcz, tańcz, Krakowiaka.

Abośmy to jacy tacy
Chłopcy Krakowiacy.

Jemu powiadam: — Jaby tańczył, ale to podobnież wszystko przepadło. Łypnął okiem na prawo i lewo: — Milcz. Milcz. Scho-
waj to, co mówisz, bo za nic nas ludzie będą mieli. Cóż się zgłupiał, żeby się z tem chwalić. Zastaw się, a postaw się.

Zastaw się, a postaw się.

Zastaw się, a postaw się.

Oj, dziś, dziś, dziś. Dali go. Tańczyć, tańcować. A pokazać Cudzoziemcom jak to my tańczymy. A tańcować, tańcować, niech-

że aż w Niebiosie taniec polski bije. Oj, tańcować, tańcować. A pokazać, jakie to śpiwki nasze, a jakie Przygadki, jakie hołubce, jaka przytupanka. Pokazać jakie to Dziewczęta nasze, jakich Chłopców mamy. Krew nie woda. Dziś, dziś, dziś! A niech wiedzą, jaka to Uroda nasza. Oberek, Mazur, Mazur.

Bo w Mazurze taka dusza

Że choć umarł to się rusza.

Tańcz, tańcz, tańcz... Na kolana padłem. Ale stary pan Kaczski przystąpił do mnie, że za potrzebą chce na dwór wyjść i żeby to Psi go nie opadły... Z nim więc razem na dwór wyszedłem i, gdy on pod krzakiem się załatwiał, ja na dom spo-
glądam, który na Pola, Lassy tańcem a światłem a huczną Zabawą wybucha. A w górze Niebo czarne, jak Obwisłe. Tu zaś Kulig huczy, a już to się Wdzięczy, a już to się Kocha w sobie Rozkochany jak Oczarowany i Kocha się Kocha, a śmigłość, a Dziarskość, podkówką krzeszą i Kocha się Kocha siebie Kocha w sobie Zadzurzony a już Zakochany i Kochajmy się, Kochajmy się, dziś, dziś, dziś. Oj, ale to Kocha się, Kocha się, Kocha... A Niebo czarne, puste, a tu blisko krzak jakiś ciemny, niezbadany... dalej zaś dwa drzewa stały... a dalej gromba jakaś była, ale Ciemna, Nieruchoma...

I coś tam za krzakami, niedaleczko płota, Szurgnęło. Ja patrzę, a tam Stwór dziwny się przemknął koślawo: ciele, nie ciele, chyba pies duży, ale z kopytami i jakby garbaty. Krzaka rozchyliłem i widzę, że pod Magnoliami inny stwór podobny siedzi, a właśnie jakby kto na oklep na Psie jechał: ale dwie ludzkie głowy ma. Jakem dwie głowy ludzkie zobaczył, skóra na mnie ścierpła i pierwsza chęć moja, żeby do Domu uciekać; alem się wstrzymał i przyjrzeć się nieczystości tej postanowiłem. Bokiemy tedy, wzdłuż płotu, zachodzę, za Krzakami: a tam szurganie, podskoki i jakby konie... bo ciężko skakają, stękają. A i Sapanie, ale jakby Ludzkie. To znów jakby Kwik cichy, Zduszony, albo wierzganie, albo Tratowanie. I chyba dość dużo tego, choć nie Psy, nie Konie, ani też nie Ludzie. Jeszcze więc bliżej krzakami załazłem, aż w pomroce, o jakie pięćdziesiąt kroków, Kupę dużą zobaczyłem... bo to Kupą stało za drzewami, a jakby Skakało, jakby się tam Gziło, na Kieł brało, ale, Wstrzymywane, jakby na miejscu Kopytami biło... I Chrapanie, kwik cichy zduszony albo i Jęk a ludzki prawie... To więc widowisko tak Bolesne jakieś a tak Okropne, Straszne, tak Przestraszne, że się w ślup soli zamienił i jakbym zmarł, wcale ruszyć się nie mogłem. Wtem jeden ze stworów owych niezgrabnie skoki do mnie się przybliżył (a właśnie jak to jeździec gdy konia objeżdża i jego ostrogą Musztruje, a wędziłem ściąga) i Baron to był. Baron na Ciumkale. A zaraz drugi Jeździec nadjechał, w którym Rachmistrza poznałem: on, ciężko Tratując, na Cieciszku siedział i jego ostrogą zażywał, a wędziłem ściągał, aż chrapał, kwiczał Ciecisz. Zacharczał tedy Rachmistrz cicho, Przeraźliwie: — Czy wszystko gotowe? — Gotowe — zacharczał

Baron przeraźliwie. — Jeszcze nie — zacharczał Rachmistrz z przerażeniem. — Jeszcze my nie dość Straszni. Jeszcze więcej Ostrogi zadać Koniom naszym. Niech ponoszą. A dopiro, gdy Kawaleria nasza arcy-piekielną się stanie, ataku dam sygnał i Uderzymy. A gdy Uderzymy, Stratujemy. A gdy stratujemy, Rozniesiemy. Zwycięzimy, Zwycięzimy. — Zwycięzimy — wyczar-
knał Ciumkała z kwikiem, z charkiem czarnym — Zwycięzimy, bo my Straszni, Straszni o Bij Zabij, Przerażaj, Przerażaj, Do-
siadaj, Dosiadaj. — Bij Zabij — czarknęli — Bij Zabij!

Słyszac słowa te, które jak szalone w cichości nocnej ogrodu zabrzmiały, ja skoka dałem i krzakami do domu pobieglem, a drzwi za sobą jak przed Morową Zarazą zawarłem. Boże, Boże, Boże... A toż ostrzec trzeba, żeby drzwi, okna zamykano, do bro-
ni, do bronii! O, Piekielnicy! Ale co to, co to? Co to za Głos, Rozgłos? Dopieroż patrz: tańczą wszystkie pary. Oj, dziś, dziś, dziś. Tańczy też Ignacy, z panną Tuśką tańczy, a już tak dziar-
sko i chwacko obraca, tak dzielnie wywija, że jemu Dansyrka tylko w rękach furczy... aż dziwią się Starzy... aż mu poklask da-
ją... Ale co Przytupnie, to ktoś mu tam Tupnie, a też co Podsko-
czy, to jemu kto Skoczy... i nie kto inny pewnie to był, jak tylko Horacjo, który pannę Muszkę wziął do tańca, a już tak szparko
Wywija, Zawija, że mu Dansyrka furczy, furczy, furczy. Więc
też to we dwóch Wybijają, Przytupują, Obracają, to w prawo
w lewo Wywijają, aż panny jak frygi. Oj to tańczą, tańczą.
I co Ignac skoczy, Horacjo podskoczy, co Horacjo łupnie, Ignac
tupnie, tupnie, gdy jeden zakręci, to drugi Wykręci i tup, łup,
łup i buch i buch buch, i buch buch buch buch. Buchbach, Buch-
bach, Buchbach, buch, buch, buch, buch, Buchbachem tańczą.

Buchbachem. Buchbacha głos, jak Bęben, coraz silniej się
rozlega. Gonzalo w czarnej obfitej Mantylli, takimż Kapeluszu,
dwukrotnie przez całą salę przeszedł i poklaskiem swoim ta-
neczników szczylił. A ja, słyszac Buchbacha zew, głowę pochy-
liłem i powieki cokolwiek zmrużyłem... i już tak Pusto, Pusto,
że jak Bęben pusto... Ale przyskoczył Minister: — Na Boga. —
krzyczy Cóż to! Chyba się Popili. Do diabła z takim tańcowa-
niem, przecież już Muzykę giuszą, a wziąć ich łby, wyrzucić...
Ale Ignac Buchnął, Horacjo więc Buchnął, Buch, Buch, Buch,
Buch, aż szyby drżą, a filiżanki, spodeczki skakają, aż jęczy
podłoga. Dopieroż tam inni tanecznicy jeszcze tańczyć probowa-
li, a do wtóru, że to Kulig, Kulig, Mazur, Mazur, ale gdzietam.
Już Kuligu nie ma, tylko Buchbach, Buchbach i w kąt się zbieg-
li, patrzą, a tu Buch, Buch, Buch, Buch, Buch, Buchbach jak
Koł grzmoci. Tomasz nóż długi, który do Mięsa krajania, ujął i
niby to Mięsa chce ukrajać... ale w kieszeń surduta nóż wpuścił...

To ja krzyknąć chciałem, że Synobójstwo, Synobójstwo. Ale
Ojcobójstwo. Bo już w Podskokach, Przytupach, Buch, buch
Ignac rozbuchany z Horacjem buchającym buch, buch, buch.
Buch w lampę Horacjo, Buch w lampę Ignacy, ale Buch buch
Horacjo w wazon, Ignacy buch w wazon. I buch w Tomasza
Horacjo.

Boże! Tomasz na ziemię upadł. — Tomasz na ziemię upadł!...
A tu Bach, buch Ignac, Ignac z Bachem swoim nadlatuje, o,
i Bachnie, bachnie w Ojca swojego on Bachnie oj tyż Bachnie,
Bachnie...

O Syn, Syn, Syn, Niech zdycha Ojciec. Syn, to mi dopiro, to
rozumiem. A Diabli, Diabli i Diabli chyba Diabli niechże to
Diabli Diabli o Diabli Diabli Diabli Buch Diabli Diabli.
Nadlatuje Ignac. Niech tedy stanie się, co stać się ma. A niech
się Dzieje. Niech Syn morduje Ojca. A już to w tem Grzechu
powszechnem, śmiertelnem, w tej Sromocie, w tem wszetecz-
stwie nic tylko Buchbacha zew i Cwał arcy-piekielnej kawalerii
i grzmot Morderstwa. I wstyd przed Ludźmi.

O, wstyd przed ludźmi, wstyd. A bo to tak, panie, jak na
Bosaka w portkach, a jakbyś Koszulę miał w zębach, jakby
Rzepe surową, Marchew gryzł, jakbyś gdzie tam za Stodołą się
załatwiał, a już jakbyś Goły po polu latał, a jakby Kulfon i
jakbyś za uchem się skrobał i wstyd, wstyd, wstyd jak w Ko-
szuli do Rosolu. O, o, wstyd przed Ludźmi. O Boże, Boże, Diabli,
Diabli, a toż on już Leci, Nadlatuje, już tyż Ojca swojego bach-
nie, bachnie Bachem swoim jego Bachnie. Jezus, Maria, Je-
zus, a co za wstyd gorzki, dręczący, jaki wstyd będzie, przecie
on jego bachnie, bachnie, bachnie. Ale co to, co to? O, chyba
Zbawienie! O, co to, jak to, co to? Ach, chyba Zbawienie!
A bo, gdy on tak na Ojca swojego Leci, Leci, Leci a już
Leci, Nadlata, już, już Nadlatuje, jemu śmiech, Uśmiech,
o jemu Uśmiech, śmiech, Boże, Boże, jemu do śmiechu
chyba, oj, jemu do śmiechu a tak on do śmiechu, do
śmiechu leci, Nadlata i w górę Polata. Ach, w górę Polata.
Śmiech tedy, śmiech. Za brzuch się złapał Tomasz, śmiechem
buchnął. Za brzuch się złapał Minister, śmiechem buchnął. I
Buch, Buch, Pykał za brzuch Barona złapał, a Rachmistrz Cie-
cisza i śmiechem buchnęli, buchnęli, Buch, Buch, tam Starzy
rechoczą, aż się Zataczają, tu pani Dowalewiczowa aż piszczy,
łzy roni, popiskuje, popiskuje i Buch, Buch huczy, Pryska, par-
ska od śmiechu ksiądz Proboszcz, a Muszka z Tuśką aż Podska-
kują, aż się Zasmarkaly. Śmiech tedy Buchnął, Zatacza się więc
Prezes Pucek. A pod ścianami Rzęzą, Popuszczają, tam znowuż
się Duszą, już chyba Nie mogą, tu znów od śmiechu Kolka że aż
go Skuliło, albo się Zakrztusił, a przecie jemu i przez uszy trys-
ka, tam znów na ziemi siadł, nogi wyciągnął, a już Buczy, Hu-
czy śmiechem swoim roztrzęsiony, rozlatany i Trzęsie się,
trzęsie... Inny zasie aż Spuchł, bo go Rozsadza. Dopieroż Buchają.
Więc trochi ucichło. Aż tu znowu to ten, to tamten, najprzód
jeden, potem drugi, a już trzech, czterech, już pięciu Buch, Buch
śmiechem Buchają, Wybuchają, w ramiona się biorą, Zataczają
to cienko, to grubo razem się Miotają i już jeden drugiego, je-
den z drugim ale Buch buch oj Ryczą, Ryczą aż chyba Bucha-
ją. I dopiero do śmiechu, do śmiechu, śmiechem Buch, śmie-
chem buch, buch, buch, Buchają...

Ballada o nowym sterniku

— Onufry! Onuuufraay!!

Statek szedł nie zwalnając i Pietruk, zaciskając koło sterowe w rękach, aż się przechylał ku przodowi, trochę na lewo wskos, jakby w ten sposób mógł się przybliżyć do łódki prującej blask słońca na Prypeci.

— Jaa...aaa! — odurzyknął daleki głos.

— Skażi Mani szc zob szła u Pinski!... Jej pamior u szpitalie!...

— Jakoj, Maniii?!

— Mani!... Żonce Ostapczuuuka!

Tamten nie dosłyszał. Statek szedł pełnowodziem prawego brzegu i już mijał; fale zamigotały jeszcze bardziej od czego bolało w oczach. Łódką zaczęło chybotać. — "Jakoj Maaani?! — dobiegł jeszcze głos, ale Pietruk zorientował się, że dalsze słowa będą próżne, więc splunął nabiegłą od krzyku śliną, wyprostował się przy kole i nie patrząc już na mijaną wieś, skupił całą uwagę na dziób statku.

— To skąd wiesz, że to Onufry? — zapytał podchodząc od tyłu po pokładzie stary Chaim.

— Onufry-żesz. Z Bereziec.

Prosilili na przystani w Pińsku, żeby podał, kiedy łaska, wiadomość o śmierci, jeżeli będą zatrzymywać się w Bereźcach, jeżeli pasażery będą naturalnie. Nie było, nie przystawali, więc skrzyknął do spotkanego.

— Dobre oczy masz — powiedział Chaim, śledząc zbliżający się znak żeglarski, jeden z tych, które powbijano ostatnio w rzekę z nakazu Dyrekcji Wodnej. — Od czego on umarł, Ostapczuk?

— Nie wiem ja.

Po obydwu brzegach ciągnął się bezkresny step szuwarów i niekoszonej trawy, tylko z prawa widniała kępka olch, trochę wierzb i krzaki łożyny; środkiem woda w słońcu; widok urozmaicała bardzo jeszcze daleka, biała plama stada gęsi domowych. Chaim odszedł na ławeczkę, która mu zastępowała mostek kapitański, przed środkową nadbudówką statku.

Statek spuszczone był w roku 1901, do czego Chaim nie przyznawał się, twierdząc, że tuż przed samą wojną... — "Co znaczy stara skrzynka!", wykiłcał się, bywało, z urzędnikami. — "Nie potopi, nie! Daj Boże naszym wnukom na takim statku pły-

wać! Pan chcesz pięć tysięcy asekuracji, niech Pan Bóg broni, dla pańskiej żony?! A dziesięć tysięcy pan chcesz?!" — Mój Boże, wieleż to słów pustych wypowiedziało się w ciągu życia? Wieluż to już nie ma z tych ludzi na świecie, ani tych interesów, ani nawet tych pieniędzy...

Statek dygotał miarowo, bijąc płetwami kół wodę i jak zawsze ciągnęło świeżością moczarów, zgniętego sitowia, zapachem ryb, zalatywało dziegciem, smarem, rozgrzanym na słońcu drzewem, węglami samowaru; tak pachnie mieszanina przestrzeni z ciasnym życiem ludzkim. — Wybitny konstruktor i armator, Lejba Perl z Mozyrza, zbudował ten statek, ale coś mu przyszło do głowy, żeby koło sterowe umieścić nie w górze, nad maszynami, skąd przez tubę daje się do kotłowni rozkazy, a na samym prawie dziobie. Z tego wyszła taka rzecz, że między sterem i maszyną nie było porozumienia i trzeba było wołać, albo biegać i uzgadniać ruchy. Najczęściej spełniał tę powinność sam Chaim.

Tyle można powiedzieć o tym statku. Więcej prawie nic. W tej chwili na przednim jego pokładzie podzwaniało do rytmu maszyn żelazo w sztabach; obok leżały pługi, płynące do Dawigródka. Na tylnym pokładzie trochę rozmaitych towarów. Przy barierze stało kilku chłopów spod Łunińca, wracających z sesji sądowej w Pińsku, którzy patrzyli w wodę. Jeden z nich podszedł do Chaima i zapytał: "Hdzie tu budzie stęp?" — Chaim, nie podnosząc głowy znad desek pokładu, zrobił ruch dłonią, wskazując kciukiem ku tyłowi i w bok, na budki wystające nad kołami. Na drzwiach białą farbą wymalowane miały dwa zera i napis "u stęp". "U" po białorusku znaczy "do", więc chłopci sądzili, że to nazywa się "stęp".

Flaga o barwach narodowych polskich, była nie jedna na rufie: druga, tych samych rozmiarów, zatknęta na dziobie. To był "polski" statek. Tak Chaim i powiedział kiedyś, w trakcie nieporozumienia z wojskową kanonierką o jakieś pravidła nawigacyjne: "Co pan chce, panie kapitanie, polski statek płynie..."

Po bładosinym niebie słońce przeskakuje w zależności od skrętów rzeki, raz z jednej, raz z drugiej strony; po jego odbiciu na wodzie ciężko pracują koła; po bokach szaro-zielona płaszczyna, spowita mgiełką wilgoci jak kurzem; trzcina kołysze się wzruszona falą; dwie, trzy czaple zataczają kręgi bardzo wysoko, gdyby kto chciał zadzierać głowę. Wiadomość o śmierci Ostapczuka nie miała z tym wszystkim żadnego pozorze związku.

Ostapczuk był kiedyś sternikiem na statku Chaima. Nawet dobrym sternikiem, ale mały, słaby i chorowity; kaszlał, później zaczął chudnąć na twarzy, a raz splunął krwią. — "Uj", stęknął z dezaprobatą Chaim i skrzywił się. — "Ostapczuk,

ty u doktora bił?" — "Jak raz hroszy tylko i na doktora mam...", mruknął ponuro tamten. — "Idź, idź, na mój rachunek. Do Girszowicza idź".

Znany internista Lew Girszowicz, powiedział, że mu klimat nie służy. A Chaimowi przyznał, że "nic z niego nie będzie". — "Jak, klimat?" zdziwił się wówczas Ostapczuk. "Nu, woda, wilgoć... pogoda, nu". — "W Bereżcach, tu urodzony i żeby raptem od wody...", wzruszył ramionami pacjent i wrócił do pracy. Ale jaka może być praca chorego człowieka! Chaim szukał tylko przyczyny, żeby go zwolnić. Nadarzyła się ona z następującej okazji:

Na statek miała przybyć któraś tam z rzędu komisja inspekcyjna. Chaim kazał posprzątać, myć pokład i wiele rzeczy uprządkować. Później zauważył, że na wyblakłej burcie nie tylko obłupiała się już ostatecznie nazwa statku, ale w dodatku przebijając zaczęły spod farby stare, rosyjskie jeszcze litery dawnego imienia. Zwłaszcza kończący słowo "twierdyj znak" zarysował się wyraźnie. Ostapczuk podjął się wymalować na nowo nazwę, twierdząc, że zna się na malarstwie. Za cztery złote się podjął.

W południe jakoś przyszedł przodownik, Stanisław Kula i wsparłszy brzuch o barierę przystani poziewał. Kula pochodził z Poznania, słowa wymawiał twardo i trudno go było zrozumieć, ale policjant był z niego poważny i sprawiedliwy. Chaim zszedł doń po kładce i uśmiechał się uprzejmie.

Statek nazywał się "Orzeł". Statki przeważnie nazywają się dlaczegoś od ptaków, z tym stykał się Chaim od urodzenia, chociaż raz tylko zaciekał się tym szczególnym problemem, gdy liczył niespełna lat dziesięć i zapytał wówczas ojca, dlaczego? Ale ojciec śpieszył się właśnie, więc szturchnął go tylko w plecy i powiedział: "Giej, giej..." Więcej do tego tematu nigdy nie powracał. Z wiekiem sam doszedł, że nie od wszystkich ptaków wypada nazywać; na przykład: "kanariejka", nie nazwiesz. Za to: "Orzeł", "Sokół", "Czajka"... A Zuseł Ślucki nazwał swój w roku 1911 nawet "Żar Ptica"; to była ładna nazwa! Ale "Orzeł" też dobra.

— A gdzie "z"? — spytał przodownik, zasłaniając rękawiczką ziewanie.

— Przepraszam, jak pan przodownik mówi?

— Gdzie "z", pytam. Orzeł pisze się przez erzet, a tu wychodzi: ore...

— Ostapczuk!!... — krzyknął Chaim i zwrócił się znowu do przodownika: Ja jeszcze przepraszam, to jak pan mówi? Może pan przodownik na karteczce spisie.

— A?!... — odkrzyknął Ostapczuk, wisząc w niewygodnej pozycji przy burcie i odwracając się z pedzlem w rękę.

— Zamaż, zamaż to co napisał! — wrzasnął nań z nagłą złością Chaim. A później jakby go coś tknęło i jeszcze podniósł głos: — Zleż stamtąd! Niewieźda ty! Farby tylko napsuł! — Taki był pretekst na razie do kłótni, ale kłótnia była pretek-

stem do zwolnienia. Na pokładzie zrobił się hałas. Stara Hana wylazła z kabiny mieszkalnej, powtarzając: "Sza, sza, sza..." Ona wiedziała, że z ludźmi trzeba obchodzić się ostrożnie. Chaim też wiedział, ale jednocześnie rozumiał, że Ostapczukowi nie ma jak nawet odgrażać się, bo przodownik będzie świadkiem i później niech by chociaż przypadkowy pożar na statku, a może paść podejrzenie. Ostapczuk istotnie wymyślał Chaima powściągliwie raczej, by zachować pozory, a wyraz twarzy miał zniechęcony. Chaim ze swej strony, żeby przydać incydentowi większej wagi, z miejsca wezwał Alperowicza, malarza szyldów, ugodził się z nim na osiem złotych i kazał zrobić fachowy napis. Alperowicz zastanowił się, doradził, że może zmienić nazwę na przykład na "Śmigły"? — i powiódł wzrokiem dokoła. — "To jak nasz marszał Piłsudski", wtrąciła Hana. Chaim syknął niecierpliwie, Alperowicz pobłażliwie się uśmiechnął, a córka, Raja, zaczęła tłumaczyć matce różnicę. Przodownik zachował uprzedni, poważny wyraz twarzy.

— A jak pan myśli? — spytał go Chaim przez grzeczność.

— Bo ja wiem... — odparł ładną polszczyzną. — Bo ja wiem... Trzeba by chyba zapytać w starostwie. Ale — dodał — może już lepiej niech zostanie "Orzeł".

— O! — podchwycił Chaim. — Ja tak mówiłem. — Sugestia Alperowicza nie miała naturalnie żadnego sensu i wszyscy rozumieci, że wypowiedziana była wyłącznie dla efektu, niemożliwa zresztą ze względów rejestracyjnych i handlowych. Poza wszystkim jednak Chaim czuł szczególną niechęć do wszelkiej polityki. Hotele w Pińsku, czy nawet zajazdy w Dawidgórku, co nosiły ongiś nazwy "St. Petersburg", lub "Odesa", nazywały się dziś "Warszawa", albo "Gdynia". A "Orzeł" to neutralnie, tak jak "Bristol" w Baranowiczach. Ptak.

Przodownik poprawiwszy pasa na brzuchu, odsuwając szablę nieco w lewo poszedł sobie, zadumany nad brukiem. Wody Piny cicho pluskały o burtę. Po drugiej stronie szuwary zlewały się w końcu z horyzontem. Dzień był chmurny.

O Ostapczuku Chaim usłyszał tylko raz jeszcze, gdy przychodziła jego żona prosić, wysuwając stare argumenty: bieda w domu, dzieci, mąż do ciężkiej roboty nie nadaje się... — "Kiedy on chory, to niech idzie do szpitala. U mnie nie szpital na statku!"

— Tak ja i nie każu, szto szpital, alieeee...

— Idź, idź. Nie durz głowy.

Jak raz, było, Gurewicz zapuścił weksel do protestu i rzeczywiście nie do babskich gadań było mu wtedy.

Pozornie więc, sprawa wyczerpana została ostatecznie. Chaim najął nowego sternika.

Pietruk słynął jako doskonały fachowiec. Młody, silny, gdy wchodził po raz pierwszy po kładce na pokład, Chaim ześrodkował dlań jakiś wzrok na jego butach. Były to buty rybackie, z cholewami za kolana, czarne od dziegciu, ale przy-

krojone z takim fasonem, że i w kirasjerach można by je nosić, tylko, że i ostróg im brakowało. Na plecy miał narzuconą burą, samodziałową kurtkę; i świtka i sposób jej noszenia "w nakidku", zdawały się zwyczajne, chłopskie, ale leżała u niego na ramionach z jakąś fantazją jak dolman. Być może Pietruk wystudiował gdzie w odbiciu wody, czy w lustrze u fryzjera, że mu do twarzy takie noszenie się, bo prawie nigdy nie nakładał jej na rękawy, a mimo że miał ruchy bystre, to jednak w ten sposób umiał ustawić ramiona, iż nie było wypadku, by mu kurtka z nich się ześlizgnęła — nawet pod wiatr nie — wydymała się tylko. Na głowie czapka, nowa, z daszkiem zsuniętym na bakier. W oczy Chaim spojrział tylko przelotnie, ale wydały mu się raczej sympatyczne. — "Nu, pomyślał, to już niech dziwki obchodzi, jak on tam nosi się. Mnie, żeby tylko robota była". — A robota była pierwszorzędną.



Pietruk stał przy sterze na rozstawionych nogach, jak wkopany w swoje buty, cholewy podcięte, wiaterek igrał włosami lewej skroni, kurtka narzucona, koło trzymał twardo w rękach, patrzył przed siebie, nie oglądał się. Gdy pierwszy raz wypłynęli do Dawidgródka i wyszli na zlewisko dwóch odnóg: Piny i Strumienia, skąd dopiero liczy się właściwa Prypeć, było pod wiosnę, Szeroko, szeroko rozłana toń, w niej stojące dęby i olchy, łąki pod wodą, na pojedynczych wierzbach zwiśała już puch; kaczki latały z wesołym krzykiem, zewsząd dochodził pisk, śpiew.

— Ech! Pripiać! — nie wytrzymał Pietruk. Oderwał nagle nogę, postawił ją szerzej i poruszał nerwowo stopą, jakby naciskając wyimaginowany pedał od gazu, dla nadania szybkości. Było w tym ruchu coś podrywającego, tak że Chaim mimowoli pociągnął nosem powietrze i też westchnął. Zaczął padać gęsty deszcz. Raja, która niby to poprawiała właśnie rogoże przykrywające skrzynie na przednim pokładzie, schroniła się pod daszek sternika, gdzie było ciasno. Zażartowała do Pietruka bez przekonania, ale z niezwykłą miękkością w głosie:

— Dać, ja poprowadzę.

Pietruk mruknął tylko coś pod nosem. Stary też się nie odwrócił, on nie potrzebował widzieć, on zbyt dużo widział w swoim wieku, starczy; on nie widząc, czy przeczuł nagle i może dlatego, dla odwrócenia uwagi, a może przez nagłą tęsknotę do dali, która była dalą przeszłości, odezwał się:

— Sztoż tobie, Pietruk, Pripiać! Do Horynia tolki. A kaby ty wiedau dawniej... — Urwał z wyciągniętą przed siebie ręką, jakby na ukośny ekran deszczu chciał rzucić niemy obraz nawigacji, co została tam, het, aż za Ubortem, za Ptyczem, za Mozyrzem miastem, aż po ujście Dniepru i dalej Dniepre... — Przepadło — zakończył — za nic, przepadło!

Raja znudzona westchnieniami ojca do przeszłości, spojrze-

ła w niebo, zmrużyła raptownie oczy, jak człowiek decydujący się na krok stanowczy i podkasawszy spódnice, pobiegła po mokrym pokładzie do kajuty.

W drodze powrotnej było tak samo chmurno. Kilka razy w ciągu doby przechodziły deszczowe szkwały. Pietruk wylawrował właśnie z ujścia Horynia, przerzucił ster na babord. Prypeć toczyła wody ciemne, olbrzymie, prawie czarne. Puszcza, która w tych miejscach dochodzi brzegu, stała zanurzona aż po gałęzie. Sięgnął ręką do kieszeni spodni i po chwili nie odwracając się zawołał:

— Raja!

Raja krzątała się po przednim pokładzie.

— Raja, przynieś mnie bibułki, a to moja wodą przesła.

— Nie mam czasu.

— Przynieś, Rajeczka.

Raja poszła do składziku, gdzie nie oficjalnie wożono towary detaliczne i przyniosła. Pietruk skręcił, zapalił i poweselał.

— Dawaj, żenić się z tobą będziem — i wyciągnął ramię, żeby ją objąć. Uchyliła się zgrabnie.

— Żeń się — powiedziała — ze swoją. Co mnie obchodzi!

— Z jaką?

— Mało dziewczyn we wsiach.

Pietruk uważał na płynącą naprzeciw sporą, wyrwaną powodzią wyspę, na której trzymały się jeszcze ku górze dwie olchy. — Co tam takie dziewczyny — mówił przerzucając prędko szprychy koła. — Nogi jak bierwiona niekorowane, cycki na brzuchu... A u ciebie...

— Fu, Jak wyraża się, Cham. — Odeszła postukując wysokimi bucikami. Z tyłu doleciał ją wesoły rechot Pietruka.

Pod przednim pokładem znajdowała się duża, z ławkami po bokach, kajuta dla pasażerów chłopskiego stanu. W środkowej części dwie przednie kabiny rezerwowane były przeważnie dla kupców, rzadziej dla średniej rangi urzędnika, którego ciągały po błotach tutejszych urzędowe nakazy. Czasem, gdy kabiną stała pustką, zwłaszcza na postojach, przesyłał w niej Pietruk, wyciągając się niewygodnie na kanapce wypchanej słomą i pokrytej ceratą, w wielu miejscach już podartą. Ściągał buty i nie rozbierając się nakrywał się swoją kurtką. Drewniana ścianka od strony kotła dawała ciepło. Pod głowę wkładał zgięte ramię. Raja przyniosła mu raz stary jasiek bez nawieczki. — "Na szto mene?" — zdziwił się i zaraz spuścił nogi i chciał ją złapać. — "Haj budzie!..." — rzuciła i zatrzasnęła prędko drzwiczki.

Na posiłki wołano Pietruka do "mieszkania", to znaczy do dwóch tylnich kabinek połączonych w jedną, zastępujących jednocześnie sypialnię gospodarzy, jadalnię, kuchnię, kantor Chaima i stołówkę załogi, na którą prócz Pietruka, składał się jeszcze maszynista-palacz, Wasilko, rodem z Petrykowa, poło-

żonego przy ujściu Uborta do Prypeci z tamtej strony granicy. Chłop czterdziestoletni, małowówny, z niewiadomego pochodzenia szramą od lewego oka, wskos do końca ucha. Pracował u Chaima już bardzo dawno i mimo częstych kłótni i awantu Chaim go nie zwalniał.

Właśnie tamtego wiosennego wieczoru, Pietruk zszedł, zajął swe zwykłe miejsce przy stole. Jego naczynie, nóż, łyżka, wszystko trzymane było osobno i myte osobno, ażeby przez dotknięcie nie strefić koszerne go jada gospodarzy. Był piątek wieczór i rozpoczął się szabes. Statek szedł pełną parą, walcząc z trudnym prądem. Zakon zabrania w szabes tylko jeździć, ale nie pływać. Hana zapaliła świecę w blaszanym, posrebrzanym lichtarzu. Pietruk rozparł się łokciami na stole.

— Butelki z wodą nie trzeba pod siedzenie wkładać...

Hana uśmiechnęła się wyrozumiale: — To tylko bardzo ciemne żydki tak robią.

— Dawajcie prędzej jeść — powiedział, a ponieważ Chaim zastępował go przy sterze, więc dodał jeszcze: — A to wasz stary zamęczy się, tam, koło kręcić.

— Nu, niech i on popracuje — odpowiedziała tym samym tonem Hana i westchnąwszy zawołała w kuchenne przepiekanie: — Raja! gib jemu a kuszanje!

Na tym temat rozmowy wyczerpał się. W kajucie było duszno. Pietruk pchnął łokciem i otworzył luk. Do środka wdarł się zapach wody i wzruszonego powodzią mułu. Chmury ciągnęły nisko, ale szło na wypogodzenie. Raja, nie patrząc, postawiła dymiącą miskę i obejrzała się za łyżką. Zaczęła jej szukać na szafie z naczyniami. Pietruk był głodny i zły, że musi czekać, chciał już coś przygadać, ale rzuciwszy okiem na Raję, zmilczał. Odwrócona, sięgała ręką na szafę, od czego jej sukienka uniosła się w górę odsłaniając pończochy między cholewkami butów i dołem spódnicy: miała pełne, ale zgrabnie wytoczone nogi i w trzech miejscach dziury na grubej pończosze pośrodku łydki. Obrzucił ją całą z tyłu wilczym spojrzeniem, na ustach miał już jakiś trywialny żart, którego nie wypowiedział, znowu nie wiedząc dlaczego. Później jadł milcząc i pozornie nie zwracał na nią uwagi. Hana, popychając przed sobą ogromny, osiadły na krótkich nogach brzuch, poczłapała w drugi koniec kajuty.

— Dać może herbaty? — spytała cicho Raja, gdy odsunął miskę.

— Proszę — odpowiedział grzecznie.

Ciszę przerywał tylko chłupot kół statku i krzyki kaczek dochodzące przez otwarty luk. Łagodny wietrzyk skłaniał płomień szabasowej świeczki raz w jedną, raz w drugą stronę. I wtedy Pietruk, ni z tego ni z owego, patrząc przed siebie, powiedział:

— Ot, i liście niezadługo pokażą się na drzewach Zielooone...

Raja, która sięgała po naczynie, aby je sprzątnąć ze stołu,

podniosła nań wzrok zdziwiona i nagle opuściła ręce wzdłuż ciała bezwładnie. Takich rzeczy nigdy się nie wie na pewno, ale chyba od tego właśnie wiosennego wieczoru zaczęła się ich miłość.

A teraz było lato.

Chaim pierwszy zauważył, że to nie na "tak sobie" zawiązało się między tamtymi. Hana się jeszcze długo nie domyślała. Była głupia. Nie mówił tego ani jej, ani innym, ale w myślach, przed Bogiem i samym sobą przyznawał: głupia była. Na jej wyłącznej opiece córki zostawić nie można. Próbował było zagadać z Rają, ale już z tonu jej odpowiedzi (nie z treści ma się rozumieć, bo przecież każdy mówi nie to co myśli), utwierdził się w pierwotnym przekonaniu i porzucił złudzenia. — Jaki na to sposób? Sposobów jest dużo. Pierwszy naturalnie, wydać ją za mąż. Brat Chaima, brakarz leśny, słusznie zwrócił mu uwagę na syna tegoż samego Śluckiego: poważny handel lin, sznurów i sieci rybactkich; te ostatnie sprzedawał chłopom w kredyt, zobowiązując ich w dostawie ryb po tańszej cenie niż rynkowa i z tego nieoficjalnego skupu ciągnął jeszcze większe zyski. Raja naturalnie słyszeć nie chciała o Śluckim. Chaim na razie nie nalegał, spodziewał się tego. Drugi sposób, zabrać ją ze statku. Trzeci, zwolnić Pietruka. Ale takiego dobrego robotnika do wszystkiego trudno znaleźć, a Raja też niezbędna na statku; kto ją zastąpi? Najmować, płacić, żywić obcą? A co z nią? Można, można, ale trzeba było pomedytować nad tą bardzo wielką zgryzotą, jaka przyszła na stare lata. Bardzo wielka zgryzota... Prawie nieszcześnie.

Brat doradził mu raz szeptem: zaasekurować dobrze statek i potopić razem z towarem. Chaim słuchał i przez ostrożność nawet nie odpowiedział, jakby nie słyszał. Skalkulował tylko w myśli, bardziej z przyzwyczajenia do kalkulacji, niżli z zastanowienia... Całe życie na wodzie, a później co? Ot, do czego przyszło, do jakich rozmyślań. I zdaje się żadnego błędu nie zrobił... Więc co za przyczyna, co? Od czego się zaczęło?

Siedział na ławeczce, był jasny ciepły dzień, patrzył w deski pokładu, ale dlaczegoś stanął mu w pamięci późny wieczór, gdy z brzegów dobiegało już szczerkanie psów, pod chmurami pachniało nocą, a światła, które z izb kładły się na rzekę, zdawały się nawodzić zapach biednej jadalni, zapach nafty w lampie wiszącej nad ceratą, smażonej ryby... No i kiedy to było? I co z tego, że było? "Trymaaaaj!", krzyczał wówczas Ostapczuk, załamującym się dyszkantem, rzucając linę z pokładu na przystań... — Chaim uniósł głowę. Dawno już minęli Bereże i słońce, które tu i tam chodziło za rufą po skrętach rzeki, teraz skapane w oparach, czerwone, kładło się w trawy. — Umarł, nu umarł od suchotów umarł, nie od zwolnienia ze służby. Był chory i umarł... — W tej chwili usły-

szał, że koła ustają w obrotach, coś się musiało zdarzyć w maszynach. Pietruk odwrócił się, a z tyłu dał się słyszeć zły krzyk Wasilka:

— Chaim!

Wtedy wstał milcząc. Wasilko wytknął głowę z drzwiczek prowadzących do kotłowni: — Chaim! Ach, kab te twoje maszyny!...

— Nu, co jest, co jest, Wasilko?

Tamten nie odpowiedział, tylko zbiegł z powrotem po schodach. Chaim stękając schodził za nim. Statek zacichł na wodzie. Z głębi dochodziły teraz krzyki i wymyślenia palacza, który zaklinał się już po raz nie wiadomo który, że tym razem zejdzie w Dawidgródku i nogi więcej nie postawi na tym korcyce zgniłym! Że to nie maszyny, a złom, g...o! Że nie można tak bez remontu, bez odnawiania części, że pozabijać może! Krzyczał tak, że Hana wyszła na pokład i wsadziwszy głowę w otwór drzwiczek, mówiła w dół: "Sza, sza, sza".

— Ech, żydowska robota na twoim statku pływać!... — wrzeszczał Wasilko.

— Sza, sza...

Pietruk trzymał ster i rozglądał się niezdecydowanie. Stał nie dopłynąwszy mostu kolejowego. W tym miejscu Prypeć rozparła się wszerek, tworząc łachy i wyspy, miejscami nurt rzeki przeświecał pływającą piasku, a jednocześnie prawy, głębszy rękaw wyrwał naprzód szybkim prądem. Bezwolny statek znosiło na łachę. Pietruk nie mógł utrzymać go pośrodku, boczny prąd spychał szybko na mieliznę i zachodziło niebezpieczeństwo, że go wbije w piasek i muł. Zanim zdążył zawołać, Chaim, instynktem żeglarskim przeczuł sytuację, wytknął głowę i krzyknął: — A jajaj! Wasilko! Treba podeprzeć żerdzią! Prędej!

— Podeprzyj, wiesz czym!?! — odszczeknął głos z dołu.

— Uś, uś, — zalamantowała Hana. — Sza...

Chaim po starczemu bezradnie zakrzętał się koło złożonych na pokładzie żerdzi, gdy Pietruk rzucił ster i zawołał do zagapionych pasażerów:

— Ej, chłopcy, pamahicie! — Biegając przeskoczył jakąś skrzynię, uchwycił potężny drąg i wparł go w dno. Chłopi poszli za jego przykładem. Statek drgnął. Później wolno, wolniutko dopuszczono go do brzegu i przycumowano przy wielkim dębie. Jedna tylko gałąź z chrobotem przesunęła się po barierze pokładu i zerwała przeciwpożarowy "Minimax", który chlupnął w wodę i poszedł na dno. Był zresztą dawno zardzewiał i zapewne bezużyteczny

Zapadała noc. Letnia taka, cicha jak szmer wikliny, jak bulgotanie wody; czasem ryba gdzieś plusnęła głośniejsze, albo ptak na brzegu pisnął, nie wiedzieć przez sen, czy z innej jakiej przyczyny. Raja zapaliła latarnie pozycyjne i poszła, stąpając ostrożnie, na przód statku. Usiadła obok Pietruka, oboje

z nogami spuszczoneymi za burtę. Nad nimi obłok fiolecił się jeszcze ostatnim-z-ostatnich odbłasków zachodu. Z wnętrza kadłuba dochodziły postukiwanie młotkiem i przyciszony zgrzyt narzędzi: to Chaim i Wasilko, już teraz bez słowa, reperowali uszkodzenie. Przeciwny brzeg powoli zaciągało ciemnością, nie tak jednak zupełną, by nie odróżnić czarnej płaszczyzny traw od szarej powietrza. Właśnie, gdy za ich plecami, w puszczy krzyknęła sowa, jakby jej do wtóru dał się słyszeć głos Hany:

— Raja! Raja!

Raja drgnęła, ale odpowiedziała dopiero po dłuższej chwili:

— Wos?!

— Kum a her!

— Ach... — Wyciągnęła nogi zza burty i rozkraczając je nieprzystojnie, wstała leniwie i niechętnie, opierając jedną rękę o ramię Pietruka. Poszła, a później słyszeć było jak klóciła się z matką hardo i zdecydowanie. Po chwili wróciła na dawne miejsce. Hana straciła nad córką wszelką władzę, odkąd ją niechęć przyłapała z Pietrukiem w przedniej kabinie i gdy następnie nie było już czego ukrywać i czego się lękać. — "Uś", — mawiała tylko częściej niż przedtem, przykładając rękę do piersi, — uś, serce boli".

A oni siedzieli tymczasem milcząc obok siebie i słuchali jak woda płynie. Jest po zachodzie słońca zawsze taki moment, który stanowi przekroczenie granicy wieczoru i nocy. Nie wiadomo jak to się dzieje, bo czasem bez żadnego wiatru, a przecież raptownie technie zapachem nocy i koniec. A co jest w tym zapachu, też nie wiadomo dokładnie. Nie wszędzie rosną na Polesiu azalie, nie razem przekwitają czeremcha, dziki bez, dziki chmiel, jarzębiny, lipy, zależnie też od miesiąca rozmaicie pachną trawy, również inaczej skoszone świeżo, inaczej siano w stogach, zatem nie od roślin to pochodzi, że oddech nocy ma w sobie coś szczególnego, że wystarczy pociągnąć nosem, żeby stwierdzić, iż — już przyszła... Raję przeszył dreszcz i ciałnie przytuliła się do Pietruka.

— Zimno może? — zapytał i nie czekając odpowiedzi zsunął kurtkę, narzucił jej na plecy. Bardzo daleko, na stacji w Łunińcu chyba, gwizdnął parowóz i głos jego pobiegł zalewnymi łakami, a dobiegał ledwo dosłyszalny. Później coś zaczęło narastać w przestrzeni, coraz wyraźniej, gromadzić się w turkot pociągu, bliżej i bliżej. To wileński wieczorny przez Lidę - Baranowicze wpadł na most, załomotał błyskając latarniami: przebiegają nanizane w rząd światła okien nad ciemną rzeką, wysoko między przesłami, lecą w świat, nikną za drzewami; cichnie, cichnie... Aż wreszcie znowu tylko stukanie młotka w kadłubie parostatku i rozstawny w czasie plusk ryby.

— Pojechali... Ludzie, — mruknął Pietruk.

Raja położyła mu rękę na kolanie.

Opóźnienia w rejsie były zjawiskiem dosyć powszednim, ale ostatnie uszkodzenie spowodowało, że dopiero w godzinach popołudniowych następnego dnia wpłynęli w ujście Horynia. Wody skutkiem długotrwałych upałów znacznie opadły. Było już pod wieczór, gdy przybyli do przystani w Dawidgródku, a nazajutrz wypadło święto prawosławnego Wniebowstąpienia. Nikt nie chciał rozładować statku, chyba za podwójną płacę, na co Chaim nie mógł się zgodzić. Wynikła z tego poważna strata czasu i przymusowy postój.

Miasteczko składające się przeważnie z szewców i handlarzy nasion, wdziało co lepsze kapoty i wyglansowało cholewy butów; baby zawiązały pod brodą świeże chusteczki. Wszędzie po drodze do cerkwi stały grupki ludzi, którzy przyglądali się przechodniom, skrecali cygaretki, częstowali się nawzajem samosiejnym tytoniem, rozmawiali mało i o niczym.

Pietruk, mimo iż chodził ciągle w tym samym odzieniu, gdy tylko chciał potrafił wyglądać świeżo i czysto. Prawda i to, że na wodzie nie miał się go kurz, a wypucowane buty pokrywały jedną trzecią powierzchni jego ciała. Ostatnio też miał pod rękę zawsze czysto wypraną koszulę. Ogolił się, włożył nowy pasek, narzucił swoim zwyczajem kurtkę na ramiona i szedł środkiem ulicy, której błoto skamieniało pod wpływem suszy. Raja niby to spotkała go przypadkowo i odprowadzała wolno w kierunku cerkwi. — "Bim-bom, bim-bom"! dzwonił dzwon na górze, a głos jego pod pierzastymi obłoczkami leciał niestrzymywany nizinami, odbijając się echem dopiero o puszcę radziwiłłowskiej ordynacji. Raja włożyła granatową sukienkę z białym kołnierzykiem wycinanym w ząbki, na nogi czarne pantofle, po miejsku, elegancko; w kasztanowate włosy wpięła tombakową kłamrę, która złociła się w słońcu. Ludzie niektórzy się oglądali, niektórzy nie. Stateczni mieszczanie nawet nie zauważali, natomiast dziewczęta, poszturchując się nawzajem, wybałuszały oczy; młodszy witali się z Pietrukiem kiwnięciem głowy, albo nawet uściśnięciem ręki, bo miał dużo znajomych. W oczy nikt słowa złego nie powiedział, ale można się było domyślać, że za plecami sędzili wszyscy jednako: "Ot, związał się z Żydówką..."

Za niemytymi szybami okien mignął tu i ówdzie zarys brodatej twarzy, albo koronkowa chustka ciekawej Żydówki.

— I po co to trzeba iść koniecznie środkiem ulicy, reklamować się? — Tego najbardziej nie pojmował Chaim. — Po co? To już bez tego nie można?...

— Co on ją, do cerkwi tak zaprowadzi?... — zażartował ktoś w tłumie świątecznym. Ale Raja nie doszła do ogrodzenia, pożegnała się poważnie i poszła z powrotem, nie patrząc na nikogo, a tylko na końce swych z lekka zakurzonych pantofli. — "Bim-bom, bim-bom" dzwoniło obojętnie w drewnianej, trochę pochylonej dzwonnicy; kopuły cerkwi, malowane ongiś na zielono, dawno wyblakły, przybierając kolor wyschłych na brzegu wodorostów.

Wróciła, gdy zasiadała okazyjnie rada familijna, złożona z rodziców, wują Goldberga, właściciela zajazdu "Gdynia", jego żony, jego szwagra Szapiro, kupca leśnego i starej Goldbergowej, wdowy po starszym bracie matki. Na zebraniu tym Chaim wysłuchał różnych rad, ale nie powiedział ostatniego słowa. — Dzwonek umieszczony nad wejściem do hotelu, brzęknął trącony drzwiami, gdy wchodziła, i stał się jakby sygnałem do zakończenia narady. Chaim wstał, przepłukał ręce pod emaliowanym zbiornikiem nad umywalką, wytarł je niedbale w brudny ręcznik i wyszedł załatwić interesy.

Chaim nie był nigdy ani zbyt nabożny, ani przesadny, ani w inny sposób nie dawał się powodować emocjonalnym odruchom. W żadne pozagrobowe wpływy i powikłania nie wierzył. Był raczej tym, którego się określa mianem materialisty. Prawda i to, że wiara w pieniądź zachwiana w nim została nieco, gdy stracił wszystkie oszczędności umieszczone w "Azowsko-Tulskim" banku w dobie rewolucji bolszewickiej. Szczęśliwie złożyło się jeszcze, że popłynął wówczas w górę Prypeci, rozebrał maszyny i wyratował w ten sposób parostatek po polskiej stronie. Ale czy to pieniądź sprawił? Raczej ślepy przypadek. Naturalnie, że nie stracił głowy, a z tym większym zaparciem oddał się nowym interesom i tylko czasami, czasami, pod wpływem dziwnych doświadczeń długiego życia, nadchodziły go takie refleksje i takie poglądy na związek przyczynowy niektórych rzeczy, które ukrywał w głębokich rozmyślaniach i nie dzielił się nimi nigdy i z nikim głośno.

W drodze powrotnej, wyjął po kryjomu banknot stułotowy, zastanowił się chwilę, dołożył doń drugi, sumę wprost fantazyjną, przełożył ją do pożółkłej koperty i wsadził z powrotem do innej przedziaki portfelu przepasanego gumką. Gdy zbliżali się do Berezec, podszedł do Pietruka i zapowiedział krótko, że ma kierować na przystań. Pietruk zdziwił się w myśl, bo od tej strony rzadko bywali pasażerowie do wsi, a nikt z brzegu nie kiwał, ale znaczy, musieli być, więc bez słowa skupił uwagę na manewrowaniu. Nie było ono łatwe ze względu na niski stan wód. — "Wolno!", krzyknął Chaim do Wasilka. — "Lewym". — Pietruk jak zawsze manewrował bez zarzutu. — "Zadni chod! Wasilko!" — Na przystani gromadziło się już kilka leniwych gapiów; dzieci z wrzaskiem biegly od wsi — "Stop, stop!" Statek zacichł i bijąc falą o brzeg, ostrożnie dołączał do pomostu. Gęsi, machając skrzydłami posunęły gwarliwie w głąb ładu. Nikt nie zbierał się wysiadać, nie było też pasażerów do Pińska. Hana zdziwiona, zapytała męża o przyczynę zatrzymania.

— A geszeft — odparł sucho i poszedł po kładce. Ten i ów powitał go na brzegu zdjęciem czapki, bo gdzieś na szerokim świecie nie kłaniają się ludzkie pieniądzu! Nie inaczej na szerokich błotach poleskich. Chaim odkiwnął, ale na samej przystani nie rozmawiał z nikim. Stawiał kroki wolno, idąc pod górę i dopiero w głębi wsi, gdy dziwnym trafem podwinał mu

się na spotkanie właśnie Onufry, zatrzymał go i zapytał gdzie mieszka żona Ostapczuka? Onufry Bierieziuk zastanowił się i podrapał w tył głowy, przyglądając własnym łapciom.

— Na szto tebe treba?

— Na szto by ni było, nu.

Onufry Bierieziuk pomyślał. — Jakoho Ostapczuka?

Chaim wyjaśnił, że tego co u niego był sternikiem.

— Tak jego że nie ma. On umarł.

— Nu, umarł. A wiedziesz wiele dzieci stało?

— Słychać, że cztery.

— Pokaż mnie gdzie ona mieszka.

— Kto, Mania?

Chaim kiwnął głową. Onufry zgodził się chętnie i nawet doprowadził kawalek, ale w drodze wyjaśnił, że ani jej, ani dzieciów nie ma. Popłynęli do Pińska i już nie wrócą, bo nie mają tu z czego żyć. Kątem żyli. Ziemi u nich żesz nie było. A jak "jej" umarł, to co ona tu będzie robić? Komary jeść? Ni ma jak. Pracy poszła szukać.

— To on nie tu urodzony, Ostapczuk, był?

— Tu. Ale dawno już swój udział bratu sprzedał, a sam na zarobki był chodził.

— Nu, a brat nie może pomóc wdowie?

— Oho... Taki człowiek. — Onufry nie powiedział jaki, a tylko odchylił się na bok i wysmarkał nos w dwa palce; ale Chaim już wiedział.

— A co iz dziećmi robi? — zatrzymał się.

— A Boh ich wiedzaje.

Chaim wrócił na statek. Dwieście złotych zostało przy nim, ale rzecz dziwna, nie odczuwał z tego powodu żadnej przyjemności. Raczej po wyrazie jego twarzy, z której Hana nauczyła się czytać tak sprawnie, że wystarczyło jej jedno zerknięcie, osądziła, że geszeft nie udał się. W drzwiach kabiny, oparty niedbale o uszaki, stał Wasilko i patrzył na Boży świat. Pietruk rozsiadł się na przedniej ławeczce, szeroko rozrzucając nogi, palił. Obok niego siedziała Raja. Chaim odwrócił wzrok.

— Popłyniem, — powiedział do nikogo.



Któż mógł przypuszczać, że rozwiązanie nastąpi zbiegiem okoliczności tak niespodziewanych!

W kilka chwil po dobieciu statku do przystani w Pińsku, zjawiał się przodownik Kula. Chaim nie zauważył na razie nic podejrzanego i nadał swej twarzy zwykły w podobnych spotkaniach wyraz ucieszonego zaskoczenia. Ale w następnym momencie sprostregł, że Kula chwileje się na nogach. To była rzecz niezwykła: wzorowy policjant, nikt go dotychczas jeszcze nie widział pijanego. Chaim przyjrzał mu się, gdy odległość między nimi zmalała i uprzedni uśmiech skamieniał mu na twarzy... Kula wydawał się nie tylko pijany, ale nieprzy-

tomny: w kącikach ust widniała piana, oczy patrzyły sztywno jak u nieboszczyka, twarz wystawała z kołnierza munduru, nalana sinawą-czerwienią.

— Tyś Żydzie, Chrystusa ukrzyżowałeś!... — wybełkotał strasznie, zbliżając się.

Chaim do tego stopnia był zdumiony, że za całą replikę odpowiedział: — Panie Kula, co panu iz starych czasów przyszło wspominać... Co było dwa tysiące lat temu...

— Nie ma jeszcze dwóch tysięcy!

— Ujch, jaka tam różnica, para lat ostało...

— Ja tobie dam, "para lat"!

— Co jest! Panie przo... panie komisarzy! Pan taki sprawiedliwy na całe nasze województwo policjant był... i raptownie!...

Kula nagle dobył swej policyjnej szabli. Niebo od rana było zaciągnięte wysokim, białym sklepieniem, bez słońca, tym niemniej obnażona klinga błysnęła jak srebrzysty wąż. Chaim zbliadł, uskokczył w tył, ze zwinnością młodzieńca wbiegł na górę po trzech schodkach i schował się za komin statku. Kula postąpił jeszcze kilka kroków na chwiejnych nogach, usiłował wsadzić szablę do pochwy, ale nie mógł trafić, rzucił ją więc na pokład i ręką odmawiającą posłuszeństwa zaczął odpinać futerał pistoletu. — "Ajaj!" — krzyknął Chaim. Na krzyk nadbiegł Pietruk, schwycił przodownika z tyłu, obezwładnił go i przytrzymał. W następnym momencie Kula stracił zupełnie przytomność. Na szczęście wyrósł jak spod ziemi starszy posterunkowy, przywołał drugiego do pomocy, sprowadzili dorożkę konną, zabrali z pokładu porzuconą szablę, szybko i sprawnie przeprowadzili przodownika na przystań, a dorożkarz bez nakazu nastawił połatana, ceratową budę.

— Co to było? — zapytał Chaim opanowując uprzednie przeżenie. Starszy posterunkowy wzruszył ramionami i nic nie odpowiedział.

— Ot tobie i "zadni chod", — mruknął poziewając Wasilko, który wyszedł z jakimś gwintem na pokład, ażeby go podpłiować pilnikiem. — Nie zatrzymywaliby się w Bereźcach po pustem, przypłynęliby wcześniej...

— No to i co!? — zachnął się na tę głupią uwagę Chaim. Wasilko nie dokończył, przyznawszy zapewne w duchu, że nie ma co upierać się przy swoim zdaniu. Manipulował milcząc.

Kulę odwieziono do domu i położono do łóżka. Zdradzał on poważne zaburzenia pod wpływem spożycia nadmiaru alkoholu. Właśnie skutkiem regionalnego zjazdu lekarzy, żadnego z nich niepodobna było ściągnąć, gdyż opijali uroczystość w głównej restauracji. Najbliższym pod ręką okazał się tylko Girszowicz, który zbadawszy chorego, pokiwał głową ruchem znawcy:

— Klimat.

— Ależ on nigdy nie pił wódki — wtrąciła zatroskana żona przodownika. — Czasem tylko i to troszeczkę...

— To nie od wódki. Pani wie, tu jest takie muszki, takie komary, takie paskudztwo... Taka febra, malaria, pani mnie rozumie? Taka nudność...

— No, miasto nie duże, ale przecież jest kasyno, kino... Z nim tego nigdy nie bywało.

— Tu nie ob kino się rozchodzi. Taka wilgoć, taka szarość... Alkohol to tylko było podrażnienie. — Wypisał receptę i nic nie wziął za wizytę.

Nazajutrz Hana leżała chora na serce z przestraszenia, a Chaim poszedł osobiście dowiedzieć się o zdrowie przodownika Kuli. Żona nie puściła go do chorego, bo spał, ale w sionkach przeproszała w jego imieniu za wczorajsze zajście.

— Jakie zajście? Co za zajście? Ja nic nie wiem ob żadne zajście. Chwalić Boga, pani mówi, że lepiej? Nu, to i dobrze. Niech śpi.

W ten sposób cała sprawa wyglądała na załatwioną i zatuszowaną. Żadnej naturalnie wzmianki w gazecie, ani nawet w rozmowach nie było. Chaim wzruszał ramionami; Pietruk w ostatnich czasach chodził małowówny z nikim się nie zadając; Wasilko był jeszcze trzeźwy; posterunkowi na swoich miejscach w rewirze... Może kto i widział z przystani, ale z tego nic nie mogło powstać. Gdyby — nie nowy podkomisarz.

Istniała pewna kategoria rodowitych Wilnian, która przejęta tradycją, że: "Najlepszych synów Polsce dały kresy...", nie tylko odczuwała niechęć do rodaków z innych dzielnic, ale ponadto uwzięła się szczerze prześcignąć ich w państwowotwórczości. Wilnianie tej pewnej kategorii, widzieli nawiązanie do tradycji, w zaprawianiu się od młodych już lat, w akcesie do wszelkich stowarzyszeń, kółek, stronnictw, bloków i zjednoczeń, byle rządowych lub przez rząd popieranych. Bardzo też dużo mówili o miłych kresach, ale o karierze osobistej marzyli wyłącznie w — Warszawie. Spożywając następnie kołduny, lub chłodnik litewski przy Marszałkowskiej, czy Alejach, robili to z rozrzewnieniem, często też dając upust szerokiej swej naturze, bywało na swój, bywało na cudzy rachunek. Nie wszyscy naturalnie; byli tacy (z tej kategorii), którzy upustu nie dawali, a wyłącznie marzyli o karierze i ci należeli już do gatunku urzędników, o których własni krajanie, znalazłszy się w orbicie ich władzy, mawiać zwykli, opuszczając na przykład gmach starostwa: "Ależ i... żyła!" — Właśnie trochę z tej, pewnej kategorii, był nowomianowany podkomisarz. Pasjami nie znosił Poznaniaków i miał mocne postanowienie wykazania ich nieprzygodności na obcym im, kresowym terenie. Był jednym z najruchliwszych członków kilku Komitetów Budowy Pomników. Wojewodę, który z nieukrywaną podejrzliwością odnosił się do wszelkich mniejszości, a nawet do regionalizmów typu rządowego, zjednał przy okazji zapalem, z jakim wyłożył mu swój pogląd na narodowość tzw. "tutejszą", że w gruncie obce jej jest wszelkie pojęcie nacjonalizmu białoru-

skiego lub ukraińskiego, sztucznie jedynie podsycane przez agitatorów, czego właśnie nie rozumieją "różni Poznaniacy", gotowi tutejszych chłopów traktować nieomal za inną narodowość! Zdolny ten urzędnik miał pewne widoki... Ale dalsza jego kariera wykraczałaby już z ram niniejszej opowieści.

W jaki sposób dotarła doń szczegółowa relacja o zajściu na parostatku, nie wiadomo. Po zapoznaniu się jednak z nią, nie tylko wszczął natychmiast dochodzenie, lecz ujął je we własne ręce: pijany przodownik, wymachujący w biały dzień szablą, a później gubiący ją i rozbrajany przez Żydów, czy przez chłopów, jest oczywiście skandalem, którego tolerować nie miał najmniejszego zamiaru.

Chaim nie zdążył wypłynąć ponownie, gdy podkomisarz zjawił się osobiście dla przesłuchania poszkodowanego. Chaim, mimo całe doświadczenie, zupełnie nie wyznawał się w różnych aspektach i koncepcjach regionalnych, a hołdując przestarzałym pojęciom o centralizmie administracyjnym odpowiedział wyrozumiałym uśmiechem.

— Co pan nadkomisarz nazywa poszkodowany? Jaki ja w czym poszkodowany?! Daj Boże i moim wnukom żyć-handlować uw naszej Polsce... Jakiego incydentu pan mówi? To można powiedzieć inteligentny człowiek, pan Kula.

Podkomisarz się zachmurzył. — Szablę wyjmował?

— Ja nie zauważałem, proszę pana nadkomisarza.

Wyszło fatalnie. Wizyta podkomisarza spadła raptownie, zastała statek w największym nieładzie. W szafce przepisowego ambulansu stały ślędzie marynowane, które Hana w zamieszaniu porwała czemuś ze stołu, ujrzawszy wchodzącego urzędnika. Żadnych ubezpieczeń przeciwpożarowych.

— Minimaksu, proszę pana nadkomisarza u mnie bił, tylko że...

Ale podkomisarz nawet nie słuchał. Ani jednej spluwaczki. Stan kłozetów oplakany. Kabiny niewietrzone. W jednej z nich na podartej kanapce leżał brudny jasiek bez nawleczonej, na który podkomisarz spojrzał ze szczególnym obrzydzeniem i wyszedł.

Nazajutrz komisja sanitarna spisała Chaimowi protokół. Na trzeci dzień inna komisja obejrzała dokładnie statek i uznała stan jego za zagrażający bezpieczeństwu. Cios był nagły, okrutny.

Raja stała na pokładzie, jakby ją kto kołem po głowie ogłuszył. Chaim spojrzał na nią, domyślił się istotnej przyczyny jej rozpacz i nagle, po raz pierwszy wpadł w pasję.

Raja nigdy dotychczas nie poruszała z Pietrukiem tematu przyszłości. A sam Pietruk, cóż on mógł powiedzieć? Ramionami wzruszyć, ręce rozłożyć? No bo właściwie jak? Póki statek chodził, póki na wodzie...

Chaim widząc ich poprzednio coraz częściej poważnych, bez uśmiechu, obawiał się, że coś knują, układając może plan na przyszłość. Nie domyślił się, że nie uśmiechają się dlatego właśnie, że nie mają żadnego planu, że go nawet mieć nie mogą. Dopiero po katastrofie Raja powiedziała wreszcie:

— Co będzie, Pietruczek?

— Co może być — zrobił ruch głową w kierunku lądu. — Sama wiesz, wszystko równo zajadzą.

Wtedy Raja odwróciła się.

— Ech, Rajeczka, pływali my z tobą, pływali, ale nie wypłynęli. — Wyciągnął dłoń ponad szuwarami w kierunku Strumienia i palce wymazane w smarze żelaznym zrównały się z płaskim horyzontem. — Spojrzysz z wody zdaje się szeroko, a wyjdiesz na brzeg — nie ma gdzie.

— A może... — szepnęła Raja i urwała, rozcierając dłonią łzę na policzku.

— To samo. Gdzie by się nie dać, w górę, czy w dół...

W tym momencie Chaim zawołał jego i Wasilkę, aby rozplącić. W chwilę później, Pietruk zabrał swój tobołek i poszedł zostawić go na kwaterze Wasilka, bo własnej nie miał. Do Raji szepnął przechodząc: "Wraz wróćę..."

I nie wrócił. Co się stało? — Ciężko było Raji przy rampie unieruchomionego statku, który nie ma odpłynąć, wypatrywać każdej postaci na brzegu, przysłuchiwać się byle podkutytm butom na kocich łbach lichego miasteczka, aż do pierwszych zapalonych latarni i dłużej jeszcze, do pierwszych krzyków nocnych ptaków nad oczeretami. Ale co do tego, że coś się stało, to trzeba powiedzieć, że nic się nie stało. Co miało się stać? Po prostu Wasilko powiedział do Pietruka: — "Chodź, wychylim szkalik". — Pietruk zaważał się i mimowoli spojrział w pustą ulicę prowadzącą do rzeki.

— Chodź! — uderzył go tamten po ramieniu. — Co zczepił się z Żydówką! Co ona... Co, myślisz Chaim posag da? Nawet nie myślę, pluń! — i rzeczywiście splunął na chodnik.

— A nic ja nie myślę — odparł ponuro Pietruk, ale w duchu przyznał, że kiedy-jak-kiedy, ale właśnie na to co go gryzło, dobrze by zrobić jeden, albo dwa służbowe. I poszedł.

— Żeby ja twoje lata i twoje zdrowie miał... Oho! — przyrzucił jeszcze Wasilko po drodze.

Pił on, gdy już raz zaczął, co się nazywa po rosyjsku: "zapojem". Wieczór, noc i od rannej pochmiałki znowu do wieczora, dwa, trzy, cztery dni i dłużej. Zapewne z takich okresów musiała pochodzić też owa blizna od oka do końca lewego ucha. Pili najpierw stojąc przy bufecie, później przy stoliku nakrytym czystym papierem, później na tym samym papierze już splamionym na tłusto, z rozlanym alkoholem, później na drewnianym blacie, później w jakiejś większej kompanii. Później w drugiej, trzeciej knajpie. Później czas zaczął lecieć, lecieć w głowie, a nogi były ciężkie; przyplątały się jakieś dziwki. Później był wielki przyjaciel Wasilka, z którym całując się prze-

wrócili stół. Później pojechali dłaczegoś do pobliskiego Horodyszczka, nie wiadomo, na wesele czyjeś, czy chrzciny... Minęło kilka dni. Czapka nie ta, świtka cudza, żadnych pieniędzy. Wasilko przepadł gdzieś już dawno, za to przystał nowy przyjaciel, który namawiał Pietruka na jakąś nową, rzekomo dobrze płatną pracę... Pietruk nie bardzo wyrozumiał gdzie to ma być, ale zaczął już trzeźwieć. Powiedział, że "dobrze", ale na razie powłókł się z powrotem.

"Orzeł" stał opuszczony, odstawiony na bok w porcie. Nikogo na nim, to się już dostrzegało z daleka. — Acha, cóż... — Przechylił się przez barierę, zobaczył w Pinie odbicie swojej twarzy, domyślił się, że musi być brudna, pociągnął wierzchem dłoni po niegolonym podbródku. Zapytał tego i owego, co jest z Chaimem?

— Po Żydach idź, popytaj, a tak, któż to może wiedzieć.

— Prawda, że tylko po Żydach. — Ale nikt z Żydów mu nie powiedział. Każdy twierdził, że nie wie. — "Wiedzą, pomyślał z goryczą Pietruk, tylko mówić nie chcą". Jeszcze raz dłużej postął na ulicy, zamyślony i zdecydował pójść nawet do Shuckich, o których wiedział od Raji, że ich syna jej swatali.

Młodego nie było w domu. Stary Zuseł, przyjął go nieprzyjaźnie na ganku:

— Chaim? A co on tobie nie zapłacił?

— Dłaczego, owszem, zapłacił.

— Nu to czego jego pitasz?

— Tak... Potrzebny.

— Nie wiem. Ja nie adresna książka jestem — i zatrzasnęła drzwi.

— Ech ty! Parszywy Żyd, ty! — rzucił za nim Pietruk z resztek wódczanego oparu, który nosił w głowie i zawrócił. Zuseł pchnął okno i ukazał twarz wykrzywioną grymasem złości:

— Ja tobie dam! Ty!... Cham, ty! — dobiegło jeszcze z tyłu za oddalającym i ugrzęzło bez echa w niebrukowanym zaułku.

Chaim miał krewnych też i w Brześciu, więc pojechał tam z całą rodziną szukać dróg i protekcji w labiryntach urzędu wojewódzkiego. To nie były oczywiście sprawy do ukrywania, ale też nie koniecznie do rozgłaszania... Raja chciała zostać. Tym razem jednak zarówno wola ojca, jak jednolity front krewnych i znajomych, okazał się silniejszy. W tej sytuacji nie było jak zostać, a zresztą i gdzie? Musiała pojechać.

Dopiero piątego dnia włożyła swój letni żakiet, cerowany nieznacznie przy prawej, bocznej kieszeni, wdziała nowe pończochy i pantofle, w których chodziła swojego czasu po Dawidgródku i nikogo nie uprzedzając, kupiła bilet na dworcu.



Pamiętam, że wysiadłszy tego dnia z pociągu w Pińsku, z ręczną tylko walizeczką, rozejrzałem się po niebie. Było pełne lato. Widok od podjazdu zastonił mi zaraz koń dorożkarski, ale

postanowiłem przejść się piechotą. Dorożkarz, Żyd, obrośnięty rudą szczecina, jechał jakiś czas wzdłuż chodnika, dokuczliwie obniżając cenę kursu do hotelu, aż w końcu zniechęcony moim milczeniem, zaciął konia. Zauważyłem jednak, że zatrzymał się po kilku krokach przy jakiejś dziewczynie i rozmawiał z nią po żydowsku. Gdy ich mijalem, dziewczyna postawiła właśnie nogę na stopniu, leciutko przeginając pojazd. Była bardzo proporcjonalnie zbudowana, młoda i choć osobiście nie przepadam za oczami koloru słodowego piwa, twarz jej wydała mi się, pamiętam, ładna. Dorożka pojechała tym specyficznie lekceważącym truchtem, jakim się zwykło podwozić tylko znajomych przy okazji i za darmo. Straciłem ją niebawem z oczu.

Przystań wymoszczona była wyjątkowo niezgrabnie dobranymi kamieniami; na wkleśłym bruku, osiadłym w błocie, stały kałuże po wczorajszym deszczu. Było pusto o tej porze. Dalej na wodzie stały łodzie i jakieś stare, jak mi się wydało, statki. Na jednym z nich widniał względnie świeży napis: "Orzeł". Przy barierze kilku młodych chłopów patrzyło milcząc za parostatkiem ginącym w zielonkawej mgiełce oddalenia. Musiał zapewne odpłynąć już przed godziną, może więcej, ale wciąż go było widać jeszcze jak obracał ciężko kołami, puczał dym kominem; dym skręcał po niebie i rozpyływał się na tundrą Polesia. Gdy statek znikł wreszcie i dym się nawet rozwiął ostatecznie, ludzie stali dalej. Stałem i ja.

Z zapatrzenia wyrwały mnie dopiero śmiechy i krótkie słowa. Na przystani stała ta sama młoda Żydówka, którą z pociągu podwoził dorożkarz. Musiała o kogoś rozpytywać tych ludzi. Oni odwrócili się ku niej, rozwalili ramionami wzdłuż bariery i odpowiadali wyraźnie żartami:

— Widziałem! Wtopił się.

— Z miłości! Ha, ha, ha...

— Do bożnicy poszedł, żydowska wiara przyjmować!

Wszyscy śmiali się z tego dowcipu.

— Pietruk, twój, on musić nie bardzo ciebie kochał, kiedy rzucił, a?

— Nie! On poszedł buty zastawić, żeby na zapowiedzi dać! Ha, ha, ha!

Dziewczyna nagle rozplakała się. Wtedy tamci zamilkli. Nie musiało być chyba źle pomyślane z ich strony, gdyż jeden, wysoki, z daszkiem czapki zsuniętym na same brwi, mruknął:

— Ostawcie. — A gdy zobaczył, że dziewczyna zawróciła raptownie z pochyloną głową i przyciśniętą do ust chusteczką, zawołał za nią: — Raja!

Ale ona się nie odwróciła.

Jeden z chłopców powiedział półgłosem: — Pietruk, on był tu jeszcze dziś, widziałem.

— Raja!! — krzyknął głośniejszym głosem. Ale tamta tylko przyspieszyła kroku, jakby się bała narazić na dalsze drwiny.

Józef MACKIEWICZ.

Gorycze nocy

*Biorę do rąk najczulsze wagi,
by z elementów starych dat,
kreślić historię naszych lat,
pamiętnik bólu i zniewagi.*

*Patrzę na życie zagubione,
w próchnicy czasów, coś zostało,
jak nie zamknięte w ciszę ciało,
bez berta szczęścia, bez korony.*

*Czas wszystko chłonie i czas rodzi:
pełnię owocu, piękno słowa,
i muszlę dnia i kroplę rosy,
dźwięk i urodę naszych godzin.*

*Ziemia jest tylko klęską — człowiek
rozmnaża jej dziedziczne bóle,
pod znakiem śmierci spi nieczuła
tę — i goryczą śpiewa słowik,*

*o wielkich bólach. My je znamy,
wojny nas rodzą, wojny biorą,
nie ma już dla nas cichej pory,
jest wiersz o burzy — mój testament.*

1.

*Tam gdzie ziemia nieporadnie mieszka,
ozdobna w słońca, gdzie się promień chowa,
leży, w półmroku jeszcze, lecz różowa,
przestrzeń utkana cała na półmierzchach.
W kolorach świtów wąta niby ważka
zrodzona z larwy, ale siła prądów,
nadejdzie wkrótce od wielkiego lądu,
i bryłę ziemi wyniesie na blaskach.*

*Purpurę wdzieję, snem nocy objęte
kopuły lasów, szczyty gór pod śniegiem,
rzeki zdyszane, zmęczone od biegu,
i nawet człowiek z sercem niepojętym.*

A pod purpurą ogniem nasyciony,
spżowy granat spi nocy soczystej,
z niego się rodzą w barwach oleistych,
wzorzyste tęcze, po deszczu budzone.

A święci, którzy spią na listkach róży,
pod kroplą rosy, w oceanie kwiatów,
mocą kolorów i bielą bogaci,
skrzydła jak ptaki do lotu wydłużą.
Mając na rżęcach jeszcze miękką senność,
na skrzydłach roś, w ramionach marzenie,
zejdą, by budzić uspiętych na ziemi,
i w jasne zorze zmieniać nocy ciemność.

2.

Po wielkich krajach rzeki płyną,
niebo nad rzeką w tęczach słońca,
ziemia w zieleni drży gorącej,
i drzewa biją w zenit siny.
Rolnik stworzył jędrne skiby,
pola i wody dyszą niebem.
Skowronek modli się o chleb
i śpiewa. W rzece promień ryby,
jak promień kwiatu. W gwarze wody,
wstaje poczęte nieme życie.
Narcyz w odbiciu wzrok swój syci,
pełny młodości i urody.

Poeci mają zręczność dziwną,
jak czarny kuglarz cuda czynią,
ulepią w palcach z grudki gliny
ziemię. Na ziemi fałdą sztywną
ustawią góry, z których rzeki,
rzucą na oślep swoje prądy,
by zieleń mogła zdobić lądy,
darzące lud miodem i mlekiem.

Poeci mają dziwną siłę,
to oni stroją ziemię w barwy.
Jak mistrz z namysłem kładą farby,
po to by nowym życiem bity.
Z wody, z popiołu, z pól jałowych,
wyniosą zapach, kształt i kolor,
aż siłą wiary ich i woli,
budzą się życia formy nowe.

Lecz w tej harmonii nowych wzruszeń,
kryje się mędrca szkło i oko,
krajobraz, w którym dłoń proroka,
zaczyna nowy wiek katuszy.
Rygory granic, paktów, gestów,

wielojęzyczna, nowa wieża,
to jakież oko nie wymierzy
strzały śmiertelnej — znaku protestu,
która oślepi jądra żrenic,
poszarpie serca, zmiadzi ciało.
Aż zleci z nieba anioł biały,
i skruszy w palcach ziarno ziemi.

3.

Ten dzień w promieniach zanurzony,
jak pasterz w trawie. Krople rosy,
to światy, które sercem czuję,
leżą na liściach grubą tęgą.
W snach naszych wszystko się dopełnia,
co życie daje w szorstkich kształtach,
a czego oczom brak dośpiecia,
czuła jak muza wyobraźnia.
Każy nasz krok, to krok podwójny,
skok wymierzony na zegarach,
średnicą blasku i promieniem.
Po cichych tarczach naszych dróg,
czas biegnie niby dwa jelenie,
dwa wiosta, których ruch gromadzi
wszystkie wymiary.

Pełnią jest lato i owoc z ziarnem życia,
a bólu nic już nie określi,
biorąc do rąk najczulsze wagi,
bo co jest we mnie żyje tak,
jak owoc, który wydał kwiat.

Tak elementy się gromadzą,
pod pleśnią dat kalendarzowych,
aby, gdy minie tysiąc lat,
powstać z próchnicy struga trawy,
wchłonąć w prymityw dziwnych płuc,
fale powietrza skroplonego,
dla ustawionych w sercu lamp,
żarzących się podwójnym cieniem.
Lecz co jest wewnątrz ciepłych strun,
czym rządzą się lub kto je rodzi,
nie wiemy. Tak dżdżownicy ruchem,
czas pełźnie w sobie cyfrą godzin.

O, ten czas, nie jest już czasem naszych pieśni,
gdzie zawieszony w polnym źródle,
księżyc przyjmował hołd poety.
Dziś pomieszanie wszystkich ras
jest świętem, które dzikie tłumy
czczą w ostrzu noża. Świeża krew,
jest miłsza niż łacińskie summy.

Wspominam kilka krótkich lat,
może antycznych, trudno orzec,
gdy mędrzec z uczniem ziemię orał,
i słowa zdobył jak leśnicze.
Potem poeta pisał ody,
proste i czułe jak zwierciadła,
gdzie władał tad majestatycznie,
wyzuty z trwogi ciężkich spraw.

Na chwałę tym co piją mleko,
i w skóry ubierają ciało,
zstąp do nas, dziś, o strofo strof,
z czasów zamkniętych w klamry wieków.
Gdy słońce sierpem bólu ścięte,
na ciemnych wodach snopem spocznie,
biorąc wraz z sobą jasność grzeszną,
i nas i naszą ostateczność.

4.

Klarowne ptaki z nieba spływają na potok,
w potoku woda stoi cichą, senną stopą.
Słońce pełne radości oddziela od ziemi,
nieb niepotrzebnych formy. Sarny i jelenie
dotykają wargami wzbronionych owoców,
które Ewa rozwiesza. Wąż pod liściem nocą,
knuje grzeszne zamiary. Leci ponad głową
spóźniony chór gołębi z gałązką bobkową.

Dzień ma oczy przymknięte od idących zmierzchów,
zatrzymał się by spocząć. Wśród radosnych wzruszeń,
na fali pulsuje w słońcu złotej ryby kluczyk.
Mgły świeżą rosę piją. Pełne nocnych marzeń,
wargami małych kropel fale cicho gwarzą.

5.

Krajobraz mej rozpaczyny niechaj was nie ziębi,
poeci jasnych myśli. Wam w locie gołębim
blask pióra musnął oczy i wargi. Tak zawsze
proch brudem ścieli scenę po wielkim teatrze.
Lecz spektaklu, co wzruszeń dał tyle i widzeń,
ja, oprócz pustki ciężkiej, na twarzach nie widzę.

Pozostał tylko obraz wielkości bursztynna,
byście mogli w nim świecić, gdy ciemność napłynie,
groźna w sobie, jak chwila upiornego smutku.
Dzień przeleciał jak promień, świecił bardzo krótko,
miał oczy wielu jagniąt, lecz dla mnie pozostał,
czym był zanim tu przyszedł: chwilą wielkopostną.

I poeci odeszli. Ich obraz jest świeży:
mieli złote korony i tarcze rycerzy.
Wielu z tych co przybiegli, by witać ich pochód,
kłękało bałwochwalczo. Na przydrożnym prochu
zostały ślady kolan, a na wiatru strunie
leży odbite echo głosów, które tłumy
wznosiły. W ciszy dzwoni motyl jasnym liściem,
jakby przeczuł, że pochód wróży nocy przyjście.

Ta noc będzie cierpieniem dla tych, którzy wierzą,
dla nas prawdą spełnioną. Już w przeszłości leżą
rzeki pełne ryb jasnych, zieleni pełna soków,
promień, który przebija tkaniny obłoków...
Tak dla nas ostatecznie dzień patrzenia zamilkł,
w nocy tej, tak jak ślepi, czujemy się sami.

Góry, olbrzymie góry śmierci, góry piany,
wyłoczyły swe maszty z głębin oceanów,
sine, gryzące sole, wodory krwiożercze.
wyssały już z powietrza czystych tlenów serca.
Na miasta zatopione spada cisza godzin,
i krzyk rozpaczyny ludzkiej żywioły łagodzą.

6

Kiedy w powietrza czystą falę,
uderza nagle głośny alarm,
że życia wątku nie narodu
rwie się — że w Kraju ciężar mordów
jest ponad miarę wszystkich czasów,
to nie wystarcza hałas prasy,
ni wolne radio w U.S.A.
Trzeba uderzyć w jądro zła.

Jest wiele przewencyjnych metod
walki, na przykład nasze veto,
którego kształt z wiekiem się zmienia,
na wolność słowa i sumienia,
Już nawet Anglik nie zaprzecza,
że ciemne wieki Średniowiecza,
w stosunku do moskiewskich czystek,
były wolnością promienistą.
Że wyganiano, to się zdarza,
Owidiusz, mówią kronikarze,
uciekał z granic swojej Romy,
i aż na Tomi szukał domu.

Na stosach też palono ludzi,
wierząc, że wiara płomień studzi,
i niewinności da dowody,
lecz żeby niszczyć aż narody,
odbierać ludziom myśl i serca,

na to nie zdobył się morderca
żaden .. jak stary jest ten świat.
Dopiero hitlerowski ład,
wydobył wszystkie na jaw zbrodnie,
przejęte dziś przez kraje wschodnie.
Bo za Kurtyną się zaczyna,
piekieł nieznanych głębia sina.
Tam by to Dante świetnym wierszem,
umieścił piekło nowoczesne,
gdyby zrozumieć umiał stan ten.
Lecz w ludzkim mózgu czułych anten,
choć wyobraźnia jest jak ekran,
nic nie odtworzy tego piekła.

Dla nas historia była prosta,
najpierw nas knutem car wychłostał,
na sto lat biorąc kraj i naród.
Dziś Polska służy nowym carom.
Nową teorię Kraj dziś stwarza,
i nowym bogom na ołtarzach,
zapala świeczki słów i hasel.
Tak na sowiecki wzięci pasek,
głoszą, że ludu nowy ład
zwali Bastylii stary świat.

Kto w Kraju rzeczywistość tworzy?
Robotnik dłonią, chirurg nożem,
polityk słowem, pisarz piórem,
architekt swą architekturą.
Malarze, dziennikarze, dzieci,
murarze, szewcy i poeci.
Tak każdy paląc swą pochodnię,
popętnia podświadomie zbrodnię.
Nie można więc, jak stabi sercem,
mówić, że w Moskwie są mordercy.

Gałczyński, Breza, Białostocki,
Tuwim, Stonimski, Kott, Ochocki,
Jastrun, Broniewski, Lec, Zagórski,
Lempicki, Fiszer, Peiper, Górski,
Knothe, Nałkowska, Otwinowski,
Kozniowski, Breza, Stec, Flukowski,
Zieliński, Braun, Iwaszkiewicz,
Rudnicki, Brandys, Tałarkiewicz...
Tak byśmy mogli prawem serii,
pomnażać skład tej menażerii,
która, gdy szczęście jej dopisze,
odwróci jeszcze głosów kłiszę,
by po raz trzeci zmienić kolor.

Słowo, jak płomień winno świecić,
i za poetą gwiazdą lecieć,
przydając jego sercu dumy,
zasadom prawdy i rozumu.
Są pod sztandarem Mickiewicza,
którzy wygnaniem dziś się szczycą,
mimo, że matka, brat lub dzieci...
Są po tej stronie dziś poeci,
których kuszono. — Pisarza słowo,
to nasza дума narodowa.

Pozostał, mimo że nie musiał,
Grubiński, choć Borejsza kusił,
Wierzyński, Czapski, Naglerowa,
Baliński, Danilewiczowa.
«Kultura», zespół «Wiadomości»
dziś po tej stronie są wolności.

7

Gdy słowik mówi do słowika,
i dwa księżycy w oknie stoją,
drzewa u ciepłych wodopojów
milczą — i ziemia wolno znika.
Do wody przyłgnął żabi chór
i modli się, wrzaskliwy chorał,
psalmem rozpaczy w niebo woła.
Zmierzch ma kolory ciemnych gór.
Na niebie gwiazda się wylania,
spadając złotą strugą żłobi.
Spokój wieczoru nas pochłania...

Czymże jest wtedy Polska w tobie?

Pamiętasz, dzieckiem będąc w szkole,
uczono ciebie dziejów naszych.
Niemców do dziś historia straszy,
hołdem prusaków i Psim Polem.
Tak w nas rycerskość żyje pieśnią
Bogurodzicy, głosem Skargi,
Trenem cisnącym się na wargi,
którym rozpaczal tak boleśnie
Jan Kochanowski w swej żałobie.
Od niego pięknem słów ojczyńskich,
bije poezji strumień czysty...

Czymże jest wtedy Polska w tobie?

Od wieków, które mrokiem straszą,
pisane klinem, rylcem, piórem,
historia idzie ku dniom naszym,
przywdziana słowem jak purpurą.

*W niej mieszkał herbarz naszej sity,
nasze zwycięstwa, wieki stawy
Legiony za jej treść się biły,
i umarł w gruzach tron Warszawy.*

*Powstańcze jeszcze szlaki straszą,
Pomordowanych w jednym grobie,
grzebały przecież ręce wasze...*

Czymże jest wtedy Polska w tobie?

*Z katyńskich rowów jak z otchłani,
bólem otwarty się żrenice,
a kiedy przyjdą powołani,
będą na wagę złota liczyć:
ręce urwane, strzępy krzyków,
hiobową prawdę tego lasu,
który morderstwem świat zastraszył.
A co zostało po słowiku?
Wygнанe dzieci, śmierć żołnierzy,
ból, który serca ciszą żłobi.
Wyznaj mi tylko, a uwierzę...*

Czymże jest wtedy Polska w tobie?

8

*Tak się wyłoni dla nas świat koszmarny,
poza przyrodą i poza barw feerii.
Ludzie się zbudzą nagłą menażerią,
żółci czerwonych pożrą, biali czarnych,
zwierzęta krzykną, głodne spadną ptaki,
wiatr zburzy wody, ziemia krwią wytryśnie,
w powietrzu słońce zaćmione zawiśnie.
I taką prawdę uniosą Zodiaki
o naszych czasach. Ciemność nas otacza,
stolice światel zdmuchną wargi wojen,
u bramy świtu anioł śmierci stoi
i Chrystus raną bezustannie broczy.*

*Gorycze nocy zamkną smutne serca,
cenne jak perła, jak ampułki wina,
lecz się nie będę modlił za Kainów...
Modlitwą będzie ten wiersz o mordercach.*

*Na wagę złoży anioł przerażony
symbole świtu: chudą kroplę rosy,
owoc jałowy, puste wnętrza kłosa
i cichą skargę — po co dzień budzono?*

Wacław IWANIUK.

Stephane Aubac

"Z niego jesteśmy". Tym uroczystym frazesem, tak bardzo polskim w swej pustce, zwykliśmy odawać hołd pośmiertny na przenukanych akademiach przeróżnym Wielkim Polakom. Mimo tej fanfaronady, wiem niestety na pewno, że nic nie jestem z Mickiewicza, Piłsudskiego, Księcia Józefa, Norwida i Chrobrego. Ale gdy myślę o niedawno zmarłym w Paryżu Aubacu, nie bez goryczy zdaję sobie sprawę, że "z niego jesteśmy" — my, prawie całe współczesne pokolenie polskich dziennikarzy: zetatyżowani pisarze, raz po raz wypisujący takie czy inne "kawałki" z polecenia tego czy innego biura czy dygnitarza; piszący biurokraci, raz po raz zza jakiegoś urzędniczego biurka zalewający publikę i redakcje taką czy inną bibułą. Aubac, ten skromny, mały, o nikczemnym wyglądzie Aubac był naszym prekursorem, on torował nam drogę, on był "pierwszą kadrową" tej armii, która rozrosła się w legiony. Bo nie byli nimi ani Niemcewicz, ani Mochński, ani Lelewel, ani Mierosławski. To byli ludzie, co z pasji, z przekonania próbowali swym żarem poruszyć ospałych złomków, obojętnych cudzoziemców. Aubac — jak my — to był wyrobnik, zawodowiec, najmita, co produkował artykuły, memoriały, depeche, kontakty i argumenty na zamówienie, pisał "zgodnie z instrukcjami", mówił co mu kazano, sprzedawał swe pióro jak inni handlują kielbasą — tylko że z mniejszym zyskiem — i skończył w uprzedzi, do końca pisząc dla sekcji polskiej radia francuskiego, w nędzy i bez dobrego słowa od nikogo, natychmiast zapomniany przez tych co go 30 lat czytali, i przez tych wśród których przez lat 30 pracował, obracał się, przebywał. Znany jest stary dowcip: kawaler żyje jak król, umiera jak pies; żonaty żyje jak pies, umiera jak król. Dziennikarz żyje jak pies, kona jak pies. Jedynie epitafium — to kilkudniowa gadka, że dla kogoś zrobiło się miejsce.

Połowa historii Aubaca — to jego prezencja. Trzeba by było mieć pióro Balzaca, tak nielitościwe dla brzydkich, wydziedziczonych, ubogich i słabych, by go opisać. Z ludzi, których znałem, było to najbliższe wcielenie karykatury. Na malutkich, pokręconych, kablakowatych "O - beinach" toczył się tulów zbyt wielki i brzuszeczek zbyt okrągłutki na tak mizerną postać, a na tym cielsku, prawie bez szyi, osadzona była znowuż małańka

główka, całkowicie, ale to zupełnie łysa bez jednego włosa od brwi do karku. Twarz tego karzełka była prawie całkowicie zasłonięta parą olbrzymich podwójnych okularów: bezkrawędzi, wyżółkła jak pergamin, pomarszczona i komiczna wyrażała albo strach i zaniepokojenie, albo w sprośnym uśmiechu ujawniała ogromną kolekcję sztucznych zębów. W innej epoce Aubac byłby pewno blazmem nadwornym — i był zresztą nim trochę zawsze: ludzie śmieli się z jego kawałów, żartowali z jego wyglądu, a czasem było im jego żal — bo to było jakby uosobienie biednego Żydka, właśnie nie tego złego i demonicznego, jakiego rysują antysemita, ale pocziwego, dobrego w gruncie rzeczy, niesłusznie skrzywdzonego przez naturę i ludzi. W ubiegłym roku, gdy kolegowiałem z nim po raz ostatni w radio paryskim, postać jego przybrała wyraz tragiczny: skulony i skurczony w biednym paletku, niespokojny zawsze czy i tej ostatniej kromki chleba mu nie zabrają, zapomniany i osamotniony w tym Paryżu gdzie dawniej znał „wszystkich”, wyglądał już nie na „Żydka”, ale na jednego z tych tragicznych potomków Izraela, których z tak nieporównaną wnikliwością potrafił odmalować jeden tylko genialny Rembrandt. Nawet w wesołości, w trefnieniu tajemnicze atawizmy, ponury sekret rasy wywołały jakiś marny, nędzny odbłask straszliwych Proroków, uczyniły go synem najbardziej zastanawiającego Narodu Wybranego „qui est mort d'avoir donné un Dieu au monde”.

Nieraz Roger Raczyński, późniejszy ambasador R. P. w Bukareszcie, opowiadał mi o początkach „kariery” Aubaca w 1918. Było to zaraz po „wybuchu” Polski (jak się mówiło w Galicji) i młody wówczas Roger był sekretarzem ówczesnego wiceministra Spraw Zagranicznych Tytusa Filipowicza. Siedzieli sobie wówczas razem w jednym pokoiku na Miodowej; komunikacji przez zrewoltowane Niemcy z Zachodem nie było, radio było w powijkach; po wypędzeniu hr. Kesslera z Polski nie było żadnych zagranicznych przedstawicieli w Warszawie, w praktyce zupełnie odciętej od świata. Wiceminister i jego sekretarz spędzali dnie na pogaduszkach, nic nie przerywało monotonii listopadowych mrocznych dni. Aż kiedyś woźny przynosi bilet wizytowy: Stéphane Aubac, correspondant des journaux français. — „Panie, zawołał do Raczyńskiego Filipowicz, zaczyna się wreszcie nasza działalność dyplomatyczna, pierwszy kontakt ze zwycięską Ententą, z Aliantami, z Francją, Pan sam rozumie, niech Pan leci witać tę jaskółkę Zachodu”. I Roger Raczyński ciągnął dalej: „Wciągnąłem co prędzej przygotowany na krzesiuku żakiet, nerwowo obtarłem pyłek na klapie i zleciałem co ducha do hall'u. Tutaj nie widząc nikogo, spytałem się woźnych: 'A gdzie jest Pan Aubac?' — 'A tu właśnie siedzi pod ścianą!' — Trochę zdetonowany tak niepokojnym wyglądem, podeszedłem jednak z najczulszym uśmiechem, i najpiękniejszą francuszczyzną powitałem go jako syna tej Francji „que toute la Pologne aime tant”. Na to Aubac mi

odpowiedział: 'A czy możemy mówić po polsku?' — Po francusku nauczył się dopiero później!”

Takie to były skromne początki kariery Auerbacha-Aubaca. Wysłano go jednak wkrótce do Paryża, jako pierwszego attaché prasowego nie tylko tamtejszego poselstwa (później Ambasady), ale w ogóle w całej naszej służbie zagranicznej. Tysiące urzędników wojennego Stratonu, nie mówiąc o niezliczonych biurach prasowych Rubensa, II Korpusu, placówek itd. — to spadkobiercy, następcy, uczniowie i naśladowcy Aubaca.

Jak zawsze, o działalności Aubaca w Paryżu dyskutowano bez końca, głównie go krytykując, jak gdyby leżało w mocy jednego propagandyisty wpływać na nastroje i prasę całego kraju. Aubac sam lubiał przechwalać się swymi sukcesami. Jego szlagierem był następujący wyczyn:

W 1925 r. Liga Obrony Praw Człowieka rozpoczęła wielką kampanię przeciwko rzekomym prześladowaniom Żydów w Polsce na łamach swego organu, dziennika „l'Oeuvre”. Jak zwykle w takich wypadkach, ambasada cała wpadła w stan groźnej hysterii, i Chłapowski, ówczesny ambasador, szalał. Próbowano wszelkich sposobów — w końcu, rada w radę, wysłano do redakcji „l'Oeuvre” Aubaca.

„Wręczyłem woźnemu mój bilet: „Stéphane Aubac, attaché de Presse de l'Ambassade de Pologne”, prosząc o widzenie się z naczelnym redaktorem. Po chwili woźny wrócił, mówiąc, że redaktor jest zajęty, że będzie mógł mnie przyjąć dopiero za trzy miesiące. Taki cham! Ale zapamiętałem sobie drzwi do których wchodził, i gdy woźny się gdzieś zakreślił, wszedłem tam bez pukania. Redaktor, żywy jak wszyscy Francuzi, widząc nagle nieznanego w swym pokoju, zerwał się wrzeszcząc: „qui êtes-vous?” Na to odpowiedziałem poważnie: „Un juif polonais”. Tak go to ubawiło — ponieważ właśnie ciągle o polskich Żydach pisał — że roześmiał się, poprosił mnie bym usiadł, i dwie godziny ze mną rozmawiał!”

To był podobno największy triumf Aubaca.

Wkrótce potem spotkała go klęska. Gdy Al. Skrzyński został premierem, Aubac zatelegrafował do „Kuriera Warszawskiego”, którego był korespondentem (taka dwoistość funkcji urzędowych i prywatnych była typowa dla naszych stosunków i tłumaczyła się — zresztą jak i dzisiaj — ubóstwem prasy i szczupłością uposażeń rządowych), że nowy gabinet został przez opinię francuską przyjęty życzliwie, z wyjątkiem osoby premiera i ministra Spraw Zagranicznych.

Skrzyński wkrótce potem przyjechał do Paryża, i bardzo rozindyczony zawezwał od razu do siebie Aubaca.

„Czy pan zwiariował, krzyczał, czyż pan nie jest moim urzędnikiem?”

„Jestem naprzód obywatelem, a potem dopiero urzędnikiem” — odparł Aubac.

Śmiano się okrutnie z tej odpowiedzi, która mnie natomiast bardzo się podobała. Cały incydent jakoś załagodzony — były

to szczęśliwe czasy "anarchii", czyli nie było jeszcze biurokracyjnego samowładztwa. Aubaca wylano dopiero później za knowania z Sikorskim, w okresie Brześcia. Aubac pozostał w Paryżu już tylko jako korespondent "Kurieru Warszawskiego", i naturalnie, jak wszyscy co żyją tylko z prasy, a nie z posady i synekury, bardzo biedował.

Ten akces Aubaca do Sikorskiego zawsze mnie dziwił. Aubac nie miał głębszych przekonań i namietności politycznych. Był cyganem, bałagunem i bałaganiarzem, trochę cynikiem. Nie było specjalnego powodu dlaczego miałby być z Beckiem w gorszych stosunkach niż Wrzós czy Smogorzewski. W zawodzie dziennikarskim z natury rzeczy trzeba łączyć głętki kark strusia czy łabędzia z grubością skóry hipopotama. Dziennikarz nie może sobie często pozwalać na pozowanie na "człowieka ideowego": ta poza oznacza dla niego normalnie śmierć głodową.

Trzy czynniki, nawet cztery czynniki rzuciły Aubaca w stronę Morżowskiej opozycji. Po pierwsze, marne posadki dziennikarzy są wśród tej złe płatnej braci tak łakomym kąskiem, że attaché prasowy ma zawsze tyluż wrogów, a nawet więcej, niż sami ambasadorzy. Wiecznie ktoś podsuwa mu nogę, a o to łatwo, bo gdzież jest propagandysta, któremu nie można by wytknąć tysięcy klęsk, zaniedbań, potknięć? Becka otaczało tylu sztreberów i podskakiewiczów, że Aubac się nie potrafił obronić przed ich koncentrycznym atakiem. Kariery prasowe są zawsze krótkotrwałe.

Aubac był ponadto na pewno frankofilem. Ton ciągłych pretensji i szpilek pod adresem Francji nie mógł mu dogadzać. Przynosi mu to zresztą zaszczyt, tak jak nie przyniósł go Chłapowskiemu fakt, że się z tymi niesmacznymi uklęciami godził.

Po trzecie, Sikorski, pozyskał sobie Aubaca uprzejmością. Byłem kilkakrotnie w tym życiu "z jednej i z drugiej strony okienka" — i zdaje sobie dobrze sprawę, jak wielcy i możni dnia skłonni są traktować dziennikarzy i własnych agentów prasowych. Nigdy nie zapomnę jak spotkałem Ignacego Rosnera, na parę tygodni przed jego śmiercią, w poczekalni ówczesnego dyrektora politycznego MSZ i ten bolesny uśmiech na twarzy już umierającego człowieka, a znakomitego, starego publicysty, któremu kazał wyczekiwać godzinę na "audjencję" młody i nadęty urzędniczyna. Widziałem później podobnych przykładów setki, nawet już w tzw. "miniaturach", gdzie widma upajały się fikcyjnymi dostojenstwami. Uprzejmością, serdecznością, życzliwym koleżeńskim stosunkiem można sobie nieraz dziennikarzy zjednać znacznie bardziej niż pieniędzmi i subwencjami. Tę naukę, dotąd zapoznaną, polecam uwadze kandydatów na przyszłych naszych "wodzów", którym już — po wszystkich stronach barykady — na kredyt czy na pamiątkę woda sodowa uderza do głowy.

A wreszcie wśród dziennikarzy deformacja zawodowa wytwarza obok cynizmu potrzebę wiary. Ludzie, którzy stale każą czytelnikowi wierzyć, że ten rząd jest doskonały, ta polityka

idealna, ta granica niezmienna, ten dogmat (świecki) niewzruszony, odczuwają wreszcie głęboką potrzebę odczuwania samej tej wiary, wmówienia w siebie, że istnieje jakiś mąż opatrnościowy, wybrany, niezawodny. Cynik staje się nagle człowiekiem wierzącym. I co więcej szczerze. Nie wszystkich stać na autokrytycyzm Radka, który, jak opowiada Miedziński, sądził po śmierci Lenina, że uratować rewolucję potrafi tylko współpraca Stalina z Trockim, lecz dodawał ze śmiechem "po zesłaniu mnie przez Stalina w latach 1925-27 na Syberię doszedłem do wniosku, że Stalin sam da radę". Aubac wierzył od początku, że Sikorski sam wystarczy.

Zważywszy, że autentycznych Sikorszczyków była zaledwie garsteczka, którą na palcach można było zliczyć, Aubac został skromnie wynagrodzony za swą wierność i dochrapał się zaledwie radcostwa w poselstwie naszym w Ottawie. Tytuł ministra nigdy nie opromienił jego nazwiska. Może go to zabolalo, bo później Sikorskiego niechętnie wspominał. Bez urazy, bez żalu — ale jak gdyby o nim zapomniał.

Pod koniec życia wierzył już tylko w Amerykę. Do radia paryskiego przynosił co niedziela długą kobyłę — tygodniowy przegląd wydarzeń, który odczytywano jako elaborat "redaktora Bernarda Chauchat" (bo jego własny głos był jak najbardziej anty-radiofoniczny). Gdy miałem dyżur do moich obowiązków należało przeczytanie tej 15-minutowej pogadanki przed puszczaniem jej na mikrofon. Nieraz mówiłem: "Panie Stefanie — pan znowuż powiada, że to już koniec wojny koreańskiej, że Sowiety już w portki robią ze strachu, że lada moment Moskwa przestanie istnieć? Czy pan nie przesadza. Czy nie ponosi pana optymizm?" Aubac tylko kiwał przecząco głową, litując się nad moją głupotą. Wierzył. Wierzył we wszechpotęgę Ameryki, że na jedno jej słowo wszelki opór się skruszy, że na przyszły tydzień będzie już wieczny pokój, i braterstwo, i powszechne bogactwo, i może jemu nawet nie będzie tak bardzo, bardzo ciężko.

Był to porządny człowiek. Ani głupszy, ani mądrzejszy od innych; en dernière analise wszyscy dziennikarze i publicyści i propagandyści tak zbliżają się do przeciętnej, tak niewielkie są w ich kalibrze różnice! Wszyscy się mniej więcej równie dobrze w sytuacji orientują, a sekret przyszłości jest przed wszystkimi zamknięty. Aubac odszedł ubogi, zapomniany, niezauważony. Za życia mówiono o nim bez przerwy, po śmierci nie pamięta go i nie będzie pamiętał nikt. Niech tę parę słów będą jedynym kwiatem rzuconym na jego grób przez młodsze kolegi, który dzieli jego smutny los za życia i podzieli jego mogiłę zapomnienia po śmierci.

W. A. ZBYSZEWSKI.

Archiwum polityczne

Ernest Bevin a wolność Polski

Ernest Bevin był ministrem spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii przez bez mała sześć lat. Kierował polityką brytyjską w okresie kapitalnego znaczenia dla sprawy polskiej; pierwsza, zwłaszcza połowa jego urzędowania, tj. lata 1945 - 1947, przypada na czasy gdy mocarstwa zachodnie miały jeszcze niemałe możliwości oddziaływania na losy narodu polskiego. Warto więc spróbować zanalizować jaki był stosunek Bevina do zagadnień polskich, jakiej podlegał ewolucji i jakie miał dla Polski następstwa.

Z góry trzeba się oczywiście zastrzec, że ocena czynnika osobistego w polityce jakiegoś kraju — wpływu charakteru, myślenia i uczuć jednostki na ukształtowanie się tej polityki — jest w demokracji rzeczą niełatwą. Należy wystrzegać się zarówno przeceniania tego wpływu, jak i jego lekceważenia; pamiętać, że o zasadniczej linii politycznej każdego państwa decydują czynniki obiektywne, niezależne od poglądów męża stanu czy partii rządzącej, ale że jednocześnie w tych ramach jest dość miejsca na wyciśnięcie przez kierownika polityki osobistego piętna na jej obliczu.

W wypadku Bevina czynnik osobisty grał rolę niemałą. W przeciwieństwie do swego poprzednika Bevin miał głos decydujący w kształtowaniu polityki zagranicznej W. Brytanii: Eden wykonywał tylko decyzje Churchill'a, natomiast w rządzie Labour Party Attlee niczego Bevinowi nie narzucał, przeciwnie, żywiąc dlań wielki kult, pozostawiał mu pełną swobodę. Czyniąc z tej swobody szeroki użytek Bevin często kierował się w swych decyzjach własnymi uczuciami, nie dbając o opinie doradców fachowych. Jak w pewnym momencie powiedział w parlamencie Churchill, polityka Bevina "chwiała się, a nawet niekiedy była dominowana przez jego osobiste sympatie i antypatie, wzmacniana przez dumę i narzucana uporem". Toteż, choć być może, czymś innym kierownictwem polityka

brytyjska nie byłaby odmienna, można mówić o "polityce Bevina".

Zapewne w przyszłości ukazywać się będą książki historyków o polityce Bevina, podobnie jak grube tomy poświęcono polityce Palmerstona, Castlereagh'a czy Grey'a. Ale stanie się to dlatego, że okres rządów Bevina był długi i przypadł na czasy przełomowe; wcale nie będzie to jednak znaczyło, że był on mężem stanu wielkiej klasy. Werdykt historii głosić będzie raczej, że należał do szczególnie miernych ministrów spraw zagranicznych.

Sprawiedliwość nakazuje oczywiście od razu przytoczyć okoliczności łagodzące: przejął politykę brytyjską w momencie wyjątkowo trudnym; prestiż i pozycja Wielkiej Brytanii w 1945 stały u zenitu na skutek roli jej w wojnie, ale nie pozostawały w żadnej proporcji do jej zasobów i sił; na pozór jedno z mocarstw wielkiej trójki, w rzeczywistości była W. Brytania już mocarstwem drugiego rzędu, któremu wkrótce groziło bankructwo, jeśli by mu nie przysłała z pomocą Ameryka. Nie miał więc Bevin w swym ręku środków dla prowadzenia polityki zagranicznej w wielkim stylu.

Jednocześnie musiał się liczyć z opinią publiczną, zdezoriontowaną przez lata propagandy prosowieckiej, uprawianej przez rząd w czasie wojny, wierzącą w możliwość współpracy z Rosją, łaknącą pokoju za wszelką niemal cenę, nalegającą na demobilizację, która wytrącała z rąk ministra spraw zagranicznych najważniejszy atut. W tej sytuacji nikt na miejscu Bevina nie zdziałałby wiele.

Niemniej przeto, nawet uwzględniając te okoliczności łagodzące, trudno będzie przyszłym historykom rozgrzeszyć Bevina. Jego polityce brak jest jasnej linii przewodniej, nie podobna odkryć w niej jakiejś mocno zarysowanej koncepcji. Choć w swych mowach często zapewniał, że pobierając decyzje zastanawia się jakie będą ich następstwa po upływie kilku dziesiątków lat, odnosiło się wrażenie że działał z dnia na dzień, ulegając nastrojom chwili. Nie kształtował wydarzeń, lecz im ulegał.

W gruncie rzeczy nie może się pochwalić ani jednym poważnym sukcesem, żadne pozytywne wydarzenie nie wiąże się z jego nazwiskiem. Największe osiągnięcie międzynarodowe rządu Labour Party — sposób rozwiązywania problemu niepodległości Indyj — nie jest jego zasługą, lecz premiera Attlee. Z okazji jego ustąpienia podkreślano jako największą jego zasługę i osiągnięcie, że szybko podchwytyjąc idee zawarte w przemówieniu Marshalla w Harvard doprowadził do zrealizowania planu Marshalla, mimo że początkowo amerykański Sekretarz Stanu wcale o tym nie myślał. Ale ostatecznie jasne jest, że gdyby Ameryka pomoc nie chciała, to by żadnego pla-

nu Marshalla nie było. A pomysł Bevina ściągnięcia Mołotowa do Paryża na narady w tej sprawie o mało nie storpedował całej inicjatywy.

Bevin nie przysporzył Wielkiej Brytanii przyjaciół w świecie. Nie wykorzystał jedynej w swym rodzaju szansy objęcia przywództwa w Europie zachodniej; przeciwnie, swoją polityką wyspiarskiego odosobnienia zraził narody zachodnio-europejskie dążące do zjednoczenia, doprowadzając do tego, że pojawiły się tendencje zorganizowania Europy bez Anglii. Stosunki anglo-francuskie były za jego czasów dość ozięble, stosunki z Włochami wręcz złe. Na jego polityce wobec Hiszpanii zaciążyły katastrofalnie socjalistyczne uprzedzenia.

Aczkolwiek jego przeciwnicy z lewego skrzydła Labour Party zarzucali mu zbytnią uległość wobec Stanów Zjednoczonych, nie można Bevina uważać za entuzjastę naściślejszej współpracy anglo-amerykańskiej, takiego jakim jest np. Churchill. Niejednokrotnie wystawił współpracę obu krajów na ciężką próbę — czy to wysuwając niewczesne pomysły podziału złota amerykańskiego, czy swoją polityką palestyńską, czy krytyką amerykańskiej polityki gospodarczej, czy wreszcie polityką kokietowania czerwonych Chin.

Epizod palestyński był szczególnie głośny i wypadł szczególnie kompromitująco dla Bevina, który kiedyś niebacznie powiedział że wiąże swoją reputację z rozwiązaniem problemu żydowsko-arabskiego. W tej sprawie, bardziej niż w jakiegokolwiek innej, dał się Bevin powodować osobistymi sympatiami czy antypatiami, a wynik był tylko ten, że zraził sobie młode państwo Izraela, które gwałtownie zwalczał, nie pozyskując sobie bynajmniej świata arabskiego.

Jeszcze bardziej katastrofalna była jego polityka wobec komunistycznych Chin. Pośpieszył się z ich uznaniem, ryzykując rozejście się z Ameryką i dominiami brytyjskimi. Działał pod wpływem Nehru, a także kupców brytyjskich, którym się zdawało że będą robili dobre interesy z Chinami. Naraził się na upokorzenie, gdy Pekin wcale się nie pokwapił z nawiązaniem stosunków, ale, z charakterystycznym dlań uporem, brnął do końca po raz obranej drodze.

Polityka Bevina wobec Polski była, rzecz jasna, funkcją jego polityki wobec Rosji.

Wytworzyło się w wielu kołach na Zachodzie przekonanie, że Bevin był antysowiecki. Tę opinię zawdzięczał on głównie napaściom Moskwy oraz atakom lewego skrzydła własnej partii, pragnącego polityki stuprocentowej kapitulacji. Ale to, że był krytykowany przez komunistów i ich sympatyków, nie znaczy wcale, że jego stanowisko wobec Rosji zasługiwało na zachwyt.

Prawda, w pierwszym okresie jego urzędowania, gdy polityka

amerykańska, kierowana przez dziecinnie naiwnego Stettiniusa, a następnie niedoświadczonego Byrnesea, gotowa była do dalszych ustępstw na rzecz Rosji i zresztą poczyniła je na konferencji w Moskwie, a jednocześnie na terenie Persji, polityka sowiecka zagrażała bezpośrednio żywotnym interesom brytyjskim, zaś w ONZ Moskwa atakowała W. Brytanię na tle sprawy Grecji, Bevin trochę mimowoli znalazł się w roli głównego antagonisty Rosji. Ani wówczas jednak, ani później nie uczynił ani nie powiedział niczego, co by świadczyło że docenia w pełni niebezpieczeństwo grożące światu ze strony imperializmu sowieckiego oraz konieczność wymuszenia na Rosji, by wyrzekła się swoich podbojów. Politycy opozycyjni z Churchilllem na czele wysuwali niejednokrotnie żądanie przywrócenia wolności narodów ujarzmionych przez Rosję; W Stanach Zjednoczonych nawet sekretarz stanu Acheson wystąpił z tym postulatem; Bevinowi nigdy nie takiego nie przyszło na myśl. Przeciwnie, przy każdej sposobności dawał do zrozumienia, że jeżeli tylko Rosja zrezygnuje z dalszej ekspansji, to może w pełni korzystać z owoców swojego imperializmu i że współzycie obu światów jest w pełni możliwe na zasadzie respektowania obecnego stanu rzeczy. Innymi słowy był gotów porozumienia, na mocy którego kraje Europy środkowo-wschodniej pozostawione byłyby pod rządami sowieckimi.

Tej swojej gotowości dawał wyraz nie tylko słowami, ale również gestami, które nieraz w samej Wielkiej Brytanii wywoływały obrzydzenie. Takim poniżającym gestem było głosowanie na jesieni 1949, w momencie wielkiego nasilenia terrorku komunistycznego w Czechosłowacji, za kandydaturą rządu czeskiego do Rady Bezpieczeństwa. Trudno sobie wyobrazić większą obelgą dla narodu czeskiego, usiłującego stawiać opór swym komunistycznym ciemnościelom, niżeli to oddanie głosu za rządem komunistycznym. Nie widać przy tym czego Bevin po tym geście oczekiwał, jakie mu to dawało korzyści. Jedynym motywem mogła być chęć wykazania, że W. Brytania uznaje prawo Moskwy do wyznaczania, która z jego marionetek ma zasiadać w Radzie Bezpieczeństwa.

Skoro takie było ogólne nastawienie Bevina wobec krajów za Żelazną Kurtyną, pojedyncze przejawy czy próby interwencji na rzecz praw tych narodów muszą być traktowane raczej jako posunięcia taktyczne zmierzające do uzyskania atutów do przetargów, aniżeli jako szczere chęci obrony tych narodów. Rosjanie wyczuwali to doskonale i wiedzieli, że wystarczy by odrzucili z lekceważeniem te próby, a dyplomacja brytyjska z nich zrezygnuje.

Tak więc wyglądały ramy ogólne dla polityki Bevina wobec Polski.

W chwili gdy Bevin obejmował w lipcu 1945 urzędowanie, jego wiedza o Polsce, a najprawdopodobniej także zainteresowanie

nią, były minimalne. Trudno powiedzieć czy podzielał tak rozpowszechnione w kołach labourzystów uprzedzenia do Polski "reakcyjnej" i "feudalnej". W swojej długiej karierze działacza robotniczego i adwokata dokerów raz jeden tylko zetknął się z zagadnieniem polskim w okolicznościach bardzo specjalnych i równo o 25 lat wcześniej.

Było to w 1920, kiedy to Polska samotnie broniła Zachodu przed najazdem bolszewickim. Na zlecenie Ernesta Bevina, podówczas wybitnego przywódcy Trade-Unionów, robotnicy w dołkach odmówili załadowania sprzętu wojennego dla Polski na statek "The Jolly Roger". 10 sierpnia, a więc w momencie gdy wojska Tuchaczewskiego zbliżały się do Warszawy i ta "osiemnasta decydująca bitwa w dziejach świata" osiągała swój punkt szczytowy, delegacja robotniczego komitetu "Ręce precz od Rosji" zgłosiła się do premiera Lloyd George'a, a jej imieniem przemawiał nie kto inny, jak właśnie Bevin.

Istnieje kilka wersji tej burzliwej wizyty. Na ich podstawie można przebieg rozgrywki zrekonstruować następująco:

Bevin oświadczył, że przemawia w imieniu 6 milionów członków związków zawodowych. Są oni przeciwni wojnie z Rosją, jak również wszelkiej blokadzie i wysyłaniu broni dla państw walczących z Rosją.

"Pytamy dlaczego pozostawialiśmy bierni, gdy carowie mordowali tysiące, natomiast teraz gdy nastąpiła rewolucja ludowa, wzywani jesteście do opanowania jej jako groźby?... Rosja pragnie pokoju z resztą świata, a awanturnicze przedsięwzięcie Polaków jest tylko szczytowym punktem serii wojen wszczętych z poduszczenia czynników zewnętrznych przeciw Rosji Sowieckiej".

Jak z tych słów wynika, nie rozumiał niczego.

Lloyd George, jak dobrze wiemy, był jak najdalszy od jakiegokolwiek sympatii dla Polski. Ale nawet on nie mógł przyjąć takiego przeinaczania faktów. Stwierdził, że Polska jest zagrożona, że grozi jej utrata niepodległości, że Rosja może uczynić z nią to samo, co jej carscy władcy uczynili przed półtora wiekiem. Czy Wielka Brytania nie będzie mogła jej posłać nawet pary butów, bo Labour Party będzie protestowała? — pytał premier.

Bevin odpowiedział brutalnie, że takie założenie jest niewłaściwe, ponieważ zagrożenie Polski nie wchodzi w rachubę. I uderzając w ton groźby dodał: "Jeśli nastąpi interwencja przeciw Rosji, pośrednia czy bezpośrednia, to będzie to zapalnik wzniecający pożar, którego końca nikt nie może przewidzieć... Nie będziemy przypatrywać się temu biernie. W grze jest demokratyczne poczucie słuszności". Można to było zrozumieć jako groźbę strajku generalnego i tak to zresztą ocenia zaprzyjaźniony z Bevinem jego biograf, Francis Williams.

O ile wiadomo, Bevin do ostatka nie żałował swojego ówczesnego kroku; nie należał on do ludzi umiających przyznać, że popełnili błąd. Kiedyś już, jako minister spraw zagranicznych,

powoływał się na swój bojkot dostaw dla Polski w 1920 jako na dowód swej życzliwości wobec Związku Sowieckiego. A biograf jego żali się, że Rosjanie nie okazali mu za to wdzięczności.

Oczywiście, obejmując w 1945 stanowisko ministra spraw zagranicznych Bevin nie był już tym radykalnym, czerwonym agitorem i obrońcą Rosji Sowieckiej, co 25 lat wcześniej. Miał wkrótce — jak już o tym była mowa — stać się czołowym antagonistą Sowietów na konferencjach międzynarodowych. Jeśli jednak chodzi o Polskę, przez długi czas jeszcze postępował tak jak gdyby w dalszym ciągu, podobnie jak w momencie marszu Tuchaczewskiego na Warszawę — uważał, że "zagrożenie niepodległości Polski nie wchodzi w rachubę".

Nie mając w latach wojny dużo do czynienia ze sprawami międzynarodowymi, ignorując historię, o bodajże również geografii innych narodów, Bevin nie mógł zapewne od razu wyrobić sobie poglądu na istotę niebezpieczeństwa rosyjskiego. Ministrem został w sposób nieco przypadkowy — upatrzony był na stanowisko kanclerza skarbu, a sprawy zagraniczne objąć miał Dalton i tylko stanowczy sprzeciw króla przeciw kandydaturze Daltona spowodował w ostatniej chwili zmianę w planach Attlee — tak iż pojechał do Poczdamu zupełnie nieprzygotowany.

B. szef sztabu przy prezydencie Stanów Zjednoczonych, admirał Leahy opowiada w swoich pamiętnikach jak nowy brytyjski minister spraw zagranicznych "podszedł do mapy Polski, która wisiała w gabinecie Trumana, by pokazać jak jego zdaniem należy rozwiązać sprawę" granic Polski. "Powiedziałem później prezydentowi — dodaje Leahy — a Truman z tym się zgodził, że Bevin pokazał jedynie, iż nie wie wiele o Polsce".



Wypadki zmusiły Bevina, by szybko zaczął się uczyć o sprawie polskiej. Problem ten spadł na niego niebawem w ostrej, brzemiennej w komplikacje formie wielkiej masy żołnierzy polskich, którzy walczyli pod dowództwem brytyjskim, a teraz odmawiali powrotu do Polski pod rządem jahańskim. W początkach 1946 zagadnienie to postawiło Bevina, jako męża stanu, przed ciężką próbą.

Decyzje zasadnicze co do rządu i granic Polski już zapadły. Rządy zachodnie, a w szczególności rząd brytyjski nie dotrzymały swoich zobowiązań wobec Polski. Ale czy w tym momencie miały już prawo umyć ręce? Wzajemnie za wszystkie swoje ustępstwa uzyskały w Poczdamie zobowiązania rządu Bieruta w sprawie wolnych wyborów. Te zobowiązania były warunkiem uznania nowego rządu "jedności narodowej" i stwarzały dla rządów mocarstw zachodnich tytuł prawny do interwencji w sprawę "wewnętrzne" Polski.

Istnienie dużych Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie mogło w tych warunkach stanowić środek nacisku na reżim, by

się ze swoich zobowiązań wywiązał. Bevin miał wszelki tytuł po temu, by proklamować, że wojsko polskie będzie utrzymane tak długo, aż wolne wybory nie umożliwią żołnierzom powrotu do Kraju, Reżim, dla którego istnienie tego wojska było źródłem dużych obaw, byłby takim posunięciem co najmniej zaskopotany.

Churchill zapewne to miał na myśli, gdy wysuwał projekt skoncentrowania całych sił polskich na terenie Niemiec w postaci wojsk okupacyjnych. Miało to z polskiego punktu widzenia różne minusy, ale strony dodatnie bodaj przeważały.

Bevin wszakże nie chciał słyszeć o zachowaniu wojska polskiego jako środka nacisku na reżim Bieruta. W rozmowie z generałem Andersem min. Bevin kategorycznie oświadczył, że rząd brytyjski nie może utrzymać Polskich Sił Zbrojnych, by wpłynąć na wynik wyborów. Więcej jeszcze, wystąpił wówczas z niezwykłą tezą, że właśnie ze względu na wybory możliwie wszyscy Polacy znajdujący się na Zachodzie powinni powrócić do Kraju.

„Jeżeli chcemy aby Mikołajczyk zwyciężył, żołnierze powinni wrócić i brać udział w wyborach” — brzmiały słowa Bevina, które pozostaną jako świadectwo jego krótkowzroczności. Tłumaczył on zarazem, że rząd brytyjski „wierzy, że dzięki wpływowi, jaki obecnie posiada, może uczynić coś dla zapewnienia bezpieczeństwa tych, którzy wracają”.

Nie ma powodu podejrzywać go o złą wolę. Zapewne wierzył w to, co mówił. Ale to także nie świadczy dobrze o jego zdolności oceniania rzeczywistości.



Powodowany tym przekonaniem, które — jakże szybko — miało okazać się pozbawione wszelkich podstaw, min. Bevin wziął na siebie osobistą odpowiedzialność za nawoływanie żołnierzy polskich do powrotu. 20 marca 1946 każdemu żołnierzowi polskiemu pod dowództwem brytyjskim doręczono osobiście ulotkę podpisaną przez min. Bevina. Tak się obawiano, że dowódcy polscy schowają pod sukno ten papier, po którym najwidoczniej oczekiwano nadzwyczajnych wyników, że oficerowie brytyjscy sami osobiście wręczali ulotkę.

Widocznie też na skutek braku zaufania do Polaków powierzono tłumaczenie tego dokumentu komuś, kto miał dość słabe pojęcie o języku polskim. W rezultacie ulotka raziła żołnierzy zarówno swą treścią, jak i formą. Głosiła ona m. in.:

„Rząd brytyjski uważa tę deklarację za zadawalną. W świetle przyrzeczeń otrzymanych od Tymczasowego Rządu Polskiego, rząd brytyjski po powtórzonemu badaniu całej tej sprawy przyszedł do przekonania, że wszyscy członkowie Polskich Sił Zbrojnych, których powrót do kraju jest możliwy, powinni wrócić jak najprędzej, korzystając z obecnie przez Tym-

czasowy Rząd podanych im warunków, a to celem przyspieszenia się do odbudowania uwolnionej Polski. Jedynie w ten sposób będą mogli służyć swojemu Krajowi zgodnie z jego wielką tradycją... Nie idzie w rachunek, żeby Polskie Siły Zbrojne... zostały zachowane... Pozwalam sobie wierzyć, że ołbrzymia większość będzie korzystała z tej okazji, która być może nie powtórzy się...”

Na szczęście „ogromna większość” nie skorzystała z tej okazji. Ci, którzy zdecydowali się na powrót do Kraju, uczynili to z pobudek czysto rodzinnych, zazwyczaj bez złudzeń na temat losu jaki ich czeka; nie kierowali się „zadawalającymi” — w oczach Bevina — warunkami Bieruta ani też namowami ministra spraw zagranicznych W. Brytanii. Niemniej przeto wydaje się, że jeżeli raporty o losie repatriantów i znalezieniu się tak wielu spośród nich w więzieniach i obozach dotarły do rąk p. Bevina, to nie mógł on chętnie wspominać swojego pisma z 20 marca 1946.

Skoro mowa o żołnierzach polskich, trzeba wszakże oddać p. Bevinowi tę sprawiedliwość, że w tym samym czasie okazał duże zainteresowanie i życzliwość wobec losu Polaków, którzy uznali powrót do Kraju za niemożliwy. Znał jego powiedzenie w Izbie, że nie zamierza nikogo z uchodźców polskich „rzucić wilkom na pożarcie”. Oznajmiając o utworzeniu PKPR p. Bevin wywodził, że „byłoby niemożliwe i niesłuszne aby tych dzielnych ludzi rzucić od razu na rynek pracy i pozostawić własnemu losowi”. Przyczynił się on niewątpliwie poważnie do stworzenia PKPR i w ten sposób do dania Polakom szansy zorganizowania sobie nowego życia w W. Brytanii, czy też emigrowania do innych krajów.



W ciągu roku 1946 Bevin wysyłał noty do Warszawy domagając się przeprowadzenia obiecanych „wolnych wyborów”, a nawet popierał to żądanie gestami w rodzaju zawieszenia układu finansowego zawartego z reżimem. Oficjalny komunikat w tej sprawie głosił, że ratyfikacja układu uzależniona jest od przeprowadzenia wyborów. Dalej wszakże w wywieraniu presji nie posuwał się.

Ponura farsa wyborów w Polsce w styczniu 1947 nie wpłynęła na postawę Bevina wobec problemu polskiego. Jasne było od razu, że nie zamierza wyciągnąć żadnych konsekwencji z brutalnego złamania przez reżim uroczystych zobowiązań, na których oparte było uznanie rządu tymczasowego. Obowiązkiem mocarstw zachodnich było cofnięcie uznania temu rządowi, ale o tym nie było ani przez chwilę mowy. Bevin potępiwszy niedotrzymanie zobowiązań pośpieszył wyjaśnić, że rząd brytyjski sądzić będzie rząd w Warszawie po jego czynach. Jedyny wniosek jaki wysunął z komedii wyborczej sprowadzał

się do tego, że skoro wybory się odbyły, rząd brytyjski nie ma już podstaw prawnych do interweniowania w sprawach polskich.



W parę miesięcy później nastąpiło wydarzenie, które niespodziewanie silnie zaważyło na stosunku Bevina do sprawy polskiej.

27 kwietnia, wracając z nieudanej konferencji czterech ministrów spraw zagranicznych w Moskwie, Bevin zatrzymał się na parę godzin w Warszawie, tym razem już nie po to by zwiedzać jej ruiny, jak w drodze do Moskwy, lecz by odbyć długą rozmowę z nowym premierem reżimowym Cyrankiewiczem. Efekty tej rozmowy były równie szybkie, co nieoczekiwane.

Już 30 kwietnia Bevin oświadczył w Izbie Gmin: "Najlepszą usługą jaką można oddać Polsce byłoby, aby każdy Polak w obozie uchodźców zagranicą czy w W. Brytanii zdecydował się powrócić do Kraju i wziąć udział w odbudowie Polski". Teraz już nie było mowy o powrocie dla wzięcia udziału w wyborach i dopomożeniu do "zwycięstwa Mikołajczyka", poprzednie złudzenia prysły, ale nadal Bevin namawiał do powrotu.

5 maja złożył w Izbie dalsze oświadczenie, już bezpośrednio na temat swej rozmowy z Cyrankiewiczem, którą określił jako "pożyteczną i przyjazną". "Jestem coraz bardziej przekonany po mojej rozmowie z premierem polskim, że Polsce bardzo potrzeba ludzi, którzy mogliby wrócić... Jako rezultat moich warszawskich rozmów postanowiłem zalecić rządowi Jego Królewskiej Mości ratyfikowanie umowy finansowej. Miło mi poinformować Izbę że rząd JKM zdecydował ratyfikować tę umowę..."

Innymi słowy Bevin, który jedenaście miesięcy wcześniej ogłaszał, że ratyfikacja uzależniona jest od przeprowadzenia wolnych i nieskrępowanych wyborów, teraz przechodził nad tym do porządku dziennego.

15 maja Bevin poszedł dalej jeszcze. Słuchacze jego mogli odnieść wrażenie, że przyczyną trudności w stosunkach między Londynem a Warszawą nie było złamanie zobowiązań i pozbawienie narodu polskiego praw urzeczyścię przez Wielką Brytanię zagwarantowanych, ale jedynie komunistyczna krytyka polityki brytyjskiej. Toteż — mówił — "obecnie, skoro zobaczyłem, że nastąpiła widoczna zmiana w ustosunkowaniu do nas, okazałem natychmiastową gotowość odpowiedzenia w tym samym duchu".

"Jestem obecnie przekonany — dodał Bevin — że mogę powiedzieć Polakom z większą ufnością niż przedtem, że mogą oni powrócić do Polski w lepszym samopoczuciu, aniżeli było to do tej pory możliwe".

W ten sposób Bevin mimowoli przyznał się, że dawniej, gdy rozsłał swą głośną ulotkę i namawiał żołnierzy polskich do niewoli, nie miał zbytniej ufności do swych własnych zapewnień.

Dlaczego przeprowadzenie oszukańczych wyborów napełniło go większą ufnością, pozostanie jego tajemnicą.

Można stwierdzić, że w tym czasie Bevin nie zamierzał poprzestać na powyższych gestach. Dość szybko stało się wiadome, że Cyrankiewicz przedłożył mu egzemplarze wydawnictw emigracyjnych z zakresłonymi oświadczeniami i odezwaniami rządu w Londynie i skarżył się na to telerowanie działalności rządu na wygnaniu. Bevin, bardzo tym przejęty, polecił zbadać sprawę pod kątem uniemożliwienia dalszej działalności prawowitych władz, chciał likwidować prasę emigracyjną, bodaj nawet myślał o pozbyciu się uciążliwych polityków polskich z terenu Wielkiej Brytanii. Doradcy jego wytłumaczyli mu wszakże, że takie kroki byłyby sprzeczne z tradycją brytyjską.

Uwiecznieniem wystąpień pro-reżimowych Bevina była jego mowa na kongresie Labour Party w Margate, 29 maja 1947. Znalazła się w niej perełka następująca: "Teraz gdy Polacy byli na tyle mądrzy, by wybrać socjalistę (na premiera), stało się możliwe prowadzenie rokowań". Z czego wynikało, że: 1) Osóbka nie był socjalistą; 2) że Cyrankiewicz został wybrany przez naród polski, czyli 3) że wybory były prawidłowe; wreszcie 4) że objęcie premierostwa przez Cyrankiewicza zmieniło całą sytuację.

Gdzie źródło tych osobliwych wynurzeń? Czy Cyrankiewicz oczarował do tego stopnia Bevina, by ten wygłaszał tak epokowe głupstwa? — Jedna z wersji głosiła, że Bevin był pod wrażeniem rzekomej stanowczości Cyrankiewicza wobec nacisku komunistycznego na rzecz fuzji PPS z PPR; Cyrankiewicz, który miał niebawem stać się grabarzem reżimowej PPS, wtedy jeszcze próbował stawiać pewien opór. Czy by to jednak wystarczyło? Wydaje się że musiały być jakieś inne argumenty, którymi Cyrankiewicz trafił do serca Bevina. Prawdopodobnie takim argumentem była obietnica Cyrankiewicza wstrzymania nielegalnej, a silnej emigracji Żydów z Polski do Palestyny. Dla Bevina, który niebawem miał postawić swą reputację na kartę rozwiązania problemu palestyńskiego, taka obietnica była niemalże bezcenna...

W dziesięć dni po zachwytach Bevina w Margate nad prawdziwym socjalistą Cyrankiewiczem przyszła z Warszawy wiadomość o zarządzonej przez jego rząd masowym aresztowaniu socjalistów polskich z Kazimierzem Pużakiem na czele. Reakcji ze strony Bevina nie było.



W tym samym czasie inny czynnik zaważył równie fatalnie na stosunku brytyjskiego ministra spraw zagranicznych do sprawy polskiej co niewczesne zachwyty dla Cyrankiewicza, i to w sposób bardziej trwały; albowiem o swych rozmowach warszawskich Bevin wcale szybko zapomniał.

Tym czynnikiem było zawarcie umowy handlowej z reżimem,

na mocy której Wielka Brytania miała dostarczyć Polsce maszyn, surowców, chemikaliów itd., otrzymując wzajemnie produkty żywnościowe, a zwłaszcza tak cenne dla niej jaja i bekony. Aby w pełni ocenić efekt tego układu trzeba uświadomić sobie, że naród brytyjski był w tym czasie wygłodniały i obiecanie dostawy polskie zapowiadały zapewnienie tradycyjnego angielskiego "breakfastu", że na tle historycznej pozycji kraju zrodziła się w narodzie brytyjskim naiwna wiara w dobroczynny wpływ handlu na politykę międzynarodową, a zarazem gotowość podporządkowania interesom kupieckim wszelkich innych względów w polityce międzynarodowej; że w rezultacie marzenia o handlu z Rosją i blokiem rosyjskim przysłoniły całkowicie Brytyjczykom problem niebezpieczeństwa zasilania potencjału przyszłego nieprzyjaciela, zwłaszcza że jeszcze nie chciano uznać Rosji za wroga. Toteż były to czasy gdy bez żadnego sprzeciwu rząd dostarczał Rosji np. silniki odrzutowe Rolls Royce'a, czego w parę lat później miał gorzko żałować.

W tej atmosferze wystarczało aby Cyrankiewicz i Minc obiecali trochę jaj i bekonu, by nie tylko dostać cenne obrabiarki, z których niewątpliwie wiele poszło do Rosji, tak samo jak surowce, ale jeszcze osiągnąć faktyczne desinteressement W. Brytanii sprawą wolności Polski.



Od połowy 1947 problem polski jako taki przestał właściwie istnieć dla Bevina. Polska była już tylko jednym z wielu krajów za żelazną kurtyną i to wcale nie najbardziej godnym zainteresowania. Stosunek do niej określony był przez fakt, że cała polityka Bevina — jak widzieliśmy — opierała się na założeniu że należy udaremniać dalszą ekspansję sowiecką, że natomiast to co Rosja już zrabowała, względnie ujarzmiła, jest jej strefą i Zachód mieszać się do tego nie powinien.

Tę politykę umywania rąk i pozostawiania Polaków i innych narodów za Żelazną Kurtyną ich losowi, znakomicie ilustrowały głośne słowa Bevina w odpowiedzi na interpelację w sprawie nominacji Rokossowskiego: "To nie moja sprawa".

Istotnie, do końca swego urzędowania pozostał Bevin wierny zasadzie, że gwałty sowieckie, pozbawienie niepodległości wielu narodów i zakucie w niewolę milionów ludzi nie jest "jego sprawą". Nawet jeżeli stanowi to pogwałcenie zobowiązań zaciągniętych przez Wielką Brytanię.

Aleksander BREGMAN.

Likwidacja Unii Kościelnej

Tragiczna wiadomość o likwidacji przez rosyjską Cerkiew Prawosławną i rząd czechosłowacki Kościoła Greko-Katolickiego w Słowacji kryje w sobie treść stokroć ważniejszą i tragiczniejszą: oznacza bowiem, że unia kościelna, zapoczątkowana w końcu w. XVI w Polsce, a znana pod nazwą Unii Brzeskiej i jej odgałęzień na Rusi podkarpackiej w Rumunii i Słowacji — w ogóle przestała istnieć w Europie.

Dnia 28 kwietnia 1950 r., jak donosi "Przegląd patriarchatu moskiewskiego (Nr 6 i 7 z 1950 r.) odbył się w Prešov (Słowacja) tzw. Sobór przedstawicieli greko-katolickiego duchowieństwa i wiernych z udziałem przedstawicieli rosyjskiej Cerkwi prawosławnej, biskupa Aleksego. Sobór ten, reprezentujący rzekomo 820 delegatów duchowieństwa i wiernych, uchwalił:

1. odwołać postanowienia unii Užhorodzkiej z lat 1646 i 1649,
2. zlikwidować unię, zerwać związek z Rzymem i powrócić do Cerkwi Prawosławnej,
3. zwrócić się do patriarchy moskiewskiego z prośbą o przyjęcie pod jego władzę,
4. zwrócić się z wezwaniem do ogółu duchowieństwa i wiernych Kościoła Greko-Katolickiego w Czechosłowacji o powrót do Cerkwi prawosławnej.

Kościół Greko-Katolicki w Słowacji z siedzibą biskupią w Prešov liczył około 150.000 wiernych, 300 kościołów, około 250 duchownych, 19 seminariów duchownych, a na czele miał biskupa Pawła Gojdica. Biskup ten, wraz z trzema innymi biskupami katolickimi obrządku łacińskiego został aresztowany, a wszyscy niebawem zostali skazani na dożywotnie lub długoterminowe więzienie. Temu samemu losowi — aresztowaniu lub karom więzienia uległo oporne duchowieństwo i parafianie. Z przedstawicielami rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej działały zgodnie władze bezpieczeństwa Czechosłowacji, a wicepremier Fierlinger w liście do przedstawicieli Prawosławnej Cerkwi moskiewskiej uznał, że odąd przestał istnieć Kościół Greko-Katolicki w Czechosłowacji, a cała jego własność i mienie kościelne przeszły na rzecz Cerkwi prawosławnej, liczącej 140.000 wiernych i podległej kanonicznie, od niedawna, patriarchatowi moskiewskiemu, do którego Cerkiew ta przeszła spod władzy patriarchy Konstantynopolitańskiego siłą nacisków sowieckich.

Likwidacja unii kościelnej w Słowacji została przeprowadzona metodami znanymi z trzech poprzednich likwidacji tego Kościoła: w Polsce, Rumunii i na Węgrzech.

Działo się to w ten sposób, że kilku odstępców spośród duchowieństwa zawiązywało w porozumieniu z władzami bezpieczeństwa i przedstawicielami patriarchatu moskiewskiego komitet połączenia greko-katolików z prawosławną Moskwą, odbywał się tzw. sobór, który bezprawnie pobierał ustalone szablono- nowo decyzje, a opornych biskupów, duchowieństwo i wiernych

władze bezpieczeństwa aresztowały i wywoziły do Rosji Sowieckiej.

W ten sztywno ustalony i szablonowy — jak we wszystkim, co się dzieje z inspiracji Moskwy — sposób odbyły się uprzednio trzy wielkie likwidacje Kościoła unickiego w Europie.

Pierwsza chronologicznie likwidacja odbyła się w r. 1946 w Małopolsce wschodniej. Kościół greko-katolicki tego kraju, istniejący od r. 1596 a liczący koło 3.500.000 wiernych, koło 2.500 księży i ponad 2.200 parafii został formalnie skasowany, wszyscy biskupi z metropolitą na czele w ilości 6 aresztowani i wywiezieni do Rosji, (trzech z nich zmarło na wygnaniu).

Drugi chronologicznie uległ skasowaniu w r. 1948 Kościół greko-katolicki w Rumunii. Istniał on od r. 1697 i liczył 1.250.000 wiernych, 700 duchownych, 1700 świątyń. Na czele jego stał metropolita i 4 biskupów. Wszyscy oni zostali aresztowani, a sam Kościół przyłączony do rumuńskiej Cerkwi prawosławnej, której patriarcha Justynian jest najbliższym współpracownikiem patriarchy moskiewskiego Aleksego i zwolennikiem współpracy tzw. "demokracji ludowych" z komunistyczną Moskwą.

Trzecia likwidacja Kościoła greko-katolickiego odbyła się na Rusi podkarpackiej wcielonej, jak i Małopolska wschodnia, do Ukrainy sowieckiej. Odbyło się to w r. 1949. Kościół unicki na Rusi liczył ponad 470.000 wiernych, koło 500 świątyń, koło 400 duchownych, liczne seminaria duchowne, 2 biskupów. Uległ tym samym prześladowaniom co i inne Kościoły greko-katolickie, a sam formalnie został włączony do rosyjskiej Cerkwi prawosławnej.

Gdy odbywały się trzy powyższe likwidacje sporo wiernych tych Kościołów, zwłaszcza z Małopolski wschodniej i Rusi węgierskiej, uszło do Słowacji, gdzie znaleźli tymczasową przystań duchowo-religijną w małej diecezji Prešov. Dzisiaj nie istnieje już, przynajmniej formalnie i organizacyjnie, ta ostatnia reduta jedności kościelnej. Wraz z jej likwidacją uległo zniszczeniu dzieło Unii Brzeskiej po 350 latach istnienia. Jak wiadomo, była to jedyna udana unia kościelna, która, wydała swoje owoce w Polsce, a ponadto zaszczepiła jedność kościelną w państwach sąsiadujących z Polską, jak Węgry, Czechosłowacja, Rumunia, a nawet przeszczepiła się w początkach w. XX. do Rosji, gdzie powstał Egzarchat katolicki obrządku wschodniego. Zniszczony on został na równi z Cerkwią Prawosławną i innymi Kościołami w czasie rewolucji bolszewickiej.

Stolica Apostolska przywiązywała na przestrzeni wieków wielkie znaczenie do idei jedności Kościołów zachodniego i wschodniego i do akcji zjednoczenia Kościołów. W dążeniu swym ostatecznym miała zawsze na widoku ponad 100 milionów prawosławnych Rosji, a prawosławni w Polsce, którzy w końcu wieku XVI połączyli się z Kościołem Katolickim na synodzie w Brześciu, mieli być pomostem do Rosji do zjednania dla Kościoła wszystkich prawosławnych na wschodzie.

Jak na Korei właściwy napastnik ukrył się za plecami pół-

nocnych Koreańczyków i Chińczyków, tak w dziele zniszczenia Kościoła Greko-Katolickiego, pozostającego w łączności ze Stolicą Apostolską, ten sam napastnik ukrył się za plecami rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej, będącej jego posłusznym narzędziem działania.

Podsumujmy bilans ogólny strat Kościoła unickiego w Europie: Cztery jego kolejne likwidacje dały na rzecz Cerkwi Prawosławnej ponad 5 milionów wiernych, ponad 3.500 księży, ponad 5.000 kościołów, nie licząc wielkiego majątku kościelnego i wielu dzieł sztuki — zabytkowych świątyń. Oczywiście, znaczna część tych księży i wiernych znalazła się w więzieniach i na wygnaniu w głębi Rosji. Pewna część ukrywa się w podziemi.

Nad całością tego tragicznego stanu rzeczy góruje jeden fakt: to gwałt zadany sumieniu ludzkiemu i wolności wiary w połowie wieku XX! Gdy się weźmie pod uwagę, że likwidacja Kościoła Greko-Katolickiego dotknęła ponad 5 milionów katolików a bezprawna inkorporacja do Związku sowieckiego wschodniej Polski, Litwy, Łotwy, Estonii, części Finlandii, Besarabii i części Bukowiny, wrzście Rusi przykarpackiej dotknęła dalszych 5 milionów katolików obrządku zachodniego — otrzymamy ogólną sumę 10 milionów katolików zniszczonych razami moskiewskiego komunizmu. Takiej straty nie poniósł Kościół Katolicki od czasów Reformacji.

Jak wiadomo, w r. 1948 na zjeździe Kościołów prawosławnych w patriarchacie rosyjskim w Moskwie, większość zgromadzonych tam przedstawicieli Kościołów wschodnich wypowiedziała wojnę katolicyzmowi i protestantyzmowi. Ukryty za plecami tych przedstawicieli Kościołów reżyser osiągnął swój cel na odcinku katolickim. Według jego terminologii została "zlikwidowana agresja Watykanu" w Europie. Ale równocześnie też poniósł i ponosi wielkie straty w państwach za żelazną kurtyną Kościół Katolicki w obrządku łacińskim, a obok niego i Kościoły protestanckie, czemu przykładem procesy w Polsce, na Węgrzech, w Czechosłowacji, Rumunii.

Fakt likwidacji Unii Kościelnej za żelazną kurtyną świadczy, że w ustrojach, narzuconych przez komunizm sowiecki, nie może być mowy o wolności sumienia i o swobodzie życia religijnego. Przykład rosyjskiej Cerkwi prawosławnej, która stała się narzędziem w ręku władców Kremla i sławi swych rodzimych prześladowców, jest wymownym tego stanu rzeczy dowodem.

Przed laty powiedział Lenin, że walka z religią jest walką o pełny triumf komunizmu. Z całą konsekwencją następcy jego wprowadzają tę zasadę w życie, czyniąc nawet z własnej ofiary — Cerkwi rosyjskiej, posłuszne narzędzie swego działania. Uznała ona niedawno niektóre zasady ustroju sowieckiego, jak stosunek do pracy (w tym i niewolniczej), do własności (kolektywizacja), oraz dała pełną aprobatę polityki zagranicznej Związku Sowieckiego w tak zwanej akcji pokojowej, zapo-

czątkowanej rezolucją sztokholmską i zbieraniem podpisów za Moskwą, a przeciwko Zachodowi.

W swoim konsekwentnym imperializmie politycznym i zaborczości wojennej Moskwa reprezentuje równocześnie ateistyczny i materialistyczny pogląd na świat, nie znoszący dalszego trwania istniejącego od blisko dwóch tysięcy lat spiritualistycznego poglądu na świat, głoszącego respekt dla praw boskich i ludzkich.

To stwierdzenie i ten suchy bilans strat świadczą, że cofa się Kościół Katolicki w Europie i że upadają zręby kultury chrześcijańskiej w starym świecie.

Niektórzy katolicy twierdzą — słusznie formalnie — że Kościół katolicki w Europie stanowi zaledwie jedną trzecią część Kościoła Powszechnego i że na innych kontynentach, w innych częściach świata, jak Ameryka, Afryka i Azja znajdują się dwie trzecie tego Kościoła, a zapewne i jego zwycięska przyszłość. Gdy tak twierdzą, zapominają, że wraz z tym twierdzeniem przesadzają losy tzw. kultury zachodniej, która wyrosła na podłożu helleńsko-rzymskim z chrześcijaństwa europejskiego.

Ten rzekomo "pocieszający" pogląd nie grzeszy też ścisłością: widzimy dzisiaj już jak niwelujący wszystko komunizm sowiecki lub komunizm chiński w wydaniu sowieckim zaczyna niszczyć chrześcijaństwo zachodnie i w Azji i jak usiłuje podminować dla swej penetracji kontynent afrykański.

Chrześcijaństwo zachodnie, katolicyzm rzymski w swej formie obrządku greko-katolickiego, bizantyńsko-słowiańskiego lub jakiegokolwiek innego (w zastosowaniu do danego terenu), był zawsze prekursorem kultury zachodniej, która włączała się w odmienne procesy kulturalne danego kraju.

Likwidacja unii kościelnej w Europie środkowo-wschodniej oznacza, że te nieliczne nadzieje, z którymi łączono przywrócenie jedności Kościelnej, a więc i powstanie jedności kulturalnej na niezmiernych obszarach Rosji i wschodu prawosławnego, odpadają na długo, na tak długo, jak długo Związek sowiecki będzie utrwał swój ustrój we własnym kraju i w krajach podbitej Europy.

W tym tkwi doniosłe znaczenie likwidacji unii kościelnej w Europie.

Wiesław ŻYLIŃSKI.

List z Wyspy

(Od londyńskiego korespondenta KULTURY)

Czarne słowa

"List z Wyspy" w Nr 40/41 KULTURY był pomyślany i napisany jako artykuł dyskusyjny. Dyskusję istotnie wywołał. Do Redakcji i do autora napłynęło wiele listów, a w prasie polskiej ukazało się kilka artykułów polemizujących bezpośrednio lub pośrednio z tezami wysuniętymi w omawianym "Liście". Głosy te stanowią jakby odpowiedź na ankietę i pozwalają na wyciągnięcie pewnych ogólnych wniosków z przemian w poglądach polskiej inteligencji na emigracji.

Jeśli wypowiedzi dyskusyjne uznałobyśmy za wskaźnik o znaczeniu ogólniejszym, to pierwszy wniosek jaki należało by z nich wyciągnąć brzmiałby następująco: nasza inteligencja przeszła daleką ewolucję od postawy walki z wrogiem, nawet gdyby walka ta była beznadziejna, po obecny pesymizm i neutralizm. "Klub Trzeciego Miejsca" posiada wśród nas daleko więcej członków niżby to można było sądzić.

Pewien odłam naszych korespondentów reprezentuje pogląd dający się chyba wytłumaczyć jedynie załamaniem psychicznym — że konflikt obecny pomiędzy Zachodem a Rosją jest wyłącznie sprawą "wielkich" i "możliwych" — a nas w gruncie rzeczy nic nie obchodzi. Panowie głoszący tę tezę są zarówno anty-rosyjscy jak i anty-angielscy, anty-amerykańscy i anty-czeszy, anty-ukraińscy i anty-japońscy — poza czasem, kalendarzem i przestrzenią pełni goryczy i bezsilny. 11 lat temu byliśmy "silni, zvarci, gotowi" — dziś jesteśmy "słabi, nieliczni, starzy". Przeżywamy okres krzepy à rebours.

Pewnym wytłumaczeniem może być wpływ jaki na kształtowanie się nastrojów inteligencji wywierają niewątpliwie pisarze emigracyjni. Oto dwa charakterystyczne głosy czołowych pisarzy emigracyjnych nie wywołane bezpośrednio naszą "ankietą" lecz niewątpliwie związane z jej tematem:

„Ruchy komunistyczne, które dziś od Malajów po Paryż wstrząsają światem i które — obawiam się — jednak zwyciężą, są wielką iluzją...”

Stanisław Mackiewicz, "Wiadomości", Nr. 9/257.

„W nadchodzącym konflikcie zwycięży albo kultura jaskiniowa, kultura grobów nie skrzynkowych lecz katyńskich — albo kultura amerykańska. W tym i tamtym wypadku będzie to kultura standardowa, obca nam, zmechanizowana, odpychająca trywialną”.

Zygmunt Nowakowski, "Wiadomości", Nr 15/263.

Czyż warto zajmować czynne stanowisko w konflikcie pomiędzy

dzy "kulturą grobów katyńskich" a "obcą nam, odpychającą trywialną" kulturą amerykańską? Co nas to obchodzi!

Cóż sądzić o tych, którzy zostali na emigracji, ale wierzą, że ruchy komunistyczne "jednak zwyciężą". Kogóż pocieszy filozoficzna uwaga, że komunizm — jak wszystko inne — jest wielką iluzją. Zapewniam autora tych czarnych słów, że komunizm jest w znacznie mniejszym stopniu iluzją niż skłonny jest przypuszczać. A zresztą — jak powiedział Sforza — historia ludzkości jest jednym łańcuchem prób realizowania utopii i iluzji.

Notując te dwa głosy możemy sobie powiedzieć: "here we are" i zrobić punkt orientacyjny na krzywej nastrojów i poglądów Emigracji.

P. Jan Winczakiewicz w swojej polemice (Wiadomości Nr 16/264) wyraża poglądy niemniej pesymistyczne lecz bardziej sformułowane. Sądzi bowiem, że po ewentualnej trzeciej wojnie światowej (z Eisenhowerem na Kremlu) "komunizm będzie istniał dalej i Rosja nie przestanie być Rosją".

Czyżby ludy Rosji były do komunizmu aż tak głęboko przywiązane? Czy nawet wówczas gdy Eisenhower będzie na Kremlu zechcą bronić komunistycznej schedy w postaci łagrów, kolchozów, NKWD? Jest to teoria całkowicie nowa i szkoda, że autor nie uznał za stosowne skomentować jej nieco dokładniej.

Inne wnioski p. Winczakiewicza są równie nie banalne. Zapewnia nas bowiem, że Amerykanie "szybko zrezygnują z ambicji organizowania świata" a Niemcy sięgną po ziemie zachodnie. Rosja natomiast nie zechce oddać Wilna i Lwowa. Nie koniec jednak na tym. Autor sądzi bowiem "że w kilka lat potem ofiarą apetytu naszych sąsiadów-olbrzymów padnie i Warszawa i Ameryka nie kiwnie palcem w jej obronie".

Jedynym optymistycznym momentem w tej makabrycznej wizji jest fakt, że Warszawa padnie dopiero... "w kilka lat potem". W każdym razie dwa, trzy lata po trzeciej wojnie światowej może będzie istniała.

"Niech mi teraz powie p. Mieroszewski, czy warto bić się o to wszystko?" — zapytuje mnie publicznie autor.

— Nie, nie warto!

P. Winczakiewicz zastrzega się, "że być może wypadki potoczą się zupełnie inaczej". Niestety, jednak swój horoskop (z upadkiem Warszawy "w kilka lat potem") uważa za najbardziej realistyczny i dla polityki polskiej obowiązujący stwierdza bowiem: "zgłaszanie naszego udziału do walki zbrojnej w ramach armii Eisenhowera równa się złożeniu podpisu pod tymi ewentualnymi perspektywami. Tego robić nam nie wolno. Raczej siedzieć z założonymi rękami i czekać na zmiłowanie Boże..." (Biedny Eisenhower — nawet nie wie jaki ponury horoskop złączany jest z jego nazwiskiem!)

No, ale cóż jednak by się stało, gdybyśmy niepomni na głos p. Winczakiewicza odbudowali przeciw armię polską na Zachodzie?

Posłuchajmy: "Jeżeli więc w przyszłości wskrzeszona armia polska zacznie odgrywać rolę niewygodnego dla sojuszników "atutu" — Anglosasi zamkną ten "atut" w nowym Szczypiornie i będzie po krzyku".

Widzimy, że druga wojna światowa była idyllą w porównaniu z tym, co czeka szaleńców, którzy by chcieli walczyć o sprawę Polską i w trzeciej wojnie światowej. Innymi słowy: ziemie odzyskane — Niemcom, Wilno i Lwów przy Rosji — "w kilka lat potem" upadek Warszawy a armia polska w nowym Szczypiornie.

Trzeba istotnie wiele tego "bożego zmiłowania" o którym wspomina autor. Bardzo wiele...



Z wszystkich listów bije ostry rewizjonizm w stosunku do tradycji. P. Bohdan Bereza w mocnym i doskonale napisanym artykule woła: "Tworzenie Legionów zdało się zawsze w naszych dziejach psu na budę... Legiony Dąbrowskiego, Portugalsko-Węgierski Bema, Kozackie Czajkowskiego i Andersa na ostatku nie spełniły dosłownie ani jednej nadziei w nich pokładanych... Kończyły się zawsze albo rozbrojeniem i amnestią albo poturczeniem się i P.K.P.R.".

... "Dość już natłukliśmy się za Lelewelewską "Waszą i Naszą", dość już zapełniliśmy katyńskich dołów tworząc z dziurawych czaszek Antemuralem Christianitatis"... "Decyzja gen. Andersa utrzymania frontu mimo Jałty wspaniale świadczy o jego żołnierskości — źle o jego wyrobieniu politycznym. Przemówił duch zgubnej tradycji".

Cóż zatem należy przeciwstawić "duchowi zgubnej tradycji"?

P. Winczakiewicz — mówiąc słowami Hemara — proklamuje hasło nowego superpozytywizmu: "Polska nie natchnieniem lecz businesssem świata".

W sumie ok. 40% naszych korespondentów uważa, że nie powinniśmy w ogóle brać czynnego udziału w nadchodzącym konflikcie. Są nawet i tacy, którzy są zdania, że Polacy nie powinni wstępować do organizacji obrony przeciwlotniczej w Anglii. (Ci ostatni stanowią zdecydowaną mniejszość).

Często powtarza się argument, że "wskrzeszenie polskiej armii to oderwanie od nauki setek studentów, to zrezygnowanie ze setek dyplomów" (J. Winczakiewicz m. in.). Byłoby niewątpliwie najlepiej by tym razem do wojska poszli tylko Anglicy, Amerykanie Francuzi, Norwegowie, Belgowie itd. a Polacy przygotowali się spokojnie do dyplomów. Przewiduję jednak, że przyswojenie tezy p. Winczakiewicza Anglosasom i Francuzom napotka na pewne trudności.

Neutraliści stanowią poważną grupę. Cechą wspólną neutralistów jest pogląd, że Amerykanie po zwycięstwie militarnym nie potrafią skutecznie rozwiązać problemu rosyjskiego. Sądzą zatem, że ewentualna trzecia wojna światowa — prócz strat nic nam nie przyniesie.

Około 60% naszych korespondentów uważa za celowe odbudowę armii polskiej na Zachodzie, ale wysuwa szereg postulatów. Ta grupa — choć jej reprezentanci licytują się w "realistycznym podejściu" — jest w swym programie najmniej konsekwentna. Wszyscy jak jeden mąż za Z. Nowakowskim mówią o "czekach bez pokrycia". Z jednej więc strony domagają się czeku z pokryciem i gwarancji z drugiej zaś zieją nieufnością, podejrzeniami i dziką "fobią" do Anglosasów. Gwarancje będą zawsze z natury rzeczy sprawą zaufania. Tymczasem jak można mówić o zaufaniu w gwarancje Anglosasów, gdy pisarz polityczny tej miary co St. Mackiewicz występuje publicznie z tezą, że "Anglicy w marcu 1939 gwarantowali nam niepodległość w celu zniszczenia tej niepodległości" *). Realisci, którzy są anty-wszystkim, uwierzą w to jak w dogmat. Z. Nowakowski, autor teorii o czeku bez pokrycia, kładzie niemal znak równania pomiędzy kulturami sowiecką a amerykańską. P. Winczakiewicz dodaje: "znając mądrość polityczną Amerykanów powinniśmy być przygotowani na najgorsze".

Realisci domagają się czeku od bankiera, którego uważają zarówno za głupca jak i oszusta. Cóż można mówić o "pokryciu czeku" w takich warunkach? Czy tak ma wyglądać w praktyce stosowana zasada "Polska 'businesssem' świata"? Jakiego świata? Chyba nie tego — bo ten politycznie biorąc składa się przeważnie z Anglików (którzy gwarantowali nam niepodległość by ją zniszczyć), z Amerykanów (o kulturze równie trywialnej co rosyjska) no i last but not least z tychże katyńskich Rosjan.

Gdzież jest zatem ten "świat", którego Polska miałaby być "businesssem" i w wyniku tego "businessu" otrzymać czek z pokryciem i gwarancją?

Obawiam się, że nasi realisci nie są w najlepszej zgodzie z logiką.



Wielu naszych korespondentów wysuwa wątpliwości czy bylibyśmy w ogóle w możności odbudować armię polską na Zachodzie. Sądźmy, że odbudować moglibyśmy dziś tylko kadre a żołnierz przyszedłby do nas "stamtąd" z drugiej strony frontu jak we Włoszech w 1944 r. Przyciągnięcia tego żołnierza stanowiło by jeden z kardynalnych politycznych celów odtworzenia polskiej armii na Zachodzie.

W kilku listach autorzy polemizują z tezą czy wszyscy komuniści są naszymi wrogami. Inni jak np. p. Z. Małecki kwestionują czy wszyscy, którzy zwalczają komunizm stają się automatycznie naszymi sprzymierzeńcami.

Pragniemy wyjaśnić, że używając terminu komunista mamy z reguły na myśli komunista-stalinowca, a więc nie tylko

*) Por. artykuł "Teoria p. Mackiewicza" w Kronice Emigracyjnej.

zwolennika idei komunistycznej, lecz również agenta imperiaizmu rosyjskiego. Komunista, który nie jest narzędziem rosyjskiego imperializmu, który widzi sprzeczność pomiędzy komunizmem a stalinizmem — nie jest naszym wrogiem, lecz przeciwnikiem politycznym, reprezentantem doktryny, którą zwalczamy w ramach normalnej, demokratycznej walki politycznej. W naszych warunkach emigracyjnych jest to rozróżnienie akademickie, ponieważ jednak padły w tej sprawie głosy formułujemy jasno nasz pogląd.

Analogicznie ustosunkowujemy się do anty-komunistów. W światowym konflikcie z rosyjskim, stalinowskim, imperialistycznym komunizmem naszym sojusznikiem taktycznym jest każdy anty-komunista. Nie oznacza to jednak bynajmniej, byśmy akceptowali poglądy wszystkich anty-komunistów. Radio w Madrycie oddaje naszej Sprawie wielkie usługi i byłoby taktycznym błędem z możliwości tych nie korzystać. Nie zmienia to jednak w niczym naszego całkowicie negatywnego stosunku do reżimu gen. Franco.

Są wreszcie i tacy, którzy poświęcili wiele stron pisma masyżowego i trudu by zwalczać "ideę rządu światowego", który to program my propagujemy. Do tych ostatnich należy artykuł p. Jerzego Kędzierskiego. Idea rządu światowego nie jest naszym wynalazkiem i posiada już dziś wielką literaturę, której pewne dzieła jak np.: "The Anatomy of Peace" Emery Reves'a przetłumaczono na 15 języków.

Natomiast nie wiem dlaczego p. Kędzierski uważa, że "idea rządu światowego ma swój specyficzny urok przez to, że zwalnia od myślenia..."

To jest urok istotnie specyficzny, któremu na szczęście nie wszyscy ulegają.

Jednym z celów, jaki przyświecał redaktorowi "KULTURY" gdy decydował się na druk omawianego "Listu z Wyspy" — była chęć dyskusji nad pytaniem jak winniśmy postąpić, gdy rząd londyński nie zostanie uznany nawet wówczas, gdy mocarstwa cofną uznanie administracjom satelickim. Tego tematu nie podjął nikt. Dosłownie nikt. Dopiero jednak po prze studiowaniu całości korespondencji mogę odpowiedzieć na pytanie czym należy tłumaczyć to milczenie?

Dla neutralistów nie istnieje to zagadnienie. Uważają oni bowiem, że bez względu na to czy rząd nasz będzie uznany czy nie — nie powinniśmy jako emigracja brać czynnego udziału w walce ograniczając się do akcji dyplomatyczno-politycznej.

Dla realistów problem ten nie istnieje również, gdyż według ich opinii brak uznania rządu londyńskiego zwalnia Polaków na emigracji z obowiązku czynnego udziału w walce przeciw Rosji. Innymi słowy, gdyby rząd nasz nie odzyskał uznania w chwili wybuchu konfliktu realisci automatycznie przejdą do obozu neutralistów.

Najbardziej prawdopodobne jest, że będziemy mieli nadal dwa odrębne ośrodki polityki polskiej rywalizujące ze sobą na

terenie międzynarodowym co skończy się zarówno dla Rządu jak i dla Rady Politycznej — brakiem uznania. Czyżby zatem groziło nam, że nie odbudujemy armii i wytrwamy w razie wojny, w neutralności? Osobiście nie wierzę w nasze "neutralne śluby".

Z generalizowaniem trzeba być bardzo ostrożnym. Również nie we wszystkich wypadkach zostałem upoważniony do cytowania nazwisk. Niemniej sędzę, że można zaryzykować pogląd, iż neutraliści stanowią "śmietankę" naszej inteligencji — element intelektualnie stojący najwyżej.

Jedno jest pewne. Daleko więcej byłoby entuzjazmu do odbudowy armii w r. 1945 czy 1946 — niż dziś.

"Za mojego życia nie chcę żadnej wojny ani żadnego woj-ska" — pisze jeden z Czytelników.

W imieniu ilu setek, a może i tysięcy mówi ten głos?

Juliusz MIEROSZEWSKI

PRZEDSTAWICIELEM KULTURY
I INSTYTUTU LITERACKIEGO
NA W. BRYTANIĘ JEST

„GRYF” Publications Ltd.

169/171, Battersea Church Road, London S.W.11

Tel. BATtersea 0879

We wszelkich sprawach związanych z prenumeratą „Kultury”, zamówieniami książek itp., prosimy zwracać się do wymienionej firmy

Sprawy krajowe

Wzrost ludności w Polsce

W początkach kwietnia roku bieżącego ogłoszono w Polsce tymczasowe wyniki ogólnego spisu ludności, przeprowadzonego w dniu 3 grudnia 1950 r. Komunikat Głównego Urzędu Statystycznego jest bardzo krótki i zawiera niewiele danych. Trzeba będzie poczekać do ogłoszenia bardziej szczegółowego sprawozdania, aby móc przeprowadzić analizę wyników spisu. Tymczasem już teraz przyciąga naszą uwagę cyfra ludności Polski w końcu 1950 r. Wynosiła ona wg. spisu 24.977 tys. osób, a więc osiągnęła prawie 25 milionów. Jest to cyfra niemała. Mimo wszelkich katastrof naród polski pozostał jednym z najliczniejszych w Europie. Z zawieruchy drugiej wojny wyszliśmy niewiele słabsi liczebnie niż po pierwszej wojnie. Wówczas ludność Polski stanowiła ok. 27 milionów. W tej liczbie był pokaźny procent mniejszości narodowych.

Sądzę, że będzie to pożytkiem dla wielu czytelników "Kultury" jeśli przytoczę kilka cyfr dotyczących obecnej sytuacji ludnościowej w Polsce. Ludność, jej ilość i ogólnie mówiąc "jakość" jest przecież fundamentalnym zagadnieniem, pierwszym spośród wielkich zagadnień gospodarczych, społecznych i politycznych.

Zadaniem tej notatki nie jest dokładna analiza sytuacji demograficznej w Polsce. Taka analiza nie jest zadaniem łatwym, a przede wszystkim byłaby rozprawą techniczną, męczącą dla czytelników. Dlatego też ograniczymy się tylko do wskazania niektórych najważniejszych zagadnień demograficznych.

Tab. 1 podaje sześć największych pod względem liczby ludności krajów europejskich. Polska była przed wojną piątym z kolei krajem z ludnością przekraczającą 34 miliony. Po wojnie zostaliśmy niewiele wyprzedzeni przez Hiszpanię. Polska stoi też pod względem liczby ludności na granicy krajów dużych i małych. Za nami idzie Rumunia z ludnością ok. 16 milionów, Czechosłowacja ok. 13 milionów, a następnie cały sze-

reg małych państw jak Holandia, Węgry, Belgia po 9 milionów, aż do Danii, Finlandii, Szwajcarii, Irlandii, Norwegii, liczących od 3,5 do 4,5 milionów mieszkańców. Ludność Polski w 1949 roku stanowiła 6% całej ludności Europy. Niemcy w tym samym roku stanowili ok. 17% całej ludności, Anglia 12%, Włochy 11%, a Francja 10%. Oczywiście, liczba ludności nie mówi o bogactwie kraju i o jego znaczeniu dla całości Europy lub świata. Niemniej stwierdzić można, że jesteśmy narodem liczny i że prędzej czy później zajmiemy odpowiednie miejsce w skali europejskiej. 25 milionów ludności polskiej stanowi wielki problem europejski, a wraz z 80 milionami ludności 6-ciu innych krajów wschodnio-europejskich (w tym Wschodnich Niemiec) stanowi problem światowy, który w swoim czasie wypłyne prawdopodobnie na czoło zagadnień, które muszą być uregulowane.

TAB. 1 Ludność, powierzchnia i zagęszczenie ludności w 6 największych (wg. ludności) krajach europejskich.

	L u d n o ś ć ¹⁾					Powierzchnia w tys. km ² 6)	Zagęszczenie ludności na 1 km ²	
	1937 ²⁾	1947	1948	1949	1950		1948	1950
Polska	67,8	66,0	67,3	67,6	68,8	353,4	191	195
Hiszpania ⁶⁾	47,3	49,6	50,1	50,4	50,6	244,0	205	207
Włochy	41,2	41,3	41,8	42,2	42,6	551,0	76	77
Francja ⁵⁾	42,4	45,8	45,7	46,0	46,4	301,0	152	154
W. Bryt.	25,0	26,8	27,2	27,5	27,8	503,1	54	55
Niemcy ⁴⁾	34,4	23,7	23,9	24,4	24,8	311,7	77	80

Uwagi:

- 1) szacunki dotyczące połowy roku.
- 2) dane tej kolumny dotyczą obszarów państwowych przedwojennych.
- 3) granice powojenne
- 4) z wyłączeniem D.P. w obozach.
- 5) z wyłączeniem Saary i dodaniem sił zbrojnych poza krajem.
- 6) z poprawką dla lat 1947 i 1948.

Źródła: Annuaire Statistique O.N.U., 1949 - 1950, str. 24. Dla lat 1949 i 1950 szacunki statystyczne poszczególnych krajów.

Zagęszczenie ludności w Polsce jest niewielkie w porównaniu z wieloma krajami europejskimi. Szczególnie nieprzyjemny jest dla nas fakt ciśnienia ludnościowego w sąsiednich Niemczech. Sytuacja nie jest tak tragiczna, jak głosi propaganda niemiecka. W Belgii żyje na 1 km² 280 ludzi, w Holandii 291, w rdzennej Anglii i w Walii 288 i nikt nie mówi w tych

krajach o katastrofie przeludnienia. Niemniej znaczne różnice w zagęszczeniu krajów sąsiadujących nie są na długą metę zjawiskiem pożądanym. Polska należy dzisiaj do krajów najmniej zaludnionych w Europie. Nie licząc wyjątkowych wypadków jak Finlandia, Szwecja i Norwegia, gdzie zagęszczenie ludności na km² waha się w granicach od 10 do 15 ludzi na km² jest tylko niewiele krajów, które posiadają mniejsze zagęszczenie niż Polska. Do nich zaliczały się w 1948 r. Francja 76 mieszkańców na km², Rumunia 67, Grecja 59 i Hiszpania 54.

Nie ma obawy przed przeludnieniem w Polsce. Przeciwnie, na dłuższą metę w miarę uprzemysłowienia kraju może zaistnieć zjawisko braku siły roboczej. Tym bardziej ważny jest dla naszego kraju przyrost naturalny. Jeśli będzie utrzymywał się na tym samym poziomie co w ciągu ostatnich lat to potrzeba nam będzie około 12 lat aby dojść do przeciętnego zaludnienia 100 ludzi na km², tzn. do zaludnienia jakie w obecnej chwili przeżywa w krajach europejskich. W interesie Polski jest, aby ludność jej wzrastała jak najszybciej. Zagęszczenie obecne Polski, choć jest niższe od szeregu innych krajów europejskich i niższe od poziomu, który chcielibyśmy widzieć, nie daje usprawiedliwienia tezie niemieckiej o pustce demograficznej za linią Odry i Nisy. Należy tu przypomnieć, że zagęszczenie ludności na km² we Francji jest niższe niż obecnie w Polsce. Nie jest to na pewno argumentem dla ekspansji niemieckiej za Ren.

Dla przyszłego rozwoju ludności jest rzeczą niezmiernie doniosłą, aby obecna struktura wieku ludności zapewniała ten rozwój. Chodzi mianowicie o posiadanie licznych grup ludności w sile wieku zdolnej do pracy i do rozmnażania się, jak również posiadanie silnych grup ludności w wieku dziecięcym i młodzieżowym. Strukturę ludnościową Polski wg. wieku przedstawia tabela 2.

TAB. 2 Struktura ludności w Polsce według wieku

Rok	Ogółem mil.	Ogółem w %	GRUPY WIEKU									
			0 — 4		5 — 9		10 — 14		15 — 19		20 — 29	
			30	40	30	40	30	40	30	40	30	40
1921	27,4	100	10,1	11,5	13,8	12,2	16,8	11,4	9,3	7,7	7,2	7,2
1931	31,9	100	12,4	12,4	8,6	9,5	19,7	13,3	9,3	7,0	7,8	7,8
1949 ¹⁾	24,2	100	10,2	8,5	9,6	10,1	17,9	13,7	13,6	8,3	8,1	8,1

Uwagi: 1) 1 stycznia 1949

Źródło: "Mały Rocznik Statystyczny" 1939, str.

"Wiadomości Statystyczne", Warszawa, maj 1950.

Z tej tabeli widzimy, że struktura wieku w Polsce jest korzystna. 55% ogółu ludności jest w wieku od 15 do 50 lat, a 30% w wieku od 20 do 40 lat. Ta struktura daje podstawę do twierdzenia, że przyrost naturalny w przyszłości nie powinien maleć. Z tabeli widać również, że ludność Polski "postarzała się" w wyniku wojny. W 1931 r. grupy wieku od 0 do 10 były liczniejsze, a grupy wieku od 40 lat w górę mniej liczne niż obecnie. To starzenie się nie jest zjawiskiem niepokojącym. Grupy w sile wieku utrzymują się nadal na pierwszym miejscu. Zresztą w miarę polepszania warunków życiowych istnieje we wszystkich krajach europejskich tendencja do przedłużania życia ludzkiego. Ciekawą rzeczą jest mały procent dzieci w wieku od 5 do 9 lat. Jest to ilustracja zmniejszenia się liczby narodzin w latach 1940 - 1944, a przede wszystkim większej śmiertelności niemowląt i dzieci w tym okresie czasu.

Dynamizm rozwoju ludności w Polsce przedstawia tabela 3. Dzieli się ona na dwie części: do roku 1938 i po roku 1947. Czytając tę tabelę należy pamiętać, że przedstawia ona "dwie różne Polski", a więc i różne pod względem ilości i składu ludności. Urodzenia i zgony przedstawia się w proporcji do 1000 mieszkańców. Umożliwia to porównanie dynamizmu wzrostu ludności w całym okresie czasu wziętym, pod uwagę.

TAB. 3 Urodzenia żywe i zgony w Polsce na 1000 ludności

Rok	Urodzenia żywe	Zgony	Nadwyżka urodzeń żywych nad zgonami	Zgony niemowląt na 100 urodzeń żywych ¹⁾
1920	32,2	27,0	5,2	
1925	35,2	16,7	18,5	
1930	32,5	15,5	17,0	14,2
1935	26,2	14,1	12,1	12,7
1938	24,6	13,9	10,7	14,0
1947	26,1	11,2	14,9	
1948	29,1	11,1	18,0	11,6
1949	28,8	11,5	17,3	9,8

Uwagi: 1) dane dotyczące zgonów niemowląt (do 1 roku życia) są orientacyjne. Właściwa rejestracja w tym względzie była przed wojną prowadzona w Polsce tylko w dzielnicach zachodnich kraju. W latach powojennych dane dotyczą województw poznańskiego, pomorskiego i gdańskiego.

Źródła: "Mały Rocznik Statystyczny", Warszawa, 1939, str. 43.
"Wiadomości Statystyczne", W-wa, maj 1950, str. 20.

Z tabeli widać, że ilość narodzin w Polsce pomiędzy 1947 a 1949 utrzymuje się na poziomie lat 1932 - 1934 a jest znacz-

nie niższa niż w latach 1922 - 1931. Na tym odcinku nie wiadać, aby obecny system polityczny w Polsce przyczynił się do wzrostu liczby narodzin, a więc do wzrostu zamożności, pewności bytu i zaufania w przyszłość ludności polskiej. Wzrost ten jest obecnie nieco wyższy niż był w latach bezpośrednio poprzedzających wybuch wojny światowej. Wydaje się jednak, że czas obserwacji jest jeszcze za krótki, aby móc z pewnością stwierdzić jakie czynniki wpłynęły na obecne zwiększenie ilości narodzin w stosunku do lat 1934 - 1938.

Należy mieć na uwadze, że w roku 1934 - 1938 weszły w wiek małżeństw grupy ludności od 20 - 25 lat tj. ludności rodzącej się w latach pierwszej wojny światowej. Byłoby zjawiskiem naturalnym pewne zmniejszenie liczby urodzin przypadające na te właśnie grupy.

Natomiast niewątpliwym postępem w stosunku do przedwojny jest zmniejszenie liczby zgonów. Fakt ten spowodowany jest głównie zmniejszeniem ilości zgonów niemowląt do 1 roku życia. Śmiertelność niemowląt w Polsce przed wojną przynosiła wstyd naszej służbie sanitarnej. Pod tym względem wlekliśmy się w ogonie państw europejskich. Gorzej niż u nas było w r. 1938 tylko w Rumunii (18 na 100) i Bułgarii (15 na 100). Sytuacja była dla Polski tym bardziej kompromitująca, że liczba zgonów niemowląt na 100 urodzeń była w Holandii 3, Norwegii 4, Szwecji 6, Francji 6, Anglii 6, Niemczech 6, Czechosłowacji 10.

Pod tym względem osiągnięto w Polsce powojennej znaczny postęp. Niestety, dane publikowane przez Główny Urząd Statystyczny nie pozwalają na pełną ocenę postępu. Rejestracja urodzeń i zgonów niemowląt w Polsce była i jest prowadzona dokładnie tylko w tych dzielnicach, w których istniały Urzędy Stanu Cywilnego. Były to dzielnice jak Poznańskie, Śląsk, Pomorze, gdzie poziom opieki lekarskiej i stan zdrowia ludności stał najwyższy. Dla innych części kraju dane dotyczące śmiertelności wśród niemowląt były niekompletne i łatane szacunkami. Dla Polski powojennej G.U.S. publikuje tylko dane dotyczące województwa Poznańskiego, Pomorskiego, Gdańskiego i Śląskiego, więc znów dla dzielnic pod względem opieki zdrowotnej uprzywilejowanych. Przyjmując dane G.U.S. dla roku 1948 i 1949 trudno jest nie wyrazić radości, że tragiczna liczba zgonów niemowląt zmniejszyła się z roku na rok. Oby jak najrychlej spadła jak najniżej. Spadek śmiertelności niemowląt do poziomu 9,8 na 100 urodzin w 1949 choć jest niewątpliwym osiągnięciem w stosunku do przeszłości, nie jest jednakże tytułem do chwały.

Nie znane są tymczasem cyfry dotyczące tej sytuacji w innych krajach Europy Wschodniej w roku 1949 jednakże w Europie Zachodniej nasza cyfra pozostaje nadal kompromitująca. Bije nas w niesławnym wyścigu tylko Portugalia (11 zgonów na 100 urodzeń). Ważniejsze kraje Europy są znowu daleko przed nami. Niektóre w międzyczasie zmniejszyły w dalszym

ciągu śmiertelność niemowląt. Tak np. Anglia pokazała światu, że w ciągu kilku lat tylko, i to lat wojny, potrafiła zmniejszyć śmiertelność z liczby 6 na 3 na każde 100 urodzeń. Poniżej tej cyfry udało się zejść w 1939 r. zdaje się tylko Szwecji, Holandii i Norwegii.

Zmniejszenie śmiertelności ogólnej wpływa najprawdopodobniej z zmniejszenia śmiertelności niemowląt. Dane dotyczące śmiertelności ludzi dorosłych są zbyt nieliczne, aby móc powiedzieć coś pewnego na ten temat. Wydaje się jednak, że liczba zgonów ludzi dorosłych nie jest większa niż w latach poprzedzających wybuch drugiej wojny światowej.

Oczywiście, wojna w Polsce działała jak huragan w lesie. Słabsze drzewa padły pod podmuchami wichru. Przetrwały silniejsze. Ludzie słabsi powymierali. Może to być również powodem zmniejszenia śmiertelności w pierwszych latach po wojnie.

Ciekawy jest również fakt, że obecnie w Polsce przypada więcej urodzeń wśród kobiet znajdujących się w niższych grupach wieku niż przed wojną. Największa liczba urodzeń przypada na kobiety w wieku 25 - 29 lat. Jednakże podczas gdy przed wojną następną co do liczebności urodzeń była grupa kobiet 30 do 34 lat, to obecnie drugą najliczniejszą grupą jest grupa 20 - 24 lat.

Ludność Polski rozwija się w sposób pomyślny. Z roku na rok rosną nowe liczne generacje świadczące o tym, że naród nasz, mimo okropnych przejść, nie stracił na żywotności i dynamizmie rozwojowym. Oczywiście, korzystny rozwój będzie w Polsce przypisywany rządowi komunistycznemu, jeśli nie nauce Lenina - Stalina bezpośrednio. Z historii jednak Polacy wynieśli naukę, że bieżące fluktuacje polityczne będą swoją drogą, a życie narodu swoją. Istotną rzeczą jest, aby masa społeczeństwa polskiego rozwijała się korzystnie. Tymczasem tak właśnie się dzieje. Jest to objaw, który cieszy wszystkich Polaków bez względu na to, gdzie się znajdują.

J. KAMIŃSKI.

Sprawy i troski

Kronika emigracyjna

KRONIKA NIEMIECKA

Najważniejszym wydarzeniem dla Polaków w Niemczech była ostatnia uchwała Rady Naczelnej IRO o przedłużeniu działalności tej instytucji "aż do zupełnego wyczerpania funduszy". Tak przyzwyczajaliśmy się w Niemczech do groźenia zakończeniem działalności IRO, najpierw w r. 1949, potem w r. 1950, potem wreszcie w r. 1951, że wiadomość tę przyjęto na ogół z zadowoleniem, a wiele organów prasowych nie zastanawiając się wiele nad istotnym jej znaczeniem wyraziło swą radość. Tymczasem zagadnienie jest nieco bardziej skomplikowane. Trzeba przede wszystkim zacząć od tego, że obecnie istnieje tylko parę szczytkowych obozów, w których IRO udziela rzeczywiście pomocy uchodźcom i to wyłącznie na terenie Bawarii.

Na 1 listopada 50 r. w obozach IRO na terenie całej strefy amerykańskiej, łącznie z Bremą i Berlinem, znajdowało się 56.000 dipisów, a na 1 stycznia 1951 r. — 42.000. Obecnie pod opieką IRO jest ich mniej więcej 30.000. W strefie brytyjskiej i francuskiej wszystkich wysiedleńców przekazano władzom niemieckim. Poza tym, jeżeli idzie o pozostawionych pod opieką IRO w Bawarii, to trzeba zauważyć, że rzeczywiste koszty tej opieki pokrywane są z rachunku kosztów okupacyjnych, czyli przez Republikę Związkową niemiecką. Na terenie strefy okupacyjnej brytyjskiej położenie dipisów po przekazaniu ich gospodarce niemieckiej uległo poprawie przy równoczesnym obniżeniu obciążeń budżetu niemieckiego. Na terenie strefy amerykańskiej położenie dipisów nieznacznie się pogorszyło, ale oszczędności dla gospodarki niemieckiej były ogromne. Przy pewnym podciągnięciu zasiłków Opieki Społecznej można by te rzeczy łatwo wyrównać bez krzywdy dla niemieckich budżetów.

Czytelnik spoza Niemiec przyjmuje te informacje ze zdziwieniem. Nie można dość często powtarzać, że przyczyną wielkich obciążeń budżetu niemieckiego na rzecz dipisów pod opieką IRO było ogromne rozbudowanie aparatu administracyjnego. IRO stwarzało ogromną ilość posad i chciało utrzymać nieznosny system żywienia ludności obozowej jedzeniem z kotła i zaopatrywaniem jej w zakupywane hurtownie, a przeważnie nie nadające się do użytku artykuły odzieżowe, toaletowe itp. Niemcy przeważnie wybrały system wypłaty gotówkowej zasiłków, dużo bardziej odpowiadający dipisom. Wydatki żywienia z kotła utrzymano tylko w wyjątkowych wypadkach.

Jeżeli więc można jeszcze mówić o pomocy IRO, to pomoc ta ogranicza się do emigracji. Wykonuje się przy tym moc niepotrzebnej

roboty, gdyż na przykład badanie lekarskie odbywa się podwójnie przez lekarzy IRO i przez lekarzy kraju imigracyjnego. Badania irowskie są przeważnie niepotrzebne, gdyż decyduje i tak lekarz kraju imigracyjnego. Tylko niektóre kraje polegają na badaniach IRO.

Następnie IRO prowadzi obozy emigracyjne na przykład w Bremie i przy tak zwanych Resettlement Centre'ach, czyli biurach emigracyjnych. Są to jednak obozy przejściowe, do których po kilka razy wzywa się dipisów wraz z rodzinami, by ich potem znów odsyłać do miejsc stałego zamieszkania. Takie wędrówki łączą się z niesłychaną udręką, gdyż dziś pozostali w Niemczech należą do kategorii wapliwych pod względem zdrowia i muszą na badania lekarskie przyjeżdżać po kilka razy, przebywając za każdym razem po kilkaset kilometrów. Wynika to stąd, że mieszkańców poprzeczano z jednego kraju do drugiego, pozostawiając jednak właściwość dawnych ich ośrodków emigracyjnych.

Wreszcie działalność IRO polega na pokrywaniu kosztów podróży emigrantów. Informowano mnie, że koszt przejazdu dipisa do Ameryki w transporcie zbiorowym wynosi 200 dolarów od osoby. Tymczasem emigrantów niemieckich prywatne linie okrętowe przewożą już dziś za 150 dolarów, płatnych zresztą w walucie niemieckiej po kursie urzędowym. Kto ma jakie takie pojęcie o kalkulacji przewozu morskiego osób wie, że przy dostarczeniu linii okrętowej pełnej obsady pasażerów przez jednego klienta koszt powinien wynosić co najmniej o 30 procent mniej niż przy przewozie poszczególnych pasażerów, nabywających indywidualne bilety. Wynosi jednak w tym wypadku właśnie o 33 proc. więcej. Dlaczego, trudno wytłumaczyć, zwłaszcza biorąc pod uwagę fakt, że warunki przewozu transportów IRO są na ogół fatalne, a zdarzają się okręty, które w drodze po kilka razy się psują, jak na przykład osławiona "Liguria".

Wobec zredukowania zakresu działalności IRO można się było spodziewać znacznego zredukowania aparatu administracyjnego tej instytucji. Tymczasem stała się rzecz dziwna. W strefie okupacyjnej amerykańskiej od r. 1947 ilość dipisów w obozach IRO zmniejszyła się z 338.000 do 30.000. W tym czasie ilość personelu administracyjnego międzynarodowego, tj. tego, którego koszty opłaca IRO zmniejszyła się z 742 do 685. W tym samym czasie uposażenie personelu administracyjnego wzrosło, gdyż personel ten płatny jest z uwzględnieniem wysługi lat, czyli dziś przeciętnie pobiera wyższe uposażenie niż w r. 1947. Maszynistka "pierwszej klasy" pobiera uposażenie równe poborom niemieckiego ministra. (Dziś około 300 dolarów miesięcznie). Personel międzynarodowy powiększa również wydatki inne koszty administracyjne (mieszkania, samochody, szoferzy itd.). Obok niego IRO zatrudnia wielokrotnie więcej dipisów i Niemców. Dla nich obowiązują niemieckie stawki, płacone przez Republikę Związkową.

Kontrakty, zawierane z personelem międzynarodowym wygasły 1 maja br. Na podstawie uchwały Rady Naczelnej IRO kontrakty te ulegają automatycznie przedłużeniu co najmniej o rok, po czym wedle uchwał tejże Rady każdy pracownik międzynarodowy otrzymuje półroczne uposażenie urlopowe, nie mówiąc o zwrocie kosztów powrotu do kraju pochodzenia, co jest zrozumiałe, a także o zwrocie kosztów przewozu bagażu w ilości 11 ton na osobę. (Dipis może zabrać na koszt IRO 50 kg). Pobieżne obliczenia wykazują, że redukcja niepotrzebnej nadwyżki niezwykle kosztownego personelu międzynarodowego pozwoliłaby na zaoszczędzenie w ciągu roku w samej strefie amerykańskiej około 8 milionów dolarów, a łącznie z półroczną gratyfikacją 10 milionów dolarów. Wielkie oszczędności można by też przeprowadzić na kosztach personelu opłacanego ze źródeł niemieckich. Na terenie całych Niemiec należało by cyfrę oszczędności dolarowych podwoić. Rozwiązanie IRO oraz przekazanie pozostałych zadań i funduszy nowo obranemu komisarzowi dla spraw uchodźców pozwoliłoby temu ostatniemu na szerokie finansowanie akcji osadnictwa hard core'u, tj. nie nadających się do emigracji. Tymczasem pozostawiono ciężką i niezwykle rozbudowaną machinę IRO, określając

czasokres jej działania w charakterystyczny sposób... "aż do wyczerpania funduszków".

Komisarz Narodów Zjednoczonych przyjmujący opiekę prawną nad dipisami otrzymał jak dotąd do swej dyspozycji 200.000 dolarów od ONZ i 100.000 dolarów na studia nad zagadnieniem uchodźców od Fundacji Rockefellera. Ta ostatnia pozycja dotyczyć ma głównie studiów nad zagadnieniem uchodźców niemieckich. W świetle powyższych uwag wydaje się niestety słuszne twierdzenie, że w rzeczywistości ostatnie uchwały Rady Naczelnej IRO zmierzają ku "wyczerpaniu" przez administrację sum, które można by z powodzeniem zużyć na finansowanie osadnictwa hard core'u.

Konsekwencje

Trzeba tu parę słów poświęcić przyczynom i konsekwencjom tego stanu rzeczy. Niecelowość wydatków IRO i nadmierne koszty administracyjne tej instytucji są wynikiem prowadzenia całej działalności w oderwaniu od zainteresowanych i bez poważnych prób nawiązania z nimi współpracy. Przedstawicielstwa uchodźców były ledwie tolerowane. Zdobyć przez nie jakichkolwiek informacji było niezwykle trudne. Na konferencjach prasowych często w ogóle nie udzielano odpowiedzi na zadawane pytania.

Stan zupełnego odcięcia dipisów od wszelkiego kontaktu z opinią zewnętrzną był z powodzeniem utrzymywany i nie dość energicznie próbowano ze strony samych dipisów temu przeciwdziałać.

Chlubny wyjątek stanowiła strefa francuska.

Konsekwencją tego stanu rzeczy, znanego dobrze uchodźcom w Niemczech, jest błędna ocena intencji państw członków IRO przez dipisów. Przy pomocy sum przeznaczonych przez nie można by osiągnąć rezultaty bez porównania większe. Może to w pewnej sytuacji, jak to stale podkreśla prasa dipisowska, mieć swoje nieoczekiwane efekty polityczne.

Gruźlice i inwalidzi

Wiadomo, że wśród pozostałych w Niemczech ogromny odsetek stanowią inwalidzi różnego rodzaju. W miarę redukcji pomocy IRO wzrasta znaczenie samopomocy polskiej. Istnieje w tej dziedzinie różne instytucje, z których największy rozgłos zdobyła sobie Akcja Pomocy Chorym na Gruźlicę Polakom, która wydatkowała dotychczas około 230.000 DM. Akcję tę, jak swego czasu wspominaliśmy, prowadzą tzw. Szwadrony Lotnicze tj. wartownicy polscy przy lotnictwie amerykańskim. Finansują ją też Fundusz Społeczny Oddziałów Wartowniczych i Rada Polonii Amerykańskiej. Fundusz Społeczny Oddziałów Wartowniczych wypłaca poza tym zasiłki inwalidom wartownikom.

Najmniej stosunkowo pisano dotychczas o akcji na rzecz inwalidów Wojsk Polskich i AK. Tymczasem zasługuje ona na baczniejszą uwagę. Głównym źródłem finansowania pomocy stają się Koła AK i Inwalidów RP lub P.S.Z. w Stanach Zjednoczonych i w Kanadzie. Jeśli idzie o akcję pomocy dla Inwalidów AK, to w Niemczech jest ona skoncentrowana w rękach przedstawiciela Zarządu Głównego AK mgr. Jara. Jego biuro, prowadzące dokładną ewidencję inwalidów i pomocy im udzielanej, a także korespondencję z Kołami AK za Oceanem mieści się w pokoju sanatorium w Ambergu, a prowadzone jest przy pomocy dwojga innych gruźlików, byłych Akowców. Kosztów administracyjnych nie ma wcale — podobnie zresztą jak nie ma ich prawie wcale w Akcji Pomocy Chorym na Gruźlicę tudzież w Funduszu Społecznym Oddziałów Wartowniczych. Jest rzeczą niezwykle charakterystyczną, że przy tym pomoc materialna dla inwalidów AK oraz dla inwalidów Oddziałów Wartowniczych jest równa wartości pełnych świadczeń IRO dla mieszkańca obozu, pozostającego pod zarządem tej instytucji. W wypadku inwalidów WP

czy gruźlików jest to niemożliwe z powodu wielkiej ich ilości, ale już fakt, że przy milionowych budżetach IRO trzeba było przy pomocy pieniędzy, zbieranych ze składek, nabywać lekarstwa dla pacjentów irowskich sanatoriów ma swoją wymowę...

Zresztą nawet te sanatoria zostały już ostatnio przekazane władzom niemieckim i budżetu IRO obciążać nie będą.

Akcja przesiedlania gruźlików do sanatoriów w innych krajach wydała dotychczas nikłe rezultaty. Konkretnie Szwecja przyjęła 150 gruźlików i 150 członków ich rodzin, Szwajcaria przyjmuje obecnie 100 chorych i 100 członków ich rodzin. Izrael ma stopniowo przyjąć wszystkich Żydów-gruźlików. IRO wypłaca państwu przyjmującemu gruźlika 1000 dolarów i 250 dolarów za każdego członka rodziny. Stawka dla starców wynosi 500 dolarów, ale tylko pod warunkiem, że starcy ci będą umieszczeni w przytułkach, ale nie wraz z rodzinami.

Jaki jest cel tego nieludzkiego ograniczenia nie wiadomo. Podobnie na przykład rodziców namawia się do pozostawienia w Niemczech dzieci jeżeli te dzieci są źle rozwinięte.

Do wyjazdu do sanatoriów w Szwecji i Szwajcarii dobierano pacjentów w stosunku odwrotnie proporcjonalnym do wkładu danej narodowości w walce przeciw Hitlerowi i wprost proporcjonalnym do stopnia kolaboracji. Jest to bardzo pouczające.

Gdyby zastosowano kryterium proporcjonalnego udziału różnych narodowości według ich liczebności w sanatoriach IRO to na Polaków powinno być wypaść około 60 miejsc (bez członków rodzin). Ma pojechać jeden z dwoma członkami rodziny. (Muszę się dla ścisłości zastrzec, że pełnej listy wyjeżdżających do Szwecji nie widziałem, ale żadnego Polaka, wyjeżdżającego do Szwecji nie udało się polskimi organizacjom zidentyfikować). Wobec przyjęcia wyżej wymienionych kryteriów doboru jest to całkowicie zrozumiałe.

Przemundurowanie

Wartownicy pełniący służbę poza Niemcami zostają przemundurowani. Ostatnio przemundurowanie na zielono objęło także wartowników przy lotnictwie amerykańskim. Tylko tarcza biało-czerwona na ramieniu odróżnia wartownika polskiego od amerykańskiego lotnika.

Przypominają się czasy kryzysu mundurowego w 1946 roku, kiedy ubrano wartowników na granatowo. Wielkiemu rozgoryczeniu, jakie wówczas miało miejsce, nie towarzyszy obecnie proporcjonalnie wielkie zadowolenie. Zmianę koloru mundurów przyjmuje się z całkowitą obojętnością lub czasem nawet... bez zapału. Mundur granatowy wyrobił sobie w ciągu ostatnich lat swoją własną wartość.

Są rzeczy, które łatwiej jest zabrać niż zwrócić. Tak jest z wojskowym mundurem, tudzież z niektórymi imponderabiliami.

ZAST.

KRONIKA ANGIELSKA

Teoria p. St. Mackiewicza

St. Mackiewicz wystąpił na łamach londyńskich "Wiadomości" (Nr 246) z twierdzeniem, że Anglicy w marcu 1939 r. gwarantowali nam niepodległość — by ją zniszczyć.

Wypowiedź p. Mackiewicza "Dziennik Polski" skwitował żartem. Natomiast oficjalny "Orzeł Biały" rzecz potraktował serio, stwierdzając, że "jest to teoria, która znajduje wiele uzasadnień w faktach".

Według tej "teorii" Anglia planowała upadek Polski, by w ten sposób doprowadzić do styku sił niemiecko-sowieckich z czego wyniknąć musiała wojna i związanie Hitlera na wschodzie.

Twierdzenie p. Mackiewicza wydaje mi się całkowicie absurdalne

i pochlebia on Anglii przypisując jej, że już w r. 1938 miała gotowy taki "grand design". Ani tego, ani innego planu w 1938 r. nie było. Polityka europejska tego okresu nie wyłączała polskiej — była beznaście bezpłodna i bezplanowa. Cokolwiek by się powiedziało o katastrofalnym Monachium był to ostatni polityczny akt koncertu mocarstw europejskich i ostatnie polityczne wydarzenie wagi światowej, którego sceną była Europa. Wszystko po tej dacie idzie już jak lawina.

Angielska gwarancja dla Polski stanowiła klęskę dla polityki francuskiej. Było bowiem powszechnie wiadomo (zapewne również i p. Mackiewiczowi), że Anglia nie ma wojska. Gwarancja angielska była więc tylko obietnicą, że Francja (związana z Anglią) nie wystawi nas na sztych jak zrobiła to z Czechosłowacją. Kto rozumował inaczej, do "wishful-thinking" dodawał jeszcze "wishful-ignorance".

Cóż robił p. Georges Bonnet, francuski minister spraw zagranicznych w r. 1938 i 1939? Jego dwa tomy pamiętników dają w pewnej mierze odpowiedź na to pytanie.

Taktyka p. Bonnet'a zmierza do zapewnienia pomocy Sowietów. W dniu 10 kwietnia proponuje on sowieckiemu ambasadorowi, żeby rządy sowiecki i francuski ustaliły sprawę sowieckiej pomocy dla Polski i Rumunii i sugeruje ochotnie, że "następnie zdecydujemy jaką przyjąć politykę, gdy Rumunia lub Polska sowieckiej pomocy odmówią".

Sowiety wnioskując (nie bez przyczyn), że Polacy umocnieni gwarancją brytyjską odmówią pomocy Moskwy — naciskali na włączenie do rozmów Anglii. Od kwietnia do lipca toczą się te rozmowy.

Jak dziś wiadomo Sowiety żądały uznania ich hegemonii i wolnej ręki w Europie środkowo-wschodniej. Anglicy — cytując A.J.P. Taylora (historyka angielskiego Polśce nieprzychylnego), pragnęli kompromisu, który by zobowiązywał Rosję do pomocy militarnej jej sąsiadom, ale tylko na wyraźne żądanie zainteresowanych stron. Francuzi natomiast od początku gotowi byli zaakceptować żądania sowieckie.

Gdy wszystko zawiodło p. Bonnet zapewniał nadal, że Rosja nie może walczyć przeciw Niemcom, dlatego, że nie ma z nimi wspólnej granicy a upadek Polski granicę tę stworzy. Wówczas — sugerował p. Bonnet — będzie można wskrzesić sojusz francusko-rosyjski.

Proponowany zamach stanu

Płk. Antoni Bogusławski w audycji BBC (8 kwietnia br.) opowiadając o spotkaniu swym z gen. Władysławem Sikorskim we Lwowie w dn. 10 września 1939 r., stwierdził, że już wówczas proponowano gen. Sikorskiemu dokonanie zamachu stanu, ale że generał propozycję tę odrzucił.

W odpowiedzi na list Dr J. Stankiewicza ogłoszony w prasie londyńskiej płk. Bogusławski oświadczył, że nic nie może dodać do podanych w radiowym referacie informacji, gdyż gen. Sikorski nie wyjawiał mu, kto przedłożył propozycję zamachu stanu.

Dr J. Stankiewicz zwrócił słusznie uwagę, że informacje płk. Bogusławskiego pokrywają się z relacją marsz. Rydza Śmigłego, spisanej 24 grudnia 1939 r. w Rumunii, którą cytuje płk. R. Umiastowski w swojej książce pt.: "Bitwa Polska".

Według płk. Umiastowskiego marsz. Śmigły Rydz był w posiadaniu wiadomości o planowym zamachu stanu, który przygotowywać miała już w pierwszych dniach wojny pewna grupa politycznej i wojskowej opozycji.

Kto był autorem tych planów, skąd wyszła inicjatywa — od Polaków czy od obcych (czy w porozumieniu z obcymi) — historia milczy. Jest to jeszcze jeden przykład jak mało wiemy o dramacie, którego byliśmy uczestnikami.

W brytyjskiej Izbie Gmin o P.K.P.R.

Minister Ede w odpowiedzi na zapytanie posła Labour Party p. Win-

terbottom wyjaśnił, że do dnia 31. III. br. 7978 b. żołnierzy PKPR złożyło podania o naturalizację. Do tej pory przyznano obywatelstwo 4850 b. żołnierzom PKPR.

Poseł Winterbottom zapytał również czy rząd uświadamia sobie, że wyłączenie Polaków ze służby wojskowej (obowiązującej rezerwistów) wywołuje niezadowolenie i czy zatem rząd nie powinien dopatrzeć by Polacy, będący członkami społeczeństwa brytyjskiego, wzięli na siebie również i obowiązki wynikające z tej przynależności.

Z wywiadu, jaki w tej sprawie przeprowadził "Dziennik Polski" wynika, że zagadnienie to leży w kompetencji Ministerstwa Obrony Narodowej.

Powyższe informacje wymagają pewnego komentarza. Po pierwsze, przedwcześnie są twierdzenia zarówno czynników brytyjskich jak i prasy polskiej, że tylko 7% b. żołnierzy PKPR przyjęło obywatelstwo brytyjskie. Rygorystycznie przestrzegany jest przepis, który mówi, że ubiegający się o naturalizację musi przenieść się w Anglii 5 lat. 80% b. żołnierzy 2 Korpusu Polskiego przybyło do Anglii 4 lata temu i dopiero w r. 1952 żołnierze ci będą mogli starać się o zmianę obywatelstwa. Jaki procent b. żołnierzy PKPR przyjął obywatelstwo brytyjskie o tym autorytatywnie będzie można mówić dopiero za 2 lata.

Druga uwaga dotyczy — istoty rzeczy. PKPR był precedensem — jak ważnym precedensem widzimy to dopiero dziś. Była to formacja armii brytyjskiej, a byli żołnierze PKPR'u korzystali ze specjalnego statutu, który wyróżniał ich spośród wszystkich innych grup cudzoziemskich. Trzeba powiedzieć, że jest rzeczą nie notowaną w historii angielskiej, by w czasie pokoju powoływano do służby wojskowej cudzoziemców. Jest rzeczą wysoce charakterystyczną, że sugestie powołania do służby wojskowej w czasie pokoju dotyczą tylko PKPR'owców i uznać należy za wykluczone, by sugestie te rozszerzono na innych cudzoziemców czy choćby na Polaków, którzy posiadają inny statut.

Poseł Winterbottom nie był pierwszym, który wystąpił z takim planem. Sugestie te są ważne, bo rzucają światło na tok rozumowania naszych gospodarzy. Zagadnienie to jest ważne, bo wiąże się bezpośrednio z możliwością ewentualnej odbudowy armii polskiej na Zachodzie.

Gdybyśmy zamiast dwóch ośrodków polityki polskiej mieli jedną poważną reprezentację polityczną — być może sprawę dało by się już dziś wyjaśnić i załatwić w rozmowach na odpowiednim szczeblu.

Tymczasem Rząd swoje — Rada Polityczna swoje, a Anglicy zrównają PKPR'owców w obowiązku powszechnej służby wojskowej (National Service) z obywatelami brytyjskimi. W razie wybuchu wojny — oczywiście.

I wówczas w biurach naszych londyńskich dygnitarzy zostaną tylko olbrzymie szafy pracowicie prowadzonych kartotek — jako jedyny ślad legendy...

POWIEDZENIA I OPINIE

Biedny Mac-Arthur

„Mac-Arthur działał jak czerwona płachta na jeszcze bardziej czerwone Sowiety. Rzucono go im na pożarcie”.

Zygmunt Nowakowski, "Dziennik Polski", Nr 93.

Potęga Niemiec

„Największą siłą dzisiejszych Niemiec są francuskie strajki i kryzysy gabinetowe oraz awantury emigracyjne uchodźstwa polskiego...”

Paweł Dunin, "Orzeł Biały", Nr 17/460.

Witos — Mikołajczyk — Bevin

„Prawdziwą pochodzenie z ludu, jak prawdziwa błękitna krew stwarza pewne mity, nimby, afekty i lojalności niewyrozumowane”.

W. A. Zbyszewski, "Wiadomości", Nr 266

Instytucja

„Redaktor „Wiadomości” — wyrocznia w literaturze i pyta w polityce, purysta językowy i erudyta, polemista i heraldyk, teatroman i gastronom, jest już nieomal instytucją”.

Bywalec, "Dziennik Polski", Nr 103.

Powietrze?

„Dla mnie pieniądz — powietrze”.

Janusz Jasieńczyk, "Kultura", Nr 4/42.

LONDYŃCZYK.

Z NOTATNIKA EMIGRANTA

Chciałbym, aby deszcz nie padał, gdy idę o świcie do fabryki na całodzienną pracę.

Aby było ciepło w domu.

Aby żona moja miała całe buty, a na wpół niewidoma Matka częściej kawałek czekolady, co jest jej jedyną przyjemnością.

By na wypadek choroby, bogaty przyjaciel z dawnych czasów (pamiętasz, Henryku?...) przysłał zza Oceanu 10 dolarów.

Abym mógł palić fajkę wtedy, kiedy chcę, a nie wtedy kiedy mogę.

Abym mój wierny owczarek pirenejski nie starzał się tak szybko.

I mieć trochę czasu „dla siebie”.

Gładzić miękkie futerko czarnego kota Mruczka, aby burczał jak nakręcona, mechaniczna zabawka, odmawiając pacierze.

Robić z białych hiacenty pachnące Wielkanocne baranki.

Czytać Don Kichota i oglądać „Tygodniki” sprzed laty.

Wierzyć tak jak wtedy, na wojnie, w obozie koncentracyjnym, że wszystko złe mija.

I tak jak kiedyś, w Warszawie w Łazienkach cieszyć się wiosną i pić czarną kawę w „Ziemiańskiej”.

Ale ja już jestem bardzo zmęczony, a zima tego roku nie ma końca i deszcze padają bez przerwy.

Wacław ZYNDRAM-KOŚCIAŁKOWSKI.

Najnowsza historia Polski

Bronię N. S. Z.

Szanowny Panie Redaktorze,

Na wstępie dziękuję za zamieszczenie w nrze 10/36 «Kultury» mojej odpowiedzi na atak pana Hirszhauta. Ponieważ jednak w tym samym numerze pojawiła się nie tylko wyjątkowo tendencyjna, lecz przede wszystkim krzywdząca i wyraźnie solidaryzująca się ze stanowiskiem pana Hirszhauta ocena N.S.Z., podpisana przez młodego ppor. A.K. p. Jana Lednickiego, zmusza mnie to do przesłania na ręce Pana Redaktora tym razem obszerniejszego materiału rzeczowego, jakim dysponuję z tego szczebla, na jakim działałem w ruchu podziemnym w okresie okupacji niemieckiej.

Przed wszystkim nie mogę się powstrzymać od wyrażenia głębokiego żalu i goryczy pod adresem osób określających swój stosunek do zagadnień N.S.Z.-tu w sposób, w jaki to uczynił p. Lednicki. Boć przecież Narodowe Siły Zbrojne to nie tylko kilkudziesięciotysięczna grupa Polaków, lecz zwłaszcza w końcowym okresie okupacji, to szeroko rozprzestrzeniona organizacja podziemna, w swym składzie reprezentująca pełny społeczny przekrój Kraju, w szeregach której był chłop, robotnik, inteligent, ziemianin i ksiądz, byli podoficerowie i oficerowie zawodowi i rezerwy, byli żołnierze wszystkich rodzajów broni, analogicznie zresztą do Armii Krajowej, to organizacja, mająca swoją historię działalności politycznej i wojskowej. Przy takim ujęciu sprawy zagadnienie Narodowych Sił Zbrojnych stanowi zbyt obfity a przy tym w wielu szczegółach jeszcze nazbyt trudny do obiektywnego ustalania materiał choćby ze względu na obecną sytuację w Kraju, bym się kusił dokładnie go opracować. Jednak wobec zaszeregowania przez p. Lednickiego żołnierzy N.S.Z. do grona «bandytów» i «zdrajców», zmuszony jestem stanąć w obronie nie tylko honoru własnego, honoru żołnierzy i dowódców N.S.Z., lecz przede wszystkim w obronie honoru tych, którymi przez trzy lata dowodziłem, a którzy całkowicie

mi zaufali. Nie mogę przy tym zgodzić się na bezczeszczenie pamięci tych żołnierzy-bohaterów, którzy zraszając własną krewią liczne pola bitew i ścieżki partyzanckie złożyli swe młode życia na ołtarzu Ojczyzny właśnie w walkach z żandarmerią niemiecką, S.S. i Gestapo.

Bo zastanówmy się, czy byłoby do pomyślenia, aby wobec panujących nastrojów w społeczeństwie polskim podczas okupacji niemieckiej, kilkadziesiąt tysięcy Polaków, związanych konspiracyjnie i partyzantów było kolaborantami? Załóżmy, że w Komendzie Głównej N.S.Z. dobrali się sami zdrajcy. Czy zatem Trynascie Komend Okręgowych tolerowałyby współpracę Komendy Głównej z Niemcami? A dalej, czy sto dwadzieścia Komend Powiatowych słuchałoby i wykonywałoby rozkazy ludzi, którzy działają wyraźnie na szkodę Narodu? Czy jakikolwiek oddział partyzancki, składający się z żołnierzy i uczciwych Polaków dałby się prowadzić przez dwa lub trzy lata dowódcy, który rzeczywiście zasługiwałby na miano bandyty i kolaboranta? Na pewno nie, gdyż oddział taki albo dokonałby samosądu nad dowódcą-zdrajcą lub przy najłagodniejszym załatwieniu sprawy rozleciałby się w ciągu kilku dni.

Czy zatem doprawdy p. Lednicki wierzy w to, że w N.S.Z. dobrało się siedemdziesiąt tysięcy łobuzów, bandytów gestapowskich agentów i kolaborantów?

Jeżeli tak, to musiałaby być tego przecież jakaś przyczyna.

A może wiązałem, które tak mocno związało «bandę» N.S.Z. były miraż kariery, sny o awansach i odznaczeniach, a później nadzieje na znakomite i wpływowe stanowiska? Czy można o to posądzać ludzi, którzy trwali uparcie w N.S.Z. z pełną świadomością, że tylko przynależność do A.K. dawała legitymację legalizmu? A może żołnierz w N.S.Z. trzymał się uparcie swojej organizacji dlatego, że nigdy nie otrzymał z rzutów ani jednej sztuki broni, w przeciwieństwie do A.K.? Przecież nadzieje uposażeń też nie mogła decydować o przynależności do N.S.Z., bowiem wszystkie pieniądze z Londynu szły do A.K., a N.S.Z. nigdy nie otrzymały ani grosza.

Wymienione trzy momenty to jest zagadnienie legalizmu, uzyskiwanie broni z rzutów i dopływ pieniędzy sprawy, że byli tacy, którzy przeszli z N.S.Z. do A.K. Działo się to przede wszystkim w marcu 1944 r., kiedy tak zwana umowa scaleniowa, zawarta między N.S.Z. a A.K. nie mogła być wykonana na skutek tego, że A.K. żądała rozwiązania szeregów N.S.Z. pomimo, że umowa tego nie przewidywała. Wówczas to N.S.Z. zmniejszyły się liczebnie, lecz zawarły bardziej ideologicznie.

N.S.Z. pragnęły być legalne i chciały podporządkować się dowódcy A.K., pragnęły jednak zachować swoją odrębność organizacyjną, przewidując, że jeżeli zostaną rozwiązane i wcielone w szeregi A.K., stracą zdolność działalności politycznej, skierowanej przeciw wówczas widocznym już tendencjom ówczesnego «apeasementu» w stosunku do zbliżającego się zagadnienia sowieckiego. Widomym tego objawem miało być później powsze-

chne ujawnianie się A.K. władzom sowieckim i nie wiadomo na czym budowana wiara czynników decydujących o wybuchu powstania warszawskiego, w przyjaźń i prawdziwą szczerość «sojusznika» wschodniego. Jasne więc jest, że N.S.Z. stawiała na zwycięstwo aliantów, a na klęskę Niemców, podobnie zresztą jak A.K. Różnica w poglądach polegała jednak na tym, że A.K. zaliczała Rosję Sowiecką po prostu do rzędu państw alianckich, podczas gdy N.S.Z. Rosję od początku wojny traktowała jedynie jako *chwilowego* alianta naszych aliantów.



Pan Lednicki nie jest wyjątkiem w oskarżaniu N.S.Z. o współpracę z Niemcami. Specjalnie — jeżeli chodzi o zarzuty kierowane w moją stronę — pod tym względem wyprzedzali go komuniści, a później lubliniacy, a nawet A.K.

Wobec tego, że p. Lednicki podjął się roli prokuratora, aby zatem pomóc czytelnikowi w wyrobieniu sobie sądu o oskarżonym, na wstępie pozwolę sobie przytoczyć trochę własnej biografii.

Jestem synem chłopą, wychowany w biedzie i niedostatku. Rodzice byli bardzo pobożni i wielcy patrioci. Gdyby nawet sięgnąć do najdalszych pokoleń w rodzinie mojej nie można by było doszukać się domieszki kropli krwi germańskiej. Do wojny nie należałem do żadnej partii politycznej. Wychowany byłem raczej w kulcie do osoby śp. Marszałka Piłsudskiego. Trzej starsi bracia, wszyscy legionści — jeden kapitan zawodowy. Służbę wojskową odbywałem w Marynarce Wojennej. Od 1935 r. do wojny pracowałem w Ministerstwie Komunikacji. Kampania wrześniowa — odcinek gdyński.

W dniu 18 września — niewola, z której wydostałem się przed wywiezieniem do Niemiec. Wówczas wróciłem na wieś do domu rodzinnego i jak na ogół każdy Polak, rwałem się do działalności konspiracyjnej. Pierwsze komórki, na jakie się natknąłem, były N.O.W. I tam też złożyłem przysięgę. Gdyby los zarządził inaczej, również dobrze mógłbym być znaleźć się w Z.W.Z. lub w B.Ch. W tym okresie zostaje aresztowany mój starszy brat za działalność konspiracyjną w Z.W.Z. i po kilku miesiącach ginie w Oświęcimiu. W marcu 1943 r., gdy uciekłem przed aresztowaniem, przeniesiony zostałem do Częstochowy. Na punkcie czekałem około dwóch tygodni. Nikt z organizacji po mnie się nie zgłaszał. Wtedy był rozłam w N.O.W., o którym nie wiedziałem. Przez «Zosię» zostałem skontaktowany z bojówkarzami «Zdzisławem» i «Maciejem». Ci zaś skontaktowali mnie z por. «Tomaszem» — szefem sztabu tamtejszej Komendy Okręgu N. S.Z. Ten zaproponował mi organizowanie bojówek w powiecie włoszczowskim. Propozycję przyjąłem bez wahania. Bezpośrednim moim przełożonym był por. «Esmar» — Okręgowy Komendant Dywersji i Egzekutywy. Po zorganizowaniu bojówek w kilkunastu wsiach, Komenda Okręgu nie dawała mi po prostu wytechnienia. Przeprowadziłem szereg drobniejszych akcji i wyroków w Częstochowie, Radomsku, Włoszczowie, Kielcach i w po-

wiatach tych miast. W czerwcu 1943 r. zostałem zamianowany Okręgowym Komendantem Dywersji i Egzekutywy w Częstochowie. Dnia 24 lipca 1943 r. zostałem aresztowany na godzinę przed wyjazdem służbowym na teren powiatu włoszczowskiego celem poskromienia rozhulanych bojówkarzy. Po bardzo ciężkim śledztwie i w obawie przed załamaniem się, powiesiłem się w celi więziennej na Zawodziu w nocy z 27 na 28 lipca. Los chciał, że nie sążone mi było wtedy umrzeć. W dniu 22 sierpnia 1943 r. wieziony byłem transportem do Oświęcimia. W nocy, tuż za Mysłowicami, przy pomocy trzech współwięźniów dokonałem zamachu na konwojujących nas w wagonie dwóch uzbrojonych gestapowców. Wydostawszy się na wolność i po powrocie na teren częstochowski, dostałem rozkaz zorganizowania oddziału i przejścia z nim na stałe do lasu. Zacząłem od 32 ludzi uzbrojonych w stare, zardzewiałe karabiny, mając po dziesięć sztuk amunicji na k.b. i przynajmniej co trzeci niewypał. Nie sposób mówić tu o wszystkich kolejnych akcjach, potyczkach i poważniejszych walkach, o trudach, znojach i niewygodach, o pladze oddziałów partyzanckich, jakimi były świerzb i wszy. Można by o tym wszystkim napisać tomy. Nie sposób przedstawić w kilku zdaniach ogromu zadań i wielkiej odpowiedzialności dowódcy, który musiał myśleć o każdej sprawie; o butach, mundurze, naboju i bieliznie, o wyżywieniu, wychowaniu i szkoleniu żołnierza, o lekarstwach, rannych i zabitych. Dowódca był w jednej osobie wychowawcą i opiekunem, przyjacielem i sędzią, obrońcą i prokuratorem. Zastępował ojca, bywało księdza i lekarza. Ponościł odpowiedzialność za oddział, a w dużym stopniu i za ludność okoliczną. Musiał bowiem być bardzo ostrożny, aby nieopatrznym czynem nie spowodzić na nią nieszczęścia.

Ze względu na mały stan, słabe uzbrojenie i brak amunicji, jesień 1943 r. i zimę 43-44 przetrwałem tylko w lasach. Nowi ludzie napływają. Stan oddziału rósł z dnia na dzień, a uzbrojenia i umundurowania było wciąż brak. Podkreślam, że przez cały okres, tj. od kwietnia 1943 r. do sierpnia 1945 r. nie otrzymałem znikąd ani jednej sztuki broni ni naboju, ani jednego grosza pieniędzy, ni jednej koszuli. Pod tym względem w jakże lepszej sytuacji były oddziały A.K., które wiele zaopatrzenia otrzymywały drogą zrzutów. Broń i amunicję musiałem zdobywać, a o bieliznę i o ubranie żebrać. Społeczeństwo na ogół dawało chętnie. Z czasem jednak, kiedy nasilenie oddziałów było duże, zachodziły wypadki, że trzeba było rekwirować.

Pierwsze zasilenie w broń uzyskałem z rozbrojenia kolonii niemieckiej Marianów pod Małogoszczą we wrześniu 1943 r. Walka z Niemcami przy gajówce Czarna Różga pod Mojżeszowem, w koneckim, dała 9 k.b. Było to w październiku 1943 r. Zostają wówczas ranni tam kpr. «Dąb» i strz. «Sosna». W walce z Niemcami pod Wydartuchami—Lelów—włoszczowskie dnia 3 grudnia 1943 r. ginie śp. ppor. «Zawisza» z Oleszna, a ranny zostaje kpr. «Owies». W walce tej tracę 1 r.k.m. i 2 k.b. W tym czasie przechodzę na stałe zimowe m.p. w lasy Niemojowskich

na pograniczu powiatów włoszczowskiego i koneckiego. W pobudowanych szałasach z gałęzi i siana kwateruję tam do marca 1944 r. Oddział liczy już 120 ludzi, 12 koni wierzchowych i 6 taborowych.

W końcu stycznia 1944 r. wysłałem 4 ludzi po owies do wsi Ciemiętniki, odległej około 20 km. od bazy leśnej. We wsi Rudka—włoszczowskie, w zasadzce urządzanej przez Niemców z patrolu tego zabity został sierżant «Jurek» i st. strz. «Lis», ciężko ranny kpr. «Iks» i st. strz. «Jeleń». Raport rannych brzmiał: we wsi Rudka wstąpili do gospodarza Prokopa. Fura została przed domem. Po kilkunastu minutach opuścili dom. Odjechali zaledwie sto metrów, kiedy ze wszystkich stron posypały się strzały z broni maszynowej. Konie poniosły. Ranni spadli z wozu i pod osłoną nocy przez ogrody wyczołgali się za stodoły. Niemcy aresztowali kilka osób z rodziny Prokopa i najbliższego sąsiada. Inni, a wśród nich Prokop, zdołali uciec. W następnym dniu rano Niemcy przyjechali powtórnie. Obrabowali gospodarstwa doszczętnie i zapowiedzieli sołtysowi, że jeżeli Prokop i pozostali członkowie wymienionych rodzin nie zgłoszą się na posterunku żandarmerii w Kluczewsku, to aresztowani zostaną rozstrzelani, a gospodarstwa ich spalane.

Można sobie wyobrazić rozpacz Prokopa. Robiłem sobie wyrzuty, że całej jego tragedii ja jestem winien, choć patrol nie powinien był zajechać do Prokopa, gdyż Rudka nie leżała na trasie baza—Ciemiętniki. Patrol własnowolnie zboczył, aby choć na chwilę ujrzeć piękną córę Prokopa. Bijąc się z myślami, ostatecznie jednak dochodziłem do stwierdzenia, że gdyby mnie nie było — nie byłoby oddziału, a więc nie byłoby i tego nie-szczęścia. Ostatecznie źródło winy odnajdowałem w sobie. Byłem bezsilny. Bo i cóż mogłem pomóc, czy poradzić? Uderzyć na posterunek żandarmerii w Kluczewsku...? Murowany budynek szkolny. Wokoło zasieki z drutu kolczastego, rowy strzeleckie i stanowiska na c.k.my. Zresztą można było przypuszczać, że aresztowani zostali zaraz wywiezieni dalej. Każda kontrakcja udana czy nieudana przyspieszyłaby tylko ich śmierć. Narady z oficerami i żołnierzami nie dawały wyników, każdy bezradnie opuszczał ręce.

I oto błysnęła mi myśl... A gdyby tak wysłać list do dowódcy żandarmerii w Kluczewsku... list z pogrózkami? Znowu narada. List wysłałem pisany po polsku na maszynie. Zagroziłem mu, że zasadzką pod Rudką i zamordowaniem mi dwóch żołnierzy wydał sam wyrok śmierci na siebie, że nawet nie będzie się spodziewał, kiedy spadnę im na łby i wyrąbię do nogi. List podpisałem własnym pseudonimem.

Już po dwóch dniach pojawiły się u okolicznych sołtysów listy adresowane do mnie. Dnia 3 lutego 1944 r. podjąłem taki w Olesznie. W liście tym dowódca żandarmerii Hptm. Huste tłumaczył się, że to nie on przeprowadzał zasadzkę, że leżał w tym czasie w szpitalu w Jędrzejowie. Zaproponował mi spotkanie

9 lutego, o godz. 2 pp. pod Kluczewskiem. Prosił, aby się nie ubezpieczać i ręczył za moje bezpieczeństwo.

Po długich naradach i wahaniach, mając jedynie na uwadze los dwóch rodzin z Rudki, wysłałem gońca z kartką, w której ze zrozumiałych względów ja wyznaczyłem czas i miejsce spotkania.

Po prostu nie ufałem zapewnieniom niemieckim. Oddział mój rozłożyłem na stanowiskach ogniowych pod wsią Brygidów, żandarmeria zaś leżała pod Stojewskiem. Spotkanie odbyło się na przedpolu oddziałów. Mnie towarzyszył por. Harry—Anglik i pdcpr. Harnaś. Sam Huste spóźnił się, natomiast przysłał na oznaczony czas swojego zastępcę. Może obawiał się wysuwać siebie na pierwszy ogień? Huste przedstawił się jako Austriak. Okazał zaświadczenie ze szpitala w Jędrzejowie z datą pokrywającą się z zasadzką na Rudce. Powiedział, że współczuje Polakom i chce im pomóc. Oświadczył mi, że Gestapo zna moje nazwisko. Kiedy zaprzeczyłem, wyjął notes i odczytał mi je. Był pan aresztowany — powiedział — i uciekł z transportu. Ten żandarm, którego pan wyrzucił z wagonu zabił się... Byłem ciekawy poznać pana. Przyrzekł, że zrobi wszystko, aby zwolnić aresztowanych z Rudki. Następnie prosił, abym w jego rejonie nie robił awantur. Obiecałem nie prowokować. Rannych radził umieścić w miejskim szpitalu we Włoszczowie.

Z Hustem nie rozmawiałem więcej...

Rzeczywiście, po dwóch dniach aresztowani z Rudki byli wolni, a inwentarz i cały majątek zwrócony.

W okolicy zawrzało. Wykorzystali to przede wszystkim komuniści. Żbik zdradca, współpracuje z Niemcami. Jeśli chodzi o A.K., najbliżsi w terenie znali zarówno tło, jak i szczegóły kontaktu z Hptm. Huste i za ten krok nie potępiali mnie. Dowódca oddziału A.K. kpt. Marcin i jego oficerowie Malinowski, Orzeł, Ignac, Drabina i Alm byli szczegółowo poinformowani przeze mnie o wszystkim, toteż wydaje mi się, że żaden z nich nie posadził mnie o współpracę z Niemcami. Zresztą wypadki, jakże wkrótce nastąpiły po sobie, całkowicie rozwiązywały ewentualną ich wątpliwość. Były jednak jednostki, które wykorzystwały to odpowiednio...

W połowie lutego tegoż roku zaszły na pozór błahe w życiu partyzanckim wypadki, które jednak okazały się powodem nie tylko oskarżania mnie później o współpracę z Niemcami, lecz również i o rozbrajanie polskich oddziałów.

Pod dowództwem plut. «Kmicica» wysłałem patrol pięciu ludzi na południe powiatu włoszczowskiego z zadaniem pobrania broni od chłopca. Po kilku dniach wrócił sam «Kmicic». Raport jego brzmiał: we wsi Witów spotkał w nocy trzech cywiliów uzbrojonych w jeden r.k.m i 2 k.b. Ponieważ nie chcieli się wylegitymować, rozbroił ich. Następnej nocy we wsi Nakło ten sam los spotkał mój patrol. Silniejszy oddział rozbroił cały patrol i wziął go do niewoli. Uciekł tylko «Kmicic» z zabranym poprzedniej nocy r.k.mem. Plut. «Kmicic» twierdził, że nie wie

co to był za oddział i do kogo należał r.k.m. Ponieważ ludzie nie wrócili w ciągu następnych kilku dni, niepokój mój był zrozumiały. W międzyczasie docierają wiadomości od placówek z tamtych terenów, że był to oddział B.Ch. «Sowy», a r.k.m. należał do niego samego. Oczekałem jeszcze kilka dni. Ludzie nie wracali, zatem wyruszyłem z dwoma uzbrojonymi plutonami w poszukiwaniu zaginionych. Całodzienne «przetrzęsanie» okolicy nie dało rezultatu. Zrezygnowany, popasałem konie (podwody) we wsi Rokitno, zamierzając już zawracać do bazy, kiedy sam «Sowa» z czterema ludźmi wjechał sankami do wsi. Rozbroiłem ich i aresztowałem, chcąc uzyskać zwolnienie moich żołnierzy. Zatrzymałem się w gajówce pod wsią Biała. Ponieważ był to dzień Ostatków, żołnierze urządzili zabawę. Początkowo — rzecz zrozumiała — nasz wzajemny stosunek z «Sową» był dość wrogi. Po stopniowych jednak wyjaśnieniach pretensje malały, a już po kilku kieliszkach bimbru znikły zupełnie. W rezultacie zwróciłem «Sowie» i jego ludziom broń i do końca zabawy traktowaliśmy ich jako gości. Rozstaliśmy się jak dwaj najlepsi przyjaciele. Moi żołnierze zwolnieni przez «Sowę», dołączyli rano do oddziału.

W dniu 7 marca 1944 r. pod Antonielowem — powiat Łopuszno, biję się z Niemcami — jak się później okazało, z Hustem. Nie wiem, czy kiedyś dowiedział się, że to byłem ja. W walce tej padło 9 zabitych Niemców, ja zostałem ranny w nogę. Leżałem w majątku L. Po tygodniu wpada na «meline» mocno podniecony powiatowy komendant N.S.Z., por. «Czech» i drżącym głosem oświadcza mi: «Władek! ratuj się! Grozi ci wyrok śmierci od Komendy N.S.Z. Rozkaz mam w kieszeni do wykonania... Znam ciebie i znam te wszystkie sprawy, a więc nie pozwolę aby spadł ci włos z głowy... Masz czytać». Rozkaz brzmiał: «1) Za wejście w porozumienie i współpracę z żandarmerią i Gestapo niemieckim. 2) Za rozbrojenie oddziału leśnego B.Ch. «Sowy» przy pomocy żandarmerii niemieckiej. 3) Za rabunki i gwałty na ludności polskiej. 4) Za niesubordynację wobec władz przełożonych, a to: nie stawienie się na odprawę do Częstochowy w dniu 12 stycznia 1944 r. i na powtórne wezwanie w dniu 9 marca 1944 r. por. «Żbika» aresztować do dyspozycji Komendy Głównej. Sprawa por. «Żbika» oddana jest pod sąd wojсковy.»

Zrozumiałe, że rozkaz ten wstrząsnął mną do głębi. Rozpacz, a przede wszystkim jakiś ogromny żal miotają mną na przemian. «Czech» przekonywał mnie, abym koniecznie zmienił miejsce rekonesansowania, gdyż, jeżeli zapadnie wyrok śmierci, przysła na zostanie egzekutywa do wykonania wyroku. Poza tym twierdził, że komuniści wiedzą już gdzie leżę, o więc na pewno mnie wykończą. Uparłem się że nie ruszę się z miejsca. Byłoby to bowiem potwierdzeniem mojej rzekomej winy.

Wysłałem obszerne pismo wyjaśniające każdy punkt oskarżenia. Odnośnie nie stawienia się na odprawę w dniu 12 stycznia zawiadomiłem, że wezwania takiego nie otrzymałem, natomiast

9 marca leżałem ranny. Pismo zakończyłem następująco: «Czekam spokojnie na wyrok i jego wykonanie, chociaż wiecie, że mógłbym postąpić inaczej, mając uzbrojony i oddany mi całkowicie oddział. Ludzie ci przeświadczeni są o mojej uczciwości, ideowości i lojalności, a posądzaniem mnie i stawianiem sprawy w ten sposób bez uprzedniego zbadania jej, im przede wszystkim wyrządziliście wielką krzywdę».

Po jakimś czasie przyszło odwołanie, ale z nakazem zmiany pseudonimu. Odmówiłem, pisząc powtórnie: «Żądam komisji, która zbadałaby wszystko w terenie i oddziale. Następnie domagam się całkowitej rehabilitacji ewentualnie wyroku kary śmierci».

Komisję taką przysłano i po długich badaniach rehabilitowano mnie. Okazało się, że przysłużył mi się osobiście Komendant Główny A.K., przedkładając w Komendzie Głównej N.S.Z. rzekome dowody.

Oto, jak wygląda prawda. Zajścia z «Sową» i Hustem były to główne koniki, na których ujeżdżali zarówno komuniści jak i A.K. w usiłowaniu kompromitowania mnie.

Na tym jednak nie koniec. Przypisywano mi jeszcze wiele innych «zbrodni» i wytaczano je jako dowody współpracy z Niemcami. Przede wszystkim więc wypuszczenie wziętego do niewoli majora S.S. — dowódcy ekspedycji karnej. Rzeczywiście tak było — ale znów motywy. W dniu 22 lipca 1944 r. rozbiłem pod Czarnocinem — Jędrzejowskie silny oddział niemiecki S.S., który grasował w miechowskim i jędrzejowskim, mordując i aresztując chłopów, biorących udział w konspiracji (dowódca miał taką listę). Klęska Niemców była duża. Niemiecka kolumna samochodowa nadziała się na mój oddział (300 ludzi, wówczas już dobrze uzbrojonych). Zabitych Niemców padło około 30, do niewoli dostał się dowódca mjr. S.S., ranny w nogę. Bywało, że w podobnych wypadkach Niemcy wywierali straszną zemstę na okolicznej ludności. Palili całe wsie i mordowali niewinnych ludzi setkami. Niemiec prosił o darowanie mu życia. I tu znów podszept... A może tak będzie lepiej...? Wszak to tylko jeden szkop... Może go i tak wcześniej czy później ubiją bolszewicy. Z naszej strony ryzyko żadne, a korzyści mogą być ogromne. Major S.S. został zwolniony, dając słowo honoru ustnie i pisemnie, że nie będzie żadnych represji na ludności cywilnej. Major S.S. słowa dotrzymał. Represji nie było żadnych.

Wyżej opisane wypadki mogły rzeczywiście rzucić cień na moją osobę tym bardziej, jeśli użyte były i wykorzystane przez ludzi, których było to celem i dawały im wystarczający powód do oskarżeń w innych sytuacjach.

W lecie 1944 r. umiera moja matka. Kondukt pogrzebowy zostaje otoczony kordonem żandarmów, którzy przeprowadzają ścisłą kontrolę dowodów osobistych. Wobec tego, że mnie wśród zebranych nie znaleziono, ojca mojego, chorego staruszka, bito i kopano, aby powiedział, gdzie jest ten «bandyta» Władysław. W rezultacie aresztowana została moja starsza siostra, przy czym

zagrożono, że, jeżeli ja dobrowolnie nie zgłoszę się, ona zostanie rozstrzelana.

Oto najlepszy dowód, jak Niemcy traktowali tego, którego niektórzy Polacy, często tylko na podstawie czyjegoś opowiadania, uważali za kolaboranta.



Z kolei pragnę odpowiedzieć na szereg uwag i zarzutów, wysuniętych przez p. Lednickiego:

I) Wobec zarzutu, że ppłk. «Ząb» zbyt «szybko» awansował, mogę podać przykłady znanych mi żołnierzy A.K., którzy awansowali pięciokrotnie w ciągu 4 lat. Nie uważam jednak za właściwe pytać się o przyczynę tego, a tym bardziej używać formy, w jakiej sprawę tę porusza p. Lednicki. Zakładam bowiem, że Komenda A.K. uznała, że im się to należało, że na tak częste awanse całkowicie zasłużyli, względnie że wymagała tego normalna sprawność organizacji wojskowej. Znalazienie się ppłk. «Zęba» w N.S.Z. uważam za jego osobistą sprawę.

II) Wielu żołnierzy N.S.Z. weryfikować się w A.K. nie chciało i nie mogło, bowiem niektórzy z oficerów A.K., mający bezpośredni dostęp do akt weryfikacyjnych wyjeżdżali do Polski i są na usługach reżimu warszawskiego. Komentarz chyba zbyt techny. Podstawą do weryfikacji żołnierzy N.S.Z. winien być rozkaz scaleniony, wydany przez gen. «Bora» w marcu 1944 r. Wykonanie tego rozkazu jest niestety nadal sprawą otwartą.

III) Stratę kolegi śp. ppor. «Dymszy» odczuliśmy wszyscy bardzo boleśnie. Odszedł od nas dobry Polak, gorący patriota i świetny żołnierz, który dla sprawy poświęcił wszystko. To on w walce pod Ożarowem zastrzelił generała niemieckiego. On wraz z kpt. «Stepem» i «Boppem» pośpieszył na pomoc oddziałom A.K. «Groma» i «Błyskawicy» (późniejszy mjr. «Skala»), które były się pod Skalmierzem w końcu lipca 1944 r., gdzie zniszczył on gniazdo niemieckich karabinów maszynowych, zabijając 19 Niemców, a 6 biorąc do niewoli. To śp. ppor. «Dymsza» 22 lipca 1944 r. zdobywał posterunek żandarmerii w Czarnocinie, gdzie uwięziona była liczna grupa aresztowanych chłopów. Ranny tam był st. strz. «Bór» od «Dymszy». Również «Dymsza» wraz ze «Stepem» dowodził i przeprowadził zasadzkę dnia 9 sierpnia 1944 r. pod wsią Wilki na trasie Kielce—Włoszczowa, niszcząc 4 auta i zabijając 20 Niemców. Zginął tam strz. «Błyskawica» — od «Dymszy».

IV) Przykład Radkowa jest kłamstwem. Dałbym niezbitę dowody, ale dziś uczynić tego nie tylko nie mogę ale nawet mi nie wolno. Natomiast stwierdzam: a) Brygada kwaterowała w Radkowie dwukrotnie. b) Faktem jest, że ludność tej wsi nie odnosiła się ze specjalną sympatią do Brygady, gdyż był tam duży procent komunistów. c) Dowództwo tępiło i karało z całą bezwzględnością wszelkie odruchy napadów i rabunków. Potwier-

dzeniem tego są wyroki śmierci nawet w stosunku do własnych żołnierzy, np. w m.p. Lasocin zostali rozstrzelani strz. «Śmiały» za notoryczne kradzieże i strz. «Lotnik», który ściągnął chłopu buty, terroryzując go bronią. O ile się nie mylę, działo się to w Radkowie w czasie postoju Brygady. Z tego też m.p. uciekł st. strz. «Bór», któremu groziła kara śmierci za gwałt kobiety. Ten sam «Bór», który był ranny pod Czarnocinem. Przestępca ten został przyjęty przez oddział A.K. «Nurta». Tam doznał opieki i ochrony. Dowództwo oddziału «Nurta» odmówiło wydania go Brygadzie. Jak tu zatem pogodzić fakt tępienia przestępczości w Brygadzie z twierdzeniem p. Lednickiego, że Brygada dokonywała «ohydnych napadów rabunkowych»? Czy p. Lednicki rzeczywiście wierzy w to, że w A.K. nie znalazł się nigdy ani jeden przestępca, czy kryminalista? Stanowiskiem swoim, zajęтым w tej sprawie, p. Lednicki daje wyraźny dowód, że zabierając głos w dyskusji nad zagadnieniami N.S.Z., z góry nastawiony jest na chęć kompromitowania spraw i osób do których odnosi się z uprzedzeniem.

Że zdarzały się wypadki przestępstw wśród żołnierzy N.S.Z. to fakt, ale na szczęście były one nieliczne. My brudów tych się nie wstydzimy. Ubolewać jedynie należy, że byli to Polacy i że tacy byli niestety wszędzie. Nie chcę rozgrzebywać tych nieczystrych spraw, gdyż dla mnie, jako Polaka, są one przykre i bolesne. Wobec tego jednak, że p. Lednicki wedle ewangelicznej przypowieści «widzi źdźbło w oku bliźniego, a we własnym nie może ujrzeć belki», zmuszony jestem jednak przytoczyć następujący fakt: Jesienią 1944 r. z oddziału A.K. kpt. «Marcina» zostali rozstrzelani por. «Orzeł» i por. «Ignac». Oba tych oficerów znałem osobiście, znałem ich czyny i przestępstwa, których oczywiście nie mam zamiaru wyliczać (chyba, że zostaną znów sprowokowany). Właszcza por. «Orzeł» był bardzo odważny i bojowy, nie przyniósł jednak chluby A.K. Powyższe przykłady, jak i inne znane mi, jednak nie są powodem abym przez kilku łobuzów miał rzucać błotem w organizację, czy też któryś z jej oddziałów. Bo to nawet całkiem nie rycerski proceder.

V) Borów. Przede mną siedzi ppor. «Gnat», który jako uczestnik walki pod Borowem opisuje jej przebieg. We wsi Borów kwaterował I baon pierwszego pułku Legii Nadwiślańskiej N. S.Z., w sile około 120 ludzi. Dnia 2 lutego 1944 r. Niemcy przeprowadzają pacyfikację okolicy. W akcji tej bierze udział S.S., żandarmeria i Wehrmacht w łącznej sile przynajmniej jednej dywizji (12 tysięcy ludzi), lotnictwo, czołgi, auta pancerne i artyleria. Pacyfikują wsie: Dwa Szczecyny, Łazek Wielki, Łazek Mały i Borów. Na wyraźny rozkaz rtm. «Zęba» oddział nie nawiązuje łączności ogniowej z nieprzyjacielem. Wycofuje się do sąsiednich lasów bez oddania jednego strzału. Rozkaz rtm. «Zęba» pokierowany był rozsądkiem, bowiem zdawał on sobie sprawę, że walka z tak druzgocąco przeważającymi siłami nieprzyjaciela była beznadziejna, natomiast prowokacją mógłby tylko

spowodować większą zemstę Niemców na miejscowej ludności. W dwa dni później, tj. 4 lutego 1944, rtm. «Zab» wysłał do Borowa oddział pod dowództwem wachmistrza K., celem zbadania sytuacji i niesienia pomocy pogorzelcom drogą rekwizycji zboża i inwentarza żywego, przede wszystkim w okolicznych majątkach «ligenszaftowych». W dniu 18 lutego w trakcie takiej rekwizycji oddział stacza walkę pod miejscowością Gościeradów. W walce tej ginie kpr. pdchr. «Ataman». Następnie 23 lutego oddział ponownie został zaatakowany przez Niemców pod Borowem. W krwawej walce giną: kpr. pdchr. «Pepi», kpr. «Ryś», st. strz. «Zawisza», strzelcy: «Ryszard», «Motyl», «Mikado» i «Tarzan»; strzelcy «Wilk» i «Orzeł» dostają się do niewoli. Trzykrotnie ranny zostaje kpr. podchr. «Gnat».

Na cmentarzu we wsi Borów usypana została zbiorowa mogiła która do dzisiaj kryje zwłoki wymienionych bohaterskich żołnierzy N.S.Z. Mogiła ta jest i na zawsze pozostanie widomym a równocześnie jakże tragicznym zaprzeczeniem tych oskarżeń, jakie p. Lednicki tak łatwo rzuca pod adresem swoich kolegów żołnierzy zapewne tylko dlatego, że walczyli i umierali pod innym znakiem organizacyjnym, chociaż przecież dla tej samej sprawy.

VI) W sprawie stosunku N.S.Z. do partyzantki A.L. i sowieckiej, p. Lednicki posługuje się najprostszym i najłatwiejszym argumentem, że stanowisko N.S.Z. nie było zgodne z oficjalną polityką Rządu Polskiego. Niestety tak, czasem bywa, że ci, którzy kierują się tylko uczciwie pojętym interesem i instynktem narodowym mają więcej słuszności niż ci, którzy reprezentują «oficjalną politykę rządową». Zresztą niektórzy reprezentanci tej właśnie oficjalnej polityki pojechali później do Polski. Kraj za to zapłacił krwawo. Kto miał słuszność — dzisiaj nie ma już wątpliwości, a p. Lednicki w kółko ciągle potwarza znaną nam dobrze jeszcze z Polski piosenkę o oficjalnej polityce. Lecz, czy źle się stało, że w ruchu podziemnym znalazła się grupa, która wzięła na siebie niewątpliwie niewdzięczną rolę protestowania przeciw oficjalnej polityce, jaką było wytwarzanie w społeczeństwie nastrojów przyjaźni i sympatii do Rosji Sowieckiej?

VII) Doprawdy trudno obalić twierdzenie, że Brygada meldowała okolicznym posterunkom żandarmerii niemieckiej swoje m.p. skoro mówił to właściciel majątku Lasochów, ale pamiętam słowa płk. «Bohuna», wypowiedziane na odprawie d-ców baonów i d-ców kompanii w Lasocinie jesienią 1944 r.: «Niemcy są już zdychającą szkapę, która jednak wierzącą, w śmiertelnych drgawkach razi na prawo i lewo... Zdając sobie sprawę z tego, że zachodni okupant jest bezwzględny w stosunku do ludności cywilnej, nie wolno nam go prowokować. Narażanie przez nas, przez nierozważne i lekkomyślne posunięcia każdego polskiego życia jest niewybaczalną zbrodnią. Natomiast w każdej innej sytuacji... będziemy bezwzględni, choćbyśmy płacić musieli ofiarą krwi i istnień ludzkich».

I tak było. Oddziały N.S.Z.-tu kwaterowały w Lasochowie 2 razy. Właśnie to w tym samym Lasochowie w dniu 29 lipca 1944 r. dołączyłem do 204 pułku N.S.Z. z swoim oddziałem, w którego szeregach 10 miejsc świeciło pustką po krwawej walce z S.S. pod Olesznem. Do tego samego Lasochowa dołączyli ze swoimi oddziałami śp. ppor. «Dymsza», kpt. «Bopp», i kpt. «Step» po walce z Niemcami pod Skalmierzem. Natomiast z drugiego postoju (już Brygady) w Lasochowie wymaszerowałem z oddziałem na zasadzkę, w czasie której w wąwozie szosy Kurzelow-Maluszyn zadałem Niemcom ciężkie straty. Tam zginął z mojego oddziału sierż. «Bill»-berlingowiec i ranny był kpr. «Murzyn». I z Lasochowa również wyszedł na akcję z batalionem mjr. «Rusin», dobry żołnierz i dowódca, który pod Kurzelowem rozbił niemiecki transport broni, zdobywając 300 k.b. i masę amunicji. Major «Rusin» nie był ideowo związany z N.S.Z. Był i pozostał P.P.S.-owcem.

VIII) Ponieważ nie brałem udziału w przemarszu Brygady na zachód, a szczegóły tego ryzykownego kroku znam jedynie z opowiadań, nie będę przeto w tej sprawie dyskutował z p. Lednickim. Pragnę jedynie stwierdzić, że pomimo nacisków i gróźb niemieckich Brygada nie oddała ani jednego strzału celem wsparcia cofających się pod naciskiem sowieckim wojsk niemieckich. Toteż Niemcy żądali od Brygady złożenia broni. Gdy jednak spotkali się z odmową, próbowali koncentrować przeciwko niej oddziały żandarmerii. Jednak w ówczesnej sytuacji nie mogli już sobie pozwolić na przeciwstawienie odpowiednich sił po zęby uzbrojonej Brygadzie. Przy tym zdecydowane stanowisko i wola walki zarówno ze strony dowódcy jak i żołnierzy sprawiły, że ostatecznie Niemcy nie zaryzykowali zbrojnego ataku na Brygadę ze względu na prawdopodobieństwo poniesienia zbyt dużych strat. Zwłaszcza, że krwawa likwidacja Brygady w chwili, gdy alianckie wojska z dwóch stron wdierały się w granice Rzeszy, właściwie nie im już nie dawała.

I jeszcze jedno. Żołnierze Brygady darzyli i nadal darzą swojego dowódcę płk. «Bohuna» wyjątkowym zaufaniem, a nawet w wielu wypadkach miłością. Wiem, że w okresie całego przemarszu nie było ani jednego wypadku posadzenia dowódcy Brygady choćby o chęć kolaborowania. Nawet grupa żołnierzy A.K., która przyłączyła w końcowej fazie przemarszu, była daleka od tego. A pozorów w takiej sytuacji na pewno życie dostarczało wiele. Wyłączam oczywiście tych kilku brygadowców, którzy później znaleźli się po stronie warszawskiej i wówczas, dobrowolnie czy też nie, jednak z Brygady robili bandytów i zdrajców. Płk. «Bohun» jest tym, który przede wszystkim wziął na siebie pełną odpowiedzialność za całą działalność Brygady. Toteż wobec powtarzających się ataków przeciw niemu, pragnę oświadczyć, iż dumny jestem, że służyłem pod rozkazami dowódcy, którego cechami zawsze były wyjątkowa prostota, ogromna uczciwość i gorące serce wielkiego patrioty.

IX) Uprzednio wspominałem już o szeregu walk poszczególnych oddziałów Brygady z Niemcami. Dla pełnego jednak obrazu i aby zmyć «mydliny z oczu» p. Lednickiego, wymieniam poniżej walki z Niemcami, w których Brygada brała udział całością. A więc: W końcu sierpnia 1944 r. walczyła Brygada z Niemcami pod Zagnańskiem, gdzie poniosła duże straty od artylerii pociągu pancernego. Dnia 20 września 1944 r. stoczyła Brygada bitwę z Niemcami pod Cacowem, o której mówiły nawet radiowe komunikaty niemieckie, że «bandy polskie» zadały im duże straty. Po stronie naszej byli zabici i ranni. W dniu 14 stycznia 1945 r. pod wsią Marcinkowice—Kępie stoczyła Brygada 16-to godzinną ciężką walkę z Niemcami, w której straciła 9 zabitych i miała 14 rannych.

Wszystkie okręgi miały swoją historię walk partyzanckich z Niemcami. Specjalnie jednak zasługuje na uwagę teren lubelszczyzny, gdzie oprócz wymienionych już przedtem oddziałów piękną kartą walk poszczycić się mogą zwłaszcza grupy kpt. Cichego, Ojca Jana, por. Wojciecha, kpt. Stepa i ppor. Znicza.

Ze znanych mi jeszcze oddziałów N.S.Z. na terenie koneckiego działał Stary, który później przeszedł do A.K., a w południowej części kieleckiego wiele strat Niemcom zadały oddziały N.S.Z. por. Bema i por. Nowiny.

X) Czy rzeczywiście aresztowania nie mogły dojść do dowództwa N.S.Z.? P. Lednicki zdaje się naprawdę w to wierzyć. A zatem niechaj temu zaprzeczy poniższa lista, która choć niekompletna, jednak chyba dostatecznie sama za siebie mówi.

1. W końcu 1942 r. aresztowany «Wacław», szef oddziału II Sztabu N.S.Z.

2. W marcu 1943 r. aresztowany «Aleksander», Szef Adiutantury D-cy N.S.Z.

3. 9. VIII. 1943 r. aresztowany «Czesław», pierwszy D-ca N.S.Z., wysłany do obozu koncentracyjnego.

4. Latem 1943 r. zabity «Karol» z Oddziału II Sztabu (znany konstruktor dział przeciwlotniczych).

5. Latem 1943 r. aresztowany «Krzysztof» — Szef Wydziału Zachodniego II Oddziału N.S.Z. — wysłany do obozu koncentracyjnego.

6. W końcu 1943 r. aresztowany ppłk. Zakrzewski, szef Sztabu Komendy Zachodniej N.S.Z.

7. Wiosną 1944 r. zabity «Zbyszek», kierownik kancelarii głównej N.S.Z.

8. W końcu 1944 r. zabity «Hubert», szef Oddziału II Sztabu N.S.Z.

9. Wiosną 1944 r. aresztowany «Pomorski», szef Oddziału I Komendy Zachodniej N.S.Z.

A z Komendy Okręgu Warszawskiego tylko w roku 1944 zostali aresztowani:

1. «Jaszcz», szef Sztabu Komendy Okręgu — rozstrzelany na Pawiaku w dniu 3. IV. 1944.

2. «Bolesławski», szef Oddziału I Sztabu Komendy Okręgu — rozstrzelany w dniu 3. IV. 1944.

3. «Jerzy Szwejk», komendant Rejonu «Północ» Okręgu Warszawskiego — rozstrzelany w dniu 3. IV. 1944.

4. «Rafał», szef Oddziału VI Sztabu Okręgu Warszawskiego — rozstrzelany 15. IV. 1944.

5. «Bolesław» z Oddziału IV Sztabu Okręgu Warszawskiego — rozstrzelany w kwietniu 1944.

6. «Zbigniew Tyka», adiutant komendanta Okręgu — rozstrzelany 3. IV. 1944.

7. Trzy łączniczki Komendy Okręgu, «Tonია», «Stenia» i «Janka», z których «Tonია» została rozstrzelana 15. IV. 1944, a «Stenia» i «Janka» zesłane do obozu koncentracyjnego.

8. «Marianiński», szef Wydziału Wyszczolenia w Oddziale III Sztabu Komendy Okręgu, — wysłany do obozu koncentracyjnego.

Tyle moich informacji z terenu Komendy Głównej N.S.Z. i Komendy Okręgu Warszawa. Przy tym nie było chyba Komendy Okręgu i Komendy Powiatowej, w której nie miały miejsca aresztowania i rozstrzeliwania, czego przykładem była krwawa likwidacja Komendy Powiatowej N.S.Z. we Włoszczowej. W czasie odprawy Komendy w dniu 18 sierpnia 1943, zabici zostali przez Gestapo: «Zbigniew», «Michalski», «Kościelny» i «Ch», ranni «Żubr» i «Longin» zostali aresztowani i wywiezieni. W tym samym dniu zostało aresztowanych w okolicy 23 żołnierzy N.S.Z.

XI) Jeżeli jest to prawdą, co pisze p. Lednicki, że w świeżo wydanej historii A.K. o Narodowych Siłach Zbrojnych mówi się krótko, że «kiedy cały Naród walczył — oni współpracowali z okupantem», to historia taka jest wyraźnie fałszywa.

Wszak uprzednio już przytoczyłem szereg dowodów, że N.S.Z. walczyły tak jak A.K. i mają swoją historię walk z Niemcami. Jeżeli jednak jeszcze tego nie wystarcza to przytoczę dowody, które twierdzą, że żołnierze i całe oddziały N.S.Z. walczyły ramieniem w ramię z żołnierzem A.K. na barykadach Warszawy w czasie powstania. Wobec tego, że dowództwo Armii Krajowej nie powiadomiło N.S.Z. o godzinie wystąpienia, komendant Okręgu Warszawskiego N.S.Z. w przeddzień powstania wydał rozkaz, że żołnierze N.S.Z. wezmą udział w powstaniu wstępując do najbliższych oddziałów. Nie zawiadomienie o godzinie wystąpienia stało się z ogólną szkodą dla wysiłku zbrojnego, gdyż zostało niewykorzystanych szereg magazynów broni na Pradze i w okolicy Dworca Gdańskiego, posiadających ciężką broń maszynową, której taki brak odczuwał się w powstaniu warszawskim. Niemniej część oddziałów N.S.Z. w czasie trwania powstania zdołało się skoncentrować. I tak:

Stare Miasto.

— Oddział «Młot» liczący ponad 300 żołnierzy z Brygady N.S.Z. «Koło» pod dowództwem «Kołodziejskiego».

— Kompania Szkoły Podchorążych N.S.Z. pod nazwą «Legii Akademickiej», dowodzona przez «Maciejewskiego» w batalionie «Gozdawa».

— Kompanie N.S.Z. pod d-twem «Jeremiego» w batalionie «Sosna».

Śródmieście Północ.

— Kompania N.S.Z. Warszawianka (dom kolejowy) pod dowództwem «Zawadzkiego», składająca się z 4 plutonów (4-ty pluton Szkoły Podchorążych pod dowództwem «Rawicza»).

— 2 kompanie strzeleckie plus pluton c.k.m. N.S.Z. pod dowództwem «Ozoga» i «Wojciecha».

— 80 proc. zgrupowania «Chrobry II» stanowili żołnierze N.S.Z.

Śródmieście

— Batalion N.S.Z. pod d-twem «Tarana».

— Oddział Zapasowy.

— 4 szpitale i 3 punkty sanitarne.

W wielu oddziałach A.K. znajdowali się żołnierze N.S.Z., którzy wstąpili do tych oddziałów w chwili wybuchu powstania.

Śródmieście Południe.

— Oddział Zapasowy (Hoża i Piusa).

— Dowódca kompanii i odcinka «Tadeusz» w rejonie Placu Zbawiciela—Mokotowska w ciągu 60 dni awansował z ppor. do stopnia kapitana, przy czym został odznaczony Virtuti Militari V klasy, Krzyżem Walecznych i Złotym Krzyżem Zasługi z Mieczami. Charakterystyczne, że kiedy w ostatnich dniach powstania zapytano go o przydział konspiracyjny i kiedy odpowiedział «N.S.Z.», w dowództwie Śródmieścia Południe nastąpiła wielka konsternacja. Awansu i wymienionych odznaczeń nie dało się już cofnąć, ze względu na jego dużą popularność w szeregach powstańców, tak jak to czyniono w innych podobnych wypadkach, kiedy skreślano żołnierzy N.S.Z. z list awansowych i odznaczeniowych. Podkreślić tu jednak należy bezwzględnie uczciwe i sprawiedliwe stanowisko gen. «Montera», i płk. dypl. Ziemińskiego w stosunku do żołnierzy N.S.Z.

Nawiązując do oceny N.S.Z. we wzmiankowanej historii A.K., my, żołnierze N.S.Z. wiemy, że dla nas nie ma tam miejsca wśród bohaterów A.K. Owszem jest ono, ale chyba tylko jako dla «nielegalnych kolaborantów». Ale pomimo to będąc uczestnikami i świadkami walki Narodu z obu okupantami, mamy pełne prawo i obowiązek do wnoszenia poprawek do tak tworzonej historii. Poza tym mogę p. Lednickiego zapewnić, że walk z Niemcami nie będę nigdy zapożyczał od A.K., jak to uczynił autor książki «Partyzanckim Szlakiem» na stronie 167. Wystarczy mi własnych walk z Niemcami, aby zbić rzucane kłamstwa i oszczerstwa. Walk tych nie wyliczyłem wszystkich... Może ktoś... kiedyś,

któs uczciwy, uzupełni je w prawdziwej historii Polskiego Ruchu Podziemnego.

18 żandarmów pod Olesznem nie wystrzelał «Alm», jak pisze autor wspomnianej książki, a wystrzelał ich mój oddział. Walki tej nie odbierze mi nikt, nawet żaden z twórców historii A.K., gdyż na to mam setki świadków. Każdy żołnierz z oddziału A.K. «Marcina», «Alma» i «Drabiny» to potwierdzi. Każdy z nich był na pogrzebie 4 zabitych moich żołnierzy w tej walce. Wówczas polegli: kpr. «Kowalski» i «Iskierka», st. strz. «Tęcza» i strz. «Walczyński». Każdy z tych żołnierzy A.K. widział i znał osobiście sześciu rannych w tej samej walce, którzy długo leczyli się z ran w szpitalu leśnym A.K. kpt. «Marcina» pod Krogulcem. Ranni byli: sierż. «Dąb», plut. «Wandal», st. strz. «Łuczynski», kpr. «Owies», st. ut. «Lech» i st. strz. «Pantera». Potwierdzić to może dr K. — Żyd (wspominałem o nim w poprzednim liście), który wtedy był już zdrowy i opiekował się rannymi. Potwierdzić to może również por. «Harry», który był uczestnikiem tej walki. Potwierdzić wreszcie może sam «Alm», który jest na emigracji.

A pod Zabrodziem «Alm» rzeczywiście miał zasadzkę (w dniu 26 lipca 1944 r.). Zasadzkę nieudaną. Zabity został jeden Niemiec, zaś w oddziale własnym «Alm» miał też jednego zabitego i kilku rannych i to od własnego granatu. Ten sam ekspedycyjny oddział S.S. szedł w następnym dniu mordować i palić Oleszno. Pijani esesmani mordowali już po drodze. We wsi Budziszewo zabili kilku chłopów. I tu w tym miejscu gdybym był złośliwy mógłbym powtórzyć za p. Lednickim: «A nasz oddział A.K...? Ulotnił się... do lasu, nie ubezpieczając okolicy». Prawdą jest, że po dwugodzinnej walce oddziały A.K. przysły mi z pomocą. I prawdą jest również, że w akcji tej dużo mi zaszkodziły. (Nie z winy d-ctwa A.K.). Bowiem kompania Kałmuków, którą dowodził por. «Drabina», ostrzelała mnie z tyłu.

Wreszcie zmuszony jestem poruszyć jeszcze jedno. Pan Lednicki bowiem pisze: «Oficjalnie nie mieliśmy Quislingów. Sprawa wprost podpadająca do Trybunału o zdradę Państwa».

Może podobne stanowisko zajęła «historia A.K.», lecz żaden z oficjalnych polskich czynników rządowych. Rzeczywiście Polska nie miała Quislingów, jednak p. Lednicki podsuwa opinii publicznej myśl, że polskim Quislingiem były właśnie N.S.Z. Przy czym czyni to nawet wbrew stanowisku amerykańskiego dowództwa wojskowego, okupującego Niemcy, które po dokładnym zbadaniu sprawy, zleciły między innymi Brygadzie Świętokrzyskiej w drugiej połowie 1945 r. organizowanie Kompanii Wartowniczych.

W pierwszej połowie 1944 r. zawarta została umowa scaleniowa między A.K. i N.S.Z. W następstwie tego, że nie doczekała się ona wykonania, N.S.Z. poszły wówczas własną drogą. W koń-

cu tegoż roku nastąpił pełny organizacyjny rozwój Brygady Świętokrzyskiej.

Działo się to w czasie, kiedy nikt już wówczas nie miał wątpliwości, że Niemcy stanęły przed zdecydowaną i całkowitą klęską.

Czy był kiedykolwiek Quisling, który chciał stawiać na przegrującą potęgę?!

My, Polacy, posiadamy wyjątkową umiejętność wspaniałego, bohaterskiego, a nawet romantycznego umierania. Ale czy wzorem innych narodów z równym poczuciem pełnego realizmu potrafimy prowadzić politykę zachowywania naszego potencjału ludzkiego?

Gdyby pan Lednicki uwolnił się na chwilę od atmosfery swojego środowiska i samodzielnie zechciał przemyśleć całe zagadnienie, może doszedłby do innych wniosków...?

Czy nie szkoda bowiem, że tylko jedna, a nie sto takich brygad wyszło z Polski! Zwłaszcza wobec późniejszego procesu masowego likwidowania czynnego i ideowego elementu niepodległościowego ze wszystkich ośrodków politycznych i środowisk społecznych. Tego elementu, który miał stać się fundamentem dla odbudowy przyszłej wolnej i niepodległej Polski.

W. ŻBIK-KANIEWSKI.

OSTATNIE WIADOMOŚCI

jedyne pismo polskie w strefie amerykańskiej Niemiec.

Ukazuje się trzy razy tygodniowo.

W każdą niedzielę dodatek.

Korespondenci: we Francji, W. Brytanii, Włoszech, Kanadzie, Stanach Zjednoczonych, Wenezueli, Argentynie, Australii i Nowej Zelandii.

Ogłoszenia: 1 cm. 1 łam. — 4,20 DM (1 dol.). Za słowo w ogł. drobnych 0,20 DM (5 ct. am.)

Redakcja, administracja, drukarnia:

17a, MANNHEIM-SANDHOFEN, 4094 LSCO Schönaue
US Zone, Germany.

Książki

Polska w papierach Hopkins'a

Harry Hopkins był szarym cieniem Roosevelt'a. A był również jego przyjacielem. Stąd porównywano go do pułkownika House'a: — porównanie krzywdzące dla tragicznej wielkości Wilsona, dla tamtej, wysoce ideowej a tak smutnie zerwanej, przyjaźni dwóch mężów, którym dola ludzkości, zaprowadzenie sprawiedliwości na świecie, leżały na sercu. T e m p o r a m u t a n t u r. Żyjemy w dobie dziejowej cynizmu. Roosevelt i Hopkins należą do tego innego, wyczerpanego z sentymentów świata, na którego arenie grano narodami jak piłkami w sporcie.

Harry Hopkins mieszka przez trzy i pół ważnych lat — od maja 1940 do jesieni 1943 — w Białym Domu. Jest przez cały ten czas, i przez z górą rok potem, stałym, najbliższym współpracownikiem Roosevelt'a. Nie tylko ma w swoim ręku najważniejsze jego sprawy polityczne i dokumenty; nie tylko jest wysłańcem w kluczowych misjach do Londynu i Moskwy; nie tylko działa tam z ramienia i jako "osobisty reprezentant Prezydenta". Ale uczestniczy we wszystkich spotkaniach i konferencjach na najwyższym szczeblu: Churchill'em, Eden'em, Mołotow'em, nawet szefami sztabu; a także na głównych zebraniach i naradach "wielkich dwóch" i "wielkich trzech": na Atlantyku, w Waszyngtonie, Casablance, Kairze, w Teheranie i w Jałcie. Pytamy: — Jako kto? — Nie ma do tego żadnego prawnego tytułu, nie obciąża go żadna formalna odpowiedzialność. Wydaje się nawet, że po złożeniu przezeń w sierpniu 1940 urzędu Sekretarza Handlu nie obowiązuje go, w sprawach politycznych, nawet zwykła przysięga służbowa. Zaiste, dziwna wydaje się dla tych, co stoją z boku, dowolność, połączona z potęgą Prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Co do nas, skromnych czytelników, w danym wypadku może-

1) Robert E. SHERWOOD. Le mémorial de Roosevelt. 2 tomy. Wydaw. "Plon", Paryż 1950.

my być tylko wdzięczni za tak rozległą interpretację uprawnień konstytucyjnych. Zawdzięczamy jej pracowite, drobiazgowo, dokładne sprawozdania i zapiski, które zapewne nigdy by nie egzystowały, gdyby nie Hopkins. Dowiadujemy się bowiem, między innymi ciekawostkami, że Roosevelt w ogóle nie prowadził notatek ze swoich rozmów. Były to przecież zawsze rozmowy z "przyjaciółmi" — John'em czy Bill'em, choćby admirał przekroczył siedemdziesiątkę; Harry'm, Willy'm lub Max'em, choćby ów Max Wałach-Litwinow był ambasadorem obcego mocarstwa. Były to ulubione przez Prezydenta spotkania "nieformalne", kontakty "nieobowiązujące". Dla historii dobrze się więc stało, że był często obecny, w najważniejszych chwilach, ten skrzętny referent, ciekawy wszystkiego i na wszystko uważny. Tylko pamiętać trzeba: był to jednocześnie interesowny uczestnik, mający swoją własną politykę; i może nigdy się nie dowiemy, czy zanotował wszystko i czy jego notatki ogłoszone zostały w całości.

Z obszernego i nader cennego materiału wybierzemy to tylko, co bezpośrednio lub pośrednio dotyczy Polski. Właściwe sprawy polskie zajmują zaskakująco mało miejsca w myślach i w pismach Hopkins'a. Gen. Sikorskiego wspomina jedynie mimochodem, między innymi pokazuje go wzruszonego do łez rozciągnięciem "Lend-Lease" na Polskę; natomiast, ani jednego słowa o trzech kolejnych pobytach generała w Waszyngtonie — w ostatnich dniach marca 1941, ku końcowi marca 1942 i w pierwszych dniach grudnia 1942. We wszystkich tych trzech terminach Hopkins był obecny w stolicy, był czynny, jak świadczy o tym chociażby notatka z rozmowy z panią Cziang-Kai-Szek, z końca listopada. Ale o generale Sikorskim — nic; nie o jego wielokrotnych konferencjach z Prezydentem; nie również o tych spotkaniach i rozmowach Hopkinsa z ambasadorem Polski, o których w swojej książce wspomina Ciechanowski. Hopkins znajduje się w Moskwie w ostatnich dniach lipca 1941, dniach decydujących o wyniku londyńskich rokowań Sikorskiego z Majskim: — i znowu, w szczegółowym sprawozdaniu, ani słowa o Polsce. Czyżby Hopkins, od pierwszej chwili gorliwy w negocjacjach z Sowietami, nie przywiązywał istotnie żadnej wagi do Polski? przypisując jej, co najwyżej, jak później w Jałcie, "a nuisance value" — wartość przeszkody i niepotrzebnego "zawracania głowy"? czy wydawca obecny uznał kwestię polską za drażliwą i wolał zatrzeć jej ślady²⁾).

W rzeczy samej, książka Sherwood'a wnosi do tej dziedziny dwa tylko dokumenty — obydwa jednak o charakterze i znaczeniu najbardziej doniosłym.

W marcu 1943 minister Eden przybywa do Waszyngtonu celem omówienia spraw politycznych związanych z wojną. Na-

2) O opuszczeniu, wzgl. skróceniu niektórych tematów zdaje się świadczyć ustęp notatek Hopkinsa o sprawie polskiej w Jałcie: zawiera on kilka wierszy, a mówi, iż "żadnej innej sprawie na Konferencji nie poświęcono tyle czasu, co sprawie polskiej".

zajutrz po przyjeździe³⁾ był na obiedzie u Roosevelt'a — we trzech z Hopkins'em. Tam, znowu w ten sposób "nieobowiązujący" omówione zostały główne zagadnienia i Hopkins zanotował dokładnie przebieg rozmowy. Mówiono między innymi o Polsce.

Eden sądził, że "Rosja zażąda bardzo niewiele z obszaru Polski (*very little territory of Poland*), zapewne po linii Curzona" i wyraził opinię, że "ekonomicznie nie dotknie to Polski nadmiernie". Tymczasem, "Polacy są przesadni w swych aspiracjach... Poufnie mówią, że kiedy Rosja zostanie osłabiona, zaś Niemcy pobite, Polska wyłoni się jako najpotężniejsze państwo w tej części świata". Z rozdrażnieniem i niechęcią mówił Eden o Sikorskim: "robi o wiele więcej złego, niż dobrego dla Polski"; upiera się on, aby nazwać krążownik podarowany mu przez marynarkę brytyjską koniecznie "Lemburg" — musi to być albo "Lemburg", albo nie chce krążownika; poza tym "zbiera ciągle małe państewka bałkańskie", aby je wykorzystać dla "polskich ambicji" — a o wszystkim tym wiedzą "Rosjanie"⁴⁾.

Prezydent zgodził się z Eden'em, że Polska winna dostać Prusy Wschodnie. Jednakże Eden zauważył, że Polacy obstają przy swoich "pierwotnych granicach, jakie istniały przed wojną". Wówczas, "Prezydent oświadczył, że ostatecznie wielkie mocarstwa będą decydowały o tym, co Polska ma mieć i że on sam, Prezydent, nie zamierza pójść na Konferencję Pokojową, aby targować się z Polską, czy innymi małymi państwami; zaś jeśli chodzi o Polskę, rzeczą istotną będzie urządzić ją tak, aby służyła utrzymaniu pokoju świata".

Tak gawędzili o Polsce w 1943 jej sojusznik z jej przyjacielem. Czegóż się można było spodziewać po jej wrogach? — Działo się to na miesiąc przedtem, zanim rząd trzeciego spośród "wielkich" — rząd sowiecki — zerwał stosunki oficjalne z rządem polskim i dostarczył dwum innym pożądanego jak widać pretekstu do poniechania Polski. W tym to bowiem czasie Churchill i Eden zdecydowali uważać Polaków za element szkodliwy; uznawanie ich nadal za czynnik wartościowy obciążało by politykę — i sumienie.

Naturalnie, rząd polski w Londynie nie znał tych zakuli-

3) Data rozmowy trudna jest do ustalenia: Eden przyjechał do Waszyngtonu 12. III; notatki Hopkinsa datowane są 15. III; obiad miał więc miejsce 13 lub 14 marca.

4) Pierwsza zagadka powyżej cytowanego tekstu rozwiązuje się łatwo: Lemburg = Lemberg = Lwów, jakkolwiek nie przestaje być dziwne, skąd taka właśnie wersja, przekreślona z niemieckiej, została użyta przez Edena czy zapisana mylnie przez Hopkins'a. Zagadka druga pozostaje nierozwiązana: trudno jest odgadnąć, jakie to były owe "państewka bałkańskie", które Sikorski miał zamiar wykorzystać dla "ambicji polskich" — przecież nie może być mowy o Jugosławii; należy chyba przypuścić, że chodzi tu nie o Bałkany a o Bałtyk, i nie o "państewka", ale o Litwę — w każdym razie jest to jeszcze jedno świadectwo ignorancji, z jaką były załatwiane i omawiane te sprawy na "najwyższym szczeblu".

sowych matactw; jednakże generał Sikorski, w tych ostatnich miesiącach swojego życia orientował się dość dobrze, zarówno w dwuznacznym charakterze przyjaźni p. Eden'a, jak w niepewności poparcia w Waszyngtonie⁵⁾.

O ile pierwszy dokument dotyczy prologu polskiego dramatu, drugi wprowadza nas w ostatnie jego sceny. Minęły konferencje w Teheranie i Jałcie, na których Hopkins, u boku Roosevelta, czujnie pilnował interesów Rosji. Aż w niespełna miesiąc po nagłym zgonie Prezydenta całe, mozolnie osiągnięte porozumienie stanęło pod znakiem zapytania, i to najniebezpieczniejszym, bo pod znakiem polskim. Stalin nadał własną interpretację postanowieniom jałtańskim; żądał teraz uznania komitetu lubelskiego za "jądro" przy formowaniu "tymczasowego rządu"; obstawał przy powołaniu wyłącznie "przyjaznych", czyli uległych mu Polaków; a jako zastaw zatrzymał szesnastu przedstawicieli polskich, zwabionych w pułapkę przy usługach pomocy dyplomacji brytyjskiej. W tej właśnie chwili, gdy zachwiała się konferencja "pięćdziesięciu narodów" w San Francisco, podsunęto nieznanemu jeszcze spraw, rzeczy ani ludzi Trumanowi nazwisko Hopkins'a. I Hopkins, już, zdawało się, od wszystkiego odsunięty, wciąż ciężko chory i upadający na siłach, ostatnim wysiłkiem życiowej energii zerwał się i udał do Moskwy, aby ratować swe dzieło⁶⁾.

Świadomy swej innej zupełnie odpowiedzialności przed nowym Prezydentem, Hopkins sporządził tym razem wyjątkowo dokładne sprawozdania. Na bez mała 30 stronach druku zawierają one niemal wyłącznie protokoły rozmów ze Stalinem, odbytych od 26 maja do 6 czerwca. Należało by je zacytować w całości: stanowią bowiem przekrój wyrazisty taktyki i środków Stalina, a zarazem najgłębsze może nam znane obniżenie siły i samowiedzy amerykańskiej w dziedzinie polityki zagranicznej.

Jedynym sensem misji Hopkins'a, w zgodzie z taktyką ministrów zachodnich w San Francisco, byłoby ostrzeżenie: że farbowane lisy nie mają kursu w Stanach Zjednoczonych; że opinia amerykańska została wystawiona na próbę cierpliwości, zarówno przez fałszywą interpretację postanowień trzech mocarstw, jak przez areztowanie szesnastu przywódców polskich; że więc Sowiety, kontynuując swą grę, narażają nie tylko zamierzoną organizację międzynarodową, ale przede wszystkim godzą w przyszłość własnych swoich stosunków z Ameryką.

Ze strzępów późniejszych wypowiedzi Hopkins'a należy wnosić, że taki był może jego zamiar i że na tym zapewne mu-

5) Na podstawie osobistej relacji gen. Sikorskiego w rozmowie z autorem, w ostatnich dniach czerwca 1943 w Beirucie.

6) Kandydaturę Hopkinsa na wyjazd do Moskwy postawili Sherwood i Bohlen, poparli ją zaś u prezydenta Trumana Harriman, ówczesny ambasador przy rządzie sowieckim. Odsunięcie Hopkinsa od spraw publicznych musiało mieć, poza zdrowiem, inne jeszcze powody, które pozostają niewyjaśnione.

siały polegać nieznane nam, otrzymane w Waszyngtonie instrukcje. Jednakże Stalin nie dał mu czasu ani sposobności do wykonania takich zamierzeń czy poleceń, lecz od razu przeszedł do ataku. Nieporozumienia w sprawie polskiej przypisał "brytyjskim konserwatystom", zamierzającym na miejsce Polski "przyjaznej dla Rosji" wznosić "cordon sanitaire" przeciw Rosji; zaś na zapytanie, co "go niepokoi" w stosunkach amerykańsko-sowieckich, odpowiedział długą listą własnych swoich pretensyj. Była tam mowa i o zaproszeniu Argentyny do San Francisco, i o odszkodowaniach niemieckich, i o wstrzymaniu Lend-Lease'u, i o podziale floty nieprzyjacielskiej; a wśród wszystkich tych pretensyj, jak gdyby mimochodem, znalazła się i Polska.

— W Jałcie, mówił Stalin, zgodzono się na to, że istniejący rząd polski będzie zrekonstruowany, skąd każdy człowiek ze zdrowym sensem musiał wyciągnąć wniosek... że obecny rząd ma stanowić podstawę dla nowego. Żadne inne rozumienie układu jałtańskiego nie jest możliwe. — To stwierdziwszy, Stalin przeszedł do groźby. Pomimo że "Rosjanie to naród prosty, nie są oni idiotami, za jakich Zachód mylnie ich bierze, ani nie są tak ślepi, aby nie widzieć, co się przed ich oczami dzieje. Prawdą jest, że Rosjanie są cierpliwi tam, gdzie o wspólną sprawę chodzi, ale ich cierpliwość ma swoje granice".

W ten prosty sposób role zostały odwrócone. Hopkins, jak się okazało, nie po to przybył do Moskwy, aby sformułować zarzuty i postawić żądania, lecz po to, aby wysłuchać protensyj i bronić postępowania Ameryki. Zachowała się kartka, na której zapisywał on w czasie dyskusji ze Stalinem własne punkty; czytamy tam: "żadnych zobowiązań w stosunku do Polski... żadnego kordonu sanitarnego... żadnej opozycji co do jakiegokolwiek rządu jakiego by sobie życzyli Polacy, z warunkiem aby to nie był rząd przeciwny Związkowi Sowieckiemu...". A na wstępie własnego przedstawienia sprawy polskiej stwierdza, zgodnie z redagowanym przezeń protokołem: "kwestia polska sama przez się nie jest tak ważna jak fakt, że stała się symbolem naszej zdolności do współpracy ze Związkiem Sowieckim... My nie mamy żadnych specjalnych zainteresowań w stosunku do Polski...".

Tym szeregiem zaprzeczeń i wykrętów Hopkins przegrał z góry całą sprawę. Polska, będąca obiektem głównym planowań sowieckich, była więc rzeczą bez znaczenia dla polityki Stanów Zjednoczonych, sprawą drugorzewną, ważącą tyle jedynie, co zmienne nastroje opinii publicznej, dla których Stalin odczuwał najgłębszą pogardę. Nawet bezczelna stalinowska interpretacja formuły jałtańskiej nie wywołała zastrzeżeń, tym mniej sprzeciwu. Można więc było się nie gniewać, nie grozić: należało się tylko ułożyć. Co do "rządu jedności narodowej" — ograniczyć koncesje do kooptacji czterech do komitetu lubelskiego oraz do przyjęcia Mikołajczyka, dość już złamanego, aby przestał być niebezpiecznym. Co do "swobód" demokratycz-

nych i wyborów — ostentacyjnie zgodzić się na zasady, ale zastrzec, że "w pełni" mogą być zastosowane jedynie w czasie pokoju, a i wtedy z "pewnymi zastrzeżeniami". Co do szesnastu przywódców polskich wreszcie — obiecać "wyrozumiałość", ale "ci ludzie sądzeni być muszą" ⁷⁾. Na tym wyczerpała się interwencja Hopkins'a w sprawach polskich. Stalin już więcej nie wspominał o innych swoich "pretensjach", wymienionych jedynie jako przedmiot przetargu: natomiast stał się konkretny i dokładny co do przyrzeczonej już własnej interwencji wojennej przeciw Japonii; obiecał pomóc do "unifikacji Chin pod wodzą Cziang-Kai-Szeka i gwarantował integralność Mandżurii i Sinkiangu, oraz respektowanie "chińskiego suwerenitetu". W gruncie rzeczy więc powtórzył się targ jałtański: Polskę sprzedano za udział Sowieców w wojnie na Dalekim Wschodzie, za rzekomą "całość" i "wolność" Chin.

Gdy Hopkins ujawnił obojętność Ameryki dla losów Polski, Stalin wyczuł całą słabość swego partnera i użył tak charakterystycznego dlań taktycznego chwytu. Zdaje się, że nie sprawa mu większej satysfakcji, jak gardzić i poniewierać, chętnie przeto wypróbowuje łatwowierność, brak orientacji, brak charakteru u tych, z kim ma do czynienia. Z tego powodu warto jest zanalizować metodę zastosowaną przez władzę sowieckiego w bezpośredniej odpowiedzi na łamańce i wykręty Hopkins'a.

"Dziwne się wydać może, zaczął Stalin, — jakkolwiek zdaje się być uznane w Stanach Zjednoczonych, a i Churchill uznał to w swych mowach — iż rząd sowiecki życzy sobie Polski przyjacielskiej..."

Naturalnie, mogło to wydać się dziwne, gdyby było prawdziwe. W istocie, nazwa "przyjacielski" oznaczała, w języku Stalina, podwładny, lenny. Zsyłanie się na uznanie tego przez Stany Zjednoczone, a nawet Churchill'a, stanowiło żyrowanie własnego przestępczego zamiaru podpisem cudzym.

"W przeciągu ostatnich dwudziestu pięciu lat, ciągnął Stalin, Niemcy dwukrotnie najechały na Rosję poprzez Polskę... Niemcy zdołały tego dokonać dlatego, że Polska była uważana za część kordonu sanitarnego wokół Związku Sowieckiego, oraz dlatego, że dawniejsza polityka europejska wymagała, aby rządy w Polsce były wrogię Rosji..."

W ciągu trzydziestu, a nie 25 "ostatnich lat", zaszły istotnie dwa najazdy niemieckie na terytorium państwa rosyjskiego, wzgl. sowieckiego. W czasie pierwszego z tych najazdów, w

7) Sprawa "szesnastu" została poruszona w najpoufniejszej rozmowie 31. I.: Hopkins powołał się na "ujemne wrażenie spowodowane w Ameryce uwięzieniem szesnastu Polaków w Polsce(?), specjalnie tych, co byli oskarżeni tylko o posiadanie nielegalnego radia... Wyłożyłem jasno, że nie mówię o tych, którym się zarzuca poważniejsze zbrodnie..." Stalin odpowiedział, że "nie zamierza uwolnić oskarżonych o posiadanie radia... Z informacji jakie on posiada, a jakich nie znamy wynika, że trudnili się oni akcją dywersyjną..." Zakończył gwałtownymi zarzutami pod adresem Rządu polskiego w Londynie i Churchill'a.

1915-16, nie było ani państwa ani rządu polskiego, gdyż Polska była w niewoli, podzielona między Niemcy a Rosję i jako część Rosji najechna. Nie było też "kordonu sanitarnego wokół Związku Sowieckiego", bo nie było jeszcze tego Związku: przeciwnie, istniało ze strony całej Europy, a w szczególności ze strony Niemiec, pełne uznanie zaborów rosyjskich w Polsce. Drugi najazd niemiecki na Rosję nastąpił w 1941, w półtora roku po ponownym rozbiórce Polski między Niemcami Hitlera a Związkiem Sowieckim Stalina. Nie był on skutkiem rządów w Polsce "wrogię Rosji", ani "kordonu sanitarnego wokół Związku Sowieckiego", lecz następstwem bezpośrednim porozumienia tego Związku z Niemcami, mocą którego zlikwidowana została Polska, ten, jak się wyraził wówczas obrazowo Mołotow, "bękart Traktatu Wersalskiego", sojusznik Anglii przeciw Niemcom.

"W tych okolicznościach, konkludował Stalin, Polska była albo zbyt słaba by się przeciwstawić Niemcom, albo pozwoliła Niemcom przejść. W ten sposób posłużyła za korytarz dla niemieckich napaści na Rosję... Słabość i wrogość Polski była źródłem wielkiej słabości dla Zw. Sow. i pozwoliła Niemcom robić co chcieli na Wschodzie, a w konsekwencji i na Zachodzie, gdyż te obydwie są ze sobą związane..."

Otóż od czasu, gdy Polska stała się znów niepodległą i dopóki nią pozostała, nie była dla nikogo "korytarzem". I tylko wtedy, gdy znajdowała się pod jarzmem rosyjsko-niemieckim, lub gdy z powrotem pod jarzmo to została, z czynną pomocą Stalina, podbita, stawała się ona bezwolnym polem cudzych bitew, czy "korytarzem" dla przechodzących, niemieckich, rosyjskich czy sowieckich napastniczych wojsk. Napaść niemiecka na Rosję następowała tylko wtedy, gdy istniała wspólna, niemiecko-rosyjska granica. Wpuściła zaś Niemców do Polski i pomogła im w 1939 Rosja sowiecka; a także i wcześniej jeszcze, w końcu 1918, próbowali przepuścić Niemców przez Polskę, w ich drodze z Ukrainy do Prus, nie kto inny jak bolszewicy.

Tyle o powiedzeniach Stalina powiedzieć by mogła obiektywna historia. Cóż jednak Hopkins? — Spisał on nabożnie wszystkie te bzdury i kłamstwa i ani jednym nawet słowem nie zaznacza, że się im sprzeciwił, albo że je wykpił. Stalin osiągnął więc w pełni swój cel: sponiewierał i poniżył tego "osobistego przedstawiciela Prezydenta"; przyłapał go na nieuctwie i braku odwagi; od tej chwili mógł weń wmawiać co chciał i popchnąć ku decyzjom, jakie sam wyznaczył. Zresztą, nie było w tych doniosłych negocjacjach ani protokołów wspólnie redagowanych, ani zobowiązań na piśmie: przecież były to zawsze te same "przyjacielskie rozmowy", choćby na ich słowie lub akcencie zawisł los narodów.

Spytać się więc godzi: czy było to tylko nieuctwo? brak właściwego poziomu dla tak odpowiedzialnych i doniosłych misyj? czy może, podobnie jak w Jałcie, stan zdrowia, upadek sił

u przeżartego chorobą raka człowieka? — Historia tych ponurych czasów kryje w sobie jeszcze wiele zagadek i zadowolić się musi na razie zestawieniem dotychczas znanych faktów i tekstów. Można więc zauważyć, że Hopkins od pierwszej chwili, od czasu gdy, narażając się nie tylko na niewygody, lecz na prawdziwe niebezpieczeństwa, w lecie 1941 polecał przez Murmańsk do Moskwy, był entuzjastą Sowietów i gorliwym poplecznikiem ich interesów. W rozmowach ze Stalinem od razu przeliczył piękne, ale słowne obietnice Churchill'a, składając konkretne oferty, przyjmując listę zamówień na dostawy, nie żądając niczego wzamian. On jak się zdaje przyczynił się potem do fałszywego straszenia pokojem separatywnym sowiecko-niemieckim. On omoł Churchill'a pajęczyną swych starań o względy Rosji, pozorami porozumień amerykańsko-sowieckich poza plecami Anglii. On wreszcie pilnował, jak nikt inny, spraw i interesów Rosji w Teheranie i w Jafcie. Należał, jak wspomina mimochodem Sherwood, do grupy lewicowo zorientowanych polityków w sferach Waszyngtonu. Można zauważyć, że w całej tysiąc-stronniczej książce o Hopkins'ie nie jest wspomniane ani razu imię Algera Hiss'a, którego zawrotna kariera w 1945 nie mogła ująć uwadze powiernika Roosevelt'a i którego stanowisko jako sekretarza generalnego Konferencji w San Francisco musiało wpłynąć na przebieg wypadków majowych i na misję do Moskwy.

Historia tych dni kryje więc jeszcze wiele zagadek. Definitywny sąd o misji w Moskwie będzie możliwy dopiero, gdy opublikowane zostaną owe "tomy depeš", krzyżujących się wówczas między Moskwą, Londynem a Waszyngtonem. Na stosunek wzajemny Stalina i Churchill'a rzuca światło zapewne jaskrawsze dalsze tomy "Drugiej Wojny"; tymczasem zwraca uwagę, z notat Hopkins'a, nietajona nienawiść sowieckiego wodza do "konserwatystów brytyjskich" i do Premiera, na dwa miesiące przed wyborami. Nienawiść posuwa się do otwartych pogróżek. 31 maja, w najpoufniejszej rozmowie, w obecności jedynie tłumacza Pawłowa, Stalin wybuchnął: "nie zamierzam pozwolić Anglikom na rozporządzanie się w sprawach polskich, do czego właśnie zdradzają pretensję... Skłonny jestem zrobić wszystko co mogę, aby wydobyć Churchill'a z fałszywej sytuacji, bo jeśli i kiedy wszystkie dowody zostaną ogłoszone, będzie to bardzo źle wyglądać dla Brytyjczyków, a nie chciałbym sytuacji czynić jeszcze gorszą, niż jest w istocie..."

Książka Sherwood'a pisana jest z namaszczeniem i Hopkins wygląda w niej prawie na bohatera. A szkoda, gdyż jak wiemy ze świadectwa Ciechanowskiego, był to człowiek cyniczny. Nic mu nie przystoi mniej, niż patos lub sędziowska toga. Lubił sprawy bolesne parować dowcipem — sztuka w polityce nader niebezpieczna, jeśli nie towarzyszą jej głębsze zrozumienie i żywsze odczucie.

Michał SOKOLNICKI.

Prasa w literaturze

Parę miesięcy temu, i prawie jednocześnie, duży dom wydawniczy paryski René Julliard wypuścił na rynek dwie powieści autorów francuskich bliźniaczo do siebie podobne. Są to: Gérard Boutelleau "Ventriloques" i Jacques Robert "Les dents longues". Książki te są zdumiewająco słabe, nafaszerowane irtujac wytartymi obrazami (szczególnie książka Boutelleau) i na próżno szukać w nich będziemy jakiejś oryginalnej i interesująco narysowanej sylwetki psychologicznej. Powieść Jacques Robert ma jednak przynajmniej tę dodatnią stronę, że akcja jej toczy się wartko i że nie brak w niej scen o mocnym napięciu. Ale nie będziemy zastanawiać się dłużej nad niedociągnięciami tych dwu utworów. Nie w tym bowiem leży sedno pewnego zagadnienia, które sprawia, że mimo wszystkich braków i słabizn, książkom tym kilka słów warto poświęcić. Zagadnienie to polega na poruszonej przez powieści te tematyce. Podobieństwo ich w tym zakresie jest tak uderzające, że mimo woli nasuwa się podejrzenie jakiejś cichej umowy między autorami, jakiegoś tajnego między nimi porozumienia. Ponieważ jednak tego rodzaju umowy — jak to logika konstrukcji stosunków między ludźmi wykazuje i jak to udowadnia wiadome nam wszystkim pełne zażartej ambicji poszukiwanie autorów za własnym tematem — są teoretycznie i praktycznie niemożliwe, stajemy wobec tego w obliczu jedynie prawdopodobnej hipotezy, że pewien układ współczesnej i aktualnej rzeczywistości stwarza tak silny nacisk na pisarzy, iż nieomal gromadnie naciskowi temu ulegają. Przyjmując hipotezę tę za słuszną powieści obu wyżej wymienionych autorów stają się od razu interesujące.

Poruszona w książkach Boutelleau i Robert tematyka — to sprawa stosunków w prasie francuskiej po wojnie. Ścisłej mówiąc — to postawienie zagadnienia walki z jej korupcją, tajnymi, nieuczciwymi machinacjami zakulisowymi, jej niewolą w rękach klik partii, z jej podporządkowaniem rozgrywkom personalnym, z jej bezzilą w stosunku do narzucanych decyzji rządowych. W obu książkach autorzy rysują nam sylwetki młodych, uczciwie i bezkompromisowo nastawionych chłopców, którzy z całym zapalem i szlachetną naiwnością rzucają się w wir pracy dziennikarskiej. Pragną oni tę pracę swą oprzeć na rzetelnym widzeniu rzeczywistości, na uczciwym jej odmalowywaniu. Pierwsze zwycięstwa i triumfy w tej tak godnej pozazdrośczenia karierze dostarczają im radosnych i odurzających zawrotów głowy. Lecz potem, powoli, prawie niespostrzeżenie wciągnięci zostają w nieubłagane tryby toczących się

BOUTELLEAU Gérard, *Ventriloques*. Str. 305, Ed. Julliard, 1950, frs. 390.

ROBERT Jacques, *Les dents longues*. Str. 284, Ed. Julliard, 1950, frs. 420.

gdzieś w górze i poza ich plecami rozgrywek, zepchnięci zostają na drogę odstępstw od ich zasad, poddani kłopotliwym walkom wewnętrznym. Z walk tych wychodzą pokonani. Ich perypetii, skomplikowanych wydarzeń, całej sieci intryg, w które zostają wplątani, tragicznych rozczarowań — opisywać tutaj nie sposób. Zresztą nie jest to istotne. Ważne jest to, że ci chłopcy, których dominantą charakteru jest tęsknota za ściwie zostają pokonani. W tym podobieństwie ujęcia powojennych stosunków polityczno-prasowych francuskich przez dwu autorów, w tym przyznaniu się do bezsilności, jest coś znamienne. Widocznie pełen goręczy nacisk rzeczywistości w tym względzie jest tak silny.

Książki Boutelleau i Jacques Robert są przesiąknięte zawieszonym smutkiem ludzi, którzy pokładali nadzieję, że wewnętrzne stosunki w prasie francuskiej, jej rola i wpływ ulegną zmianie po wojnie i po uwolnieniu, którzy tej zmiany pragnęli i którzy mechanicznym powrotem do wszystkich niedomagań, nieuczciwości i zaprzędania rozczarowali się głęboko.

J. URSYN.

Résumé des principaux articles parus dans ce numéro :

CAPITULATION OU LIBERATION

Le souci dominant de la politique occidentale est la sauvegarde de la paix, d'où la recherche d'un compromis avec l'Union Soviétique sur la base du partage du monde en des sphères d'influence et de la co-existence pacifique de deux systèmes opposés.

La tendance dominante de la politique soviétique est d'arriver par tous les moyens à la domination du monde et à l'organisation de celui-ci sur la base de la doctrine marxiste dans son expression stalinienne.

Aucun compromis n'est possible entre ces deux tendances.

La méconnaissance du but véritable que poursuivent les dirigeants de Moscou, explique toutes les fautes et les défaites subies par l'Occident depuis la débâcle de l'Allemagne, et surtout l'impardonnable bévue du désarmement, le lendemain de la victoire sur l'Allemagne.

Le revirement de la politique occidentale, surtout celle des Etats-Unis, accéléré depuis les événements de Corée, est susceptible de niveler dans deux années à venir, la disproportion catastrophique entre le potentiel militaire des deux partis adverses.

La supériorité des Etats-Unis en armes scientifiques, surtout son stock de bombes atomiques, oblige l'U.R.S.S. à réfléchir avant de se décider à déclencher l'irréparable et peut-être même à l'éviter. Mais la partie est loin d'être résolue, l'U.R.S.S. ayant toutes les raisons de compter sur les profondes divergences et contradictions internes, et sur l'absence de conception politique générale du monde occidental. Si cette conception se limite à la négociation d'un compromis reconnaissant le partage du monde en deux sphères d'influence, la partie sera gagnée à plus ou moins longue échéance par l'Union Soviétique. Celle-ci ne peut renoncer à sa marche vers la domination du monde, car elle y est poussée par deux causes profondes, intimement liées l'une à l'autre :

1°) l'universalisme doctrinal du communisme,

2°) le dynamisme expressionniste de l'espace russe qui s'est formé dans des conditions géographiques et historiques, peu connues du monde occidental.

La politique de réarmement dans laquelle une partie encore libre du monde s'est engagée au prix de lourds sacrifices économiques et de renoncements sociaux, peut donner des résultats positifs, à condition d'être éclairée par une idée directrice à la mesure de la situation, et exerçant une attraction sur l'ensemble de l'humanité.

Cette idée ne peut être autre que l'effacement décisif des causes de l'inquiétude générale. Il existe deux causes primordiales qui déterminent cette inquiétude et le sentiment général d'insécurité :

La première consiste en le développement des moyens scientifiques de la guerre, des deux côtés du rideau de fer. La seconde est l'expansionnisme soviétique imprégné du dynamisme impérialiste, propre à l'espace russe, qui date depuis l'asservissement par la Russie tsariste des peuples et des pays limitrophes.

Si l'Occident refuse de capituler devant l'expansionnisme russo-soviétique, il n'a d'autre moyen d'atteindre son but, que de résoudre ces deux problèmes, autrement dit, après avoir formé la force militaire adéquate, imposer la paix totale.

L'idée de cette décision capitale devrait se composer de trois éléments :
 1° — le contrôle par l'internationalisation de l'énergie atomique et de tous les autres moyens scientifiques de guerre.

2° — la limitation territoriale de l'espace russe à sa propre expression géographique, dont les frontières occidentales européennes sont les mêmes que les limites occidentales et méridionales du plateau russe.

3° — l'intégration progressive du monde par la voie des fédérations régionales, parmi lesquelles l'organisation de l'espace compris entre la ligne Oder-Neisse-Sudètes et les limites du plateau russe, en un ou plusieurs organismes fédérés, s'impose comme élément qui pourrait exclure à la fois la renaissance de l'expansionnisme allemand, et russe.

La libération de cette région amènera à la communauté européenne plusieurs nations actuellement asservies, qui totalisent une population d'au moins 160 millions et des richesses économiques immenses.

Certaines parmi ces nations, comme les trois pays baltes, la Pologne, l'ancienne Tchécoslovaquie, la Hongrie, la Roumanie et la Bulgarie, ont perdu leur indépendance seulement à la suite de la dernière guerre. D'autres, comme les républiques du Caucase, l'Ukraine et la Biélorussie, souffrent l'oppression russe depuis la fin du XVIII^e siècle, mais gardent toujours l'espoir de recouvrer leur liberté.

La défense du statu quo, comme idéal, même si ce statu quo devrait être plus ou moins corrigé, amènera le monde libre inévitablement vers une capitulation par la défaite ou par la décomposition. C'est seulement la libération du monde des causes du mal, qui peut assurer la paix et le bonheur de l'humanité. L'instrument qu'on commence à forger devrait servir cette solution.

LA POÉSIE ET LA DIALECTIQUE

L'auteur donne un aperçu des discussions au sujet de la poésie qui prennent place aujourd'hui en Pologne. Leur importance doit être comparée à celle des débats théologiques au Moyen-Âge, car le domaine des questions esthétiques, si difficile à contrôler, permet de discuter les problèmes fondamentaux de la philosophie.

Les attaques dirigées en 1949 par les critiques de Moscou contre l'impressionnisme français peuvent servir d'illustration à ce qu'il faut entendre par l'attitude dialectique vis-à-vis des beaux-arts. Les experts de Moscou tachaient de prouver que l'impressionnisme français était, au point de vue artistique, inférieur à la peinture réaliste russe de la fin du XIX^e siècle. L'auteur regarde cette opinion comme juste du point de vue dialectique. Le même raisonnement appliqué à la poésie crée un nouveau genre de poésie, « la poésie du réalisme socialiste ». Les débats sur la poésie qui se déroulent en Pologne sont une attaque masquée contre la dialectique matérialiste. Entre la poésie (et l'art en général) et la dialectique, il y a, d'après l'auteur, une antinomie inéluctable. Le dialecticien prétend qu'en partant de la contradiction des concepts il démontre en même temps la contradiction des phénomènes. Le poète le soupçonne d'opérer avec des cartes fausses qu'il sort de sa manche : il l'accuse de commencer par créer des concepts et ensuite de présenter les contradictions dans les concepts comme des contradictions dans les phénomènes. La poésie est capable d'approcher la réalité, mais la dialectique le lui défend, elle lui prescrit de se nourrir de faits stérilisés par les maîtres de la dialectique.

Ce débat entre la poésie et la dialectique est d'une importance capitale parce que le poète qui se soumet à la dialectique se résigne à abandonner tout effort d'examiner les faits de façon indépendante. Les civilisations basées sur le travail forcé ne deviennent possibles que le jour où les poètes, enfin convaincus de la justesse de la dialectique, consentent à écrire des « déclarations » qui ne sont que des éditoriaux de la presse quotidienne.

En plus le numéro contient une étude de W. Zylinski sur la liquidation de l'Eglise Uniate ou Gréco-Catholique par les Soviets dans toute l'Europe Centrale (en Pologne, en Roumanie, en Hongrie et en Slovaquie). J. Kaminski analyse le dernier recensement de la population en Pologne (de janvier 1951) et constate une amélioration très nette de la situation démographique polonaise. Al. Bregman, le publiciste polonais de Londres bien connu, analyse la politique polonaise de M. Ernest Bevin.

Dans la partie littéraire le lecteur trouvera un conte de Joseph Mackieffiz intitulé « La ballade du matelot », la fin du « Trans-Atlantique » de W. Gombrowicz, une correspondance littéraire de Suède et du Danemark de Edouard Roditi, un poème de Wacław Iwaniuk intitulé « L'après-midi de la nuit ».

La chronique de l'émigration en Allemagne donne de nouveaux détails et de nombreuses preuves de la scandaleuse et pataude administration de l'O.I.R.

En conclusion le numéro contient de nouveaux documents sur la résistance polonaise au courant de la dernière guerre et des notes sur quelques livres (Robert E. Sherwood : « Le mémorial de Roosevelt » ; Gérard Bouteau : « Ventriloques » ; Jacques Robert : « Les dents longues »).

PREUVES

Cahiers Mensuels du Congrès
pour la Liberté de la Culture

*défend l'indépendance spirituelle de l'homme
partout où elle est menacée.*

Le numéro de 32 pages, illustré 30 fr.
Abonnement annuel : France 300 fr.
Etranger 450 fr.

PREUVES : 41, avenue Montaigne — PARIS (8^e)

Téléphone : ELY 56-61 et 63 — C.C.P. : 17.800 Paris.

NUMÉRO SPÉCIMEN SUR DEMANDE.

Listy do Redakcji

Nie mogąc, krok za krokiem, w wywodach p. Wł. Pobóg-Malinowskiego o układzie polsko-rosyjskim z 30. VII. 1941 ("Kultura" Nr 42), pogodzić się z jego sposobem powoływania się na źródła i przytaczania cudzych poglądów, ograniczam się do jednego przykładu.

Oto co przytacza (str. 132) z moich uwag o wyrazie "amnestia" w układzie ("Wiadomości" nr 229):

"Jedyne niebezpieczeństwo byłoby włączeniu z tym wyrażeniem zdradliwego wniosku, że są to obywatele sowieccy, a nie polscy, gdyż amnestii udziela się prawidłowo własnym obywatelom..." "Jakżeż — zapytuje p. Stroński — rząd sowiecki mógłby następnie powoływać się na to, jako na dowód, że dotyczyło to obywateli sowieckich? — nigdy a nigdy to wyrażenie w takim duchu nie zagrało, ani nawet lżej nie brzdękło: było niechlujne, ale bez znaczenia prawnego i bez złych następstw".

W środku opuszczenie zaznaczone trzema kropkami, pomijając już to, że w pierwszym zadaniu i w innych miejscach są opuszczenia w ogóle nie zaznaczone a dostosowane do opuszczenia głównego.

Wynik: w ogóle nie wiadomo dlaczego twierdzą, że to nie było niebezpieczne i nie mogło mieć złych następstw, czyli jedynym celem takiego przytoczenia jest wskazanie czytelnikowi, że gadam nie wiadomo co.

A oto całość tego ustępu z podkreśleniem części opuszczonych:

"Jedyne niebezpieczeństwo byłoby włączeniu z tym wyrażeniem — jak wówczas twierdzili niektórzy przeciwnicy umowy — zdradliwego wniosku, że są to obywatele sowieccy a nie polscy, gdyż amnestii — mówili — udziela się prawidłowo własnym obywatelom. Polegało to, dość zabawnie, na niezdolności, w zaciętrzewieniu, przeczytania pięciu wyrazów razem, zamiast wyrwywania z nich jednego: "... udziela amnestii wszystkim obywatelom polskim..."

Wiem tu powiedziano najwyraźniej, że właśnie obywatelom polskim. Jakże rząd sowiecki mógłby następnie powoływać się na to jako na dowód, że dotyczyło to obywateli sowieckich? Nigdy a nigdy to wyrażenie w takim duchu nie zagrało ani nawet najlżej nie brzdękło.

Było niechlujne (już w brzmieniu rosyjskim), ale bez znaczenia prawnego i bez złych następstw".

Czytelnik nie dowiedział się więc z tego wielce osobliwego przytoczenia z kropkami i z opuszczeniami bez kropek rzeczy istotnej: rząd sowiecki oświadczył w umowie, że amnestii udziela obywatelom polskim, więc oczywiście nie mógł nigdy twierdzić, że sowieckim, czyli że skutki wyrażenia "amnestia" nie istniały.

Jako dziennikarz, pisarz i pracownik naukowy stwierdzam, że taki sposób prowadzenia sporów i przytaczania poglądów przeciwnych nie przynosi ani pożytku ani chluby naszemu dziejopisarstwu w zakresie zdarzeń współczesnych.

Lecz p. Pobóg-Malinowski dołącza do tego jeszcze zarzut, że mylne jest moje twierdzenie, iż rząd sowiecki nigdy nie mógł powołać się na tę amnestię z umowy:

"Myli się jednak pan prof. Stroński i świetna jego pamięć w tym wypadku nie dopisuje mu wyraźnie. Przypomnę mu więc o nocy jaką dnia 16 stycznia r. 1943 otrzymał rząd polski: (tu przytoczenie noty czy z noty). Nota ta została wręczona rządowi polskiemu i przesłana do wiadomości wszystkim innym rządów sojusznicy. Rząd polski notę sowiecką odrzucił i powiadomił o tym również wszystkie rządy sojusznice. A pan Stroński o tym zapomniał".

Muszę się naprzód przysiąc, że jest gorzej niż żebym tylko zapomniał, gdyż ani nigdy nie słyszałem o takiej nocy, ani, sam pracując w źródłach, nigdy się na nią nie natknąłem. Owszem, znam oczywiście podstawową notę sowiecką do Rządu Polskiego z 16 stycz-

nia 1943, powołującą się na tzw. głosowanie ludności z listopada 1939 w sprawie przynależności wschodnich ziem Rzpltej zajętych przez Rosję do ZSRR, ale w niej słowa nie ma o amnestii. Co więcej, nie tylko mnie nie jest taka nota znana, ale również nie jest znana pełnemu zbiorowi dokumentów polsko-sowieckich z okresu od września 1939 do kwietnia 1943 zestawionemu w MSZ, ani też urzędowemu wydaniu polskiemu w Waszyngtonie dokumentów polsko-sowieckich 1918 - 43. W tym stanie rzeczy nie mnie teraz przypada głos, lecz p. Pobóg-Malinowskiemu, do odpowiedzi na pytanie:

— Co to jest za nota sowiecka, wręczona rządowi polskiemu 16 stycznia 1943 i przesłana innym rządów wówczas sojusznicy, w której powiedziano o amnestii to co p. Pobóg-Malinowski przytacza?

Pytanie to stawiam nie półgębkiem, lecz bardzo natarczywie. Nic a nic nie wiem o takiej nocy z 16 stycznia 1943 czy choćby nawet z innej daty, ani mi ten dokument w samym brzmieniu swym nie wygląda na ujęcie zwykłe w notach sowieckich. Ale nie jestem wszechwiedzący i trzeba sprawdzić. Więc niech się okaże czy to ja pobrażdziłem czy jest inaczej. Żądam odpowiedzi na postawione pytanie.

A oto co p. Pobóg-Malinowski przytacza z tej, jak mówi, noty sowieckiej, uzasadniającej jako obowiązującą granicę z r. 1940 (Ribbentrop-Mołotow) włączającą ziemie wschodnie Rzpltej do ZSRR.

... w układzie z dn. 30 lipca r. 1941 rząd polski uznał to stanowisko za słuszne, wyrażając swoją zgodę na udzielenie przez rząd ZSRR amnestii byłym obywatelom Polski. Zdaniem rządu ZSRR przyjęcie w układzie z 30. VII. 1941 terminu "amnestia" całkowicie uzasadnia w sensie prawnym stanowisko ZSRR w sprawie linii granicznej, bowiem żadne państwo nie może udzielać amnestii obywatelom innego państwa".

I teraz rozstrzygające zestawienie:

W układzie z 30. VII. 41: "Rząd Sowiecki udziela amnestii wszystkim obywatelom polskim".

W nocy (rzekomej) z 16. I. 43: "udzielenie przez rząd ZSRR amnestii byłym obywatelom Polski".

Czyli w umowie z r. 1941 rząd sowiecki uważa uwiecznionych w zajętej przez Rosję Polsce wschodniej, których ma zwolnić, za obywateli polskich, a gdy później chce zmienić swe stanowisko musi fałszować brzmienie umowy przez dodanie: byliych.

Zamiast uznać to oczywiście fałszerstwo w dokumencie, który przytacza, za jeszcze jeden dowód słuszności stanowiska polskiego, p. Pobóg-Malinowski przyjmuje sam i innym do przyjmowania podaje fałszerstwo to jako dobrą monetę i powołuje się na nie dla uzasadnienia stanowiska rosyjskiego.

Oto dokąd wiedzie nieprzytomna zapalczywość w szatkach niby źródłowego dziejopisarstwa.

Stanisław STROŃSKI.

Rzym,
57 Viale Quattro Venti
13 maja 1951.

Szanowny Panie Redaktorze,

Wczoraj otrzymałem nr 5/43 "Kultury", zawierający mą recenzję o książce Fitzroy Macleana pt.: "Eastern Approaches".

Z wielkim zdziwieniem zauważyłem iż umieszczono bez porozumienia ze mną tytuł recenzji — zamiast tytułu książki (jak to napisałem).

Pragnę stwierdzić, iż tytuł "Perfidny Albion" nie został przeze mnie napisany.

Poza tym przenoszenie krytyki postępowania poszczególnych jedno-
na krytykę całego wielkiego narodu jest zdaniem moim postępowaniem
błędym.

Wreszcie, obecnie gdy chodzi o ratowanie kultury zachodniej przed
zagładą wydaje mi się, iż nawet uzasadnione żale wzajemne w ro-
dzinie narodów zachodnich winny być redukowane, a nie podsycane.

Proszę Pana Redaktora o przyjęcie wyrazów
mego szacunku i poważania

Emeryk CZAPSKI.

"ORZEŁ BIAŁY"

TYGODNIK POLITYCZNO-LITERACKI
WYDAWCA: GRYF PUBLICATIONS LTD.

169/171, Battersea Church Road, London S.W.11
Tel. BATTERSEA 0879

ADRES REDAKCJI: c/o R. PIETRZYŃSKI,
32 Blenheim Gardens — London N.W.2

Przedstawicielstwa w Austrii, Belgii, Francji, Holandii, Norwegii, Szwajcarii,
Szwecji, Włoszech, Argentynie, Kanadzie, Libanie, Pld. Afryce, St. Zjednocz.

■ CENA EGZEMPLARZA:

WE FRANCJI: 25 franków fr. — W BELGII: 5 franków belg.
W WIELKIEJ BRYTANII: 1/-

■ PRENUMERATA:

WE FRANCJI: miesięcznie 100 fr. fr.; kwartalnie 300 fr. fr.
W BELGII: miesięcznie 20 fr. belg., kwartalnie 60 fr. belgijskich.
W WIELKIEJ BRYTANII: miesięcznie 4/4, kwartalnie 12/-,
rocznie 45/-.

■ PRENUMERATĘ PRZYJMUJĄ:

WE FRANCJI: Libella, 12, rue St. Louis en l'Île, — Paris IVe,
nr konta pocztowego Paris cc 565.150.

W BELGII: J. Roskiewicz, 44, rue Vinçotte — Bruxelles,
nr konta pocztowego 3172.28.

W ARGENTYNIE: Składnica Książki Polskiej, Av. Leandro
N. Alem. 641, Buenos Aires.

OGŁOSZENIA: (za 1 cal przez 1 łam = £ 1)

przyjmują przedstawicielstwa «Orla Białego»,
na terenie zaś W. Brytanii wyłącznie firma

CARLTON BERRY LTD.,

Grand Buildings, Trafalgar Sq., LONDON W.C.2.

Wydawca: EDITION ET LIBRAIRIE « LIBELLA »

12, rue St-Louis en l'Île, Paris (IVe)

Directeur-gérant: M^{me} Christiane Karasiewicz.

Dépôt légal: 2^e trimestre 1951.

KULTURA

pod redakcją Jerzego Giedroycia

Adres Redakcji: 1, Avenue Corneille, Maisons-Laffitte (Seine-et-Oise).
Telefon: Maisons Laffitte (S.-et-O.) 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA

FRANCJA: «Libella», 12, rue St-Louis-en-l'Île,
Paris IVe
W. BRYTANIA: «Gryf» Publications Ltd., 169/
171, Battersea Church Road, London, S.W.11.
WŁOCHY: Jan Grochowski, 81, via della Croce,
Roma
SZWECJA: Red. Norbert Żaba, Kallskärsgatan
3/IV, Stockholm
NIEMCY: «Ostatnie Wiadomości», 17a, Mann-
heim-Sandhofen, 4094 LSCO Schöna, U.S. Zone
ARGENTYNA: Tadeusz Dąbrowski, «Składnica
Książki Polskiej», Av. Leandro N. Alem 641,
Buenos Aires
KANADA: Books and Newspapers Agency, H. R.
Radomski, 83, Front St. E., Toronto/Ont.
U.S.A.: Na stan New York: W. Bienkowski, «Gryf
Publ.», 808, Wager St., Utica, N.Y. Na stan
Illinois: Józef Białasiewicz, 1165 Milwaukee
Ave., Chicago 22, Ill. Na stan California: L.
Dudarew-Ossetyński, 28471 Ventura Boulevard,
Agoura, California. Na stan Michigan: Kazi-
mierz Trojanowski, 6042 Jos. Campau, Detroit
11, Mich. Na stany Ohio, New Jersey, Pennsyl-
vania, Indiana, Wisconsin, Florida, Virginia i
West Virginia: Chrystian M. Kretowicz, 1828
Glenwood Ave, Toledo 2, Ohio. Na pozostałe
stany: M. K. Dziewanowski, 27 Aberdeen Ave,
Cambridge, Mass.
BELGIA I KONGO BELG.: Marie Christ, Janta-
Polczyńska, 24, Grande Rue au Bois, Bruxelles,
3. Konto Chèque Postal 244 113 — Bruxelles.
AFRYKA POŁUDNIOWA: Janusz Kruszyński, 71,
Raglan Street, Sydenham, Johannesburg
AUSTRALIA: «Vistula» (Australia) PTY, Ltd.,
77, Pitt Street, Sydney
BRAZYLIA: Prenumeraty przyjmują: Julia Bar-
cińska, r. Erasmo Braga 227 s. 214, Rio de Ja-
neiro, oraz Zofia Kietlińska, Av. Batel 1514,
Curitiba, Parana

Egz. poj.

Prenumerata

	½-rocznia	Rocznia
120 fr.	770 fr.	1440 fr.
3 sh.	16 sh.	39 sh.
200 lir	1200 lir	2000 lir
2,50 kr.	12 kor.	22 kor.
2,50 DM	15 DM	25 DM
6 peso	36 peso	72 peso
75 cent.	4 dol.	6 dol.
75 cent.	4 dol.	6 dol.
25 bfr.	120 bfr.	210 bfr.
3 sh.	16 sh.	30 sh.
4 sh.(a.)	£A1.0.3.	£A1.18.0.
15 cruz	90 cruz	150 cruz

W krajach niewymienionych prenumeratę liczymy tak jak we Francji,
doliczając na koszty porta 180 frs półrocznie i 360 frs rocznie.

Koszta przesyłki pojedynczego numeru: 30 fr. fr.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na
adres: Jerzy GIEDROYC, 1, Av. Corneille, Maisons-Laffitte (S.-et-O.).

Redaktor przyjmuje po uprzednim porozumieniu się
listowym lub telefonicznym

Redakcja KULTURY rękopisy nadesłane a nie zamówione zwraca
jedynie przy załączeniu znaczków pocztowych na porto

KULTURA omawia w pierwszym rzędzie książki i czasopisma
nadsyłane do redakcji w 2-ch egzemplarzach

Cena ogłoszeń: cała strona 10.000 fr.; ½ strony 6.000 fr. fr.

Cena niezależności

Zgodnie z zapowiedzią prenumerata «Kultury» zostanie podwyższona z dniem 1 lipca 1951 i wynosić będzie w poszczególnych krajach:

W. Brytania i kraje bloku sterlingowego:

rocznie: f. szt. 2.00.00; półrocz. f. szt. 1.00.00.
Nr pojedynczy 3 sh. 9 d.; nr podwójny 6 sh.

Francja i kolonie francuskie:

rocznie: 1.800 fr.; półrocznie: 900 fr. Nr pojedynczy: 150 fr., nr podwójny 250 fr.

Włochy:

rocznie: 2.500 lir.; półrocznie: 1500 lir. Nr pojedynczy: 250 lir.; nr podwójny: 375 lir.

Szwecja:

rocznie: 28 kor. szw.; półrocznie: 15 kor. szw.
Nr pojedynczy: 3 kor. szw.; podwójny: 5,50 kor. szw.

Szwajcaria:

rocznie: 22 fr. szw.; półrocznie: 12 fr. szw.
Nr pojedynczy: 2 fr. szw.; nr podwójny 3 fr. szw.

Belgia i Kongo belgijskie:

rocznie: 260 fr.b.; półrocznie: 145 fr.b. Nr pojedynczy: 30 fr.b.; nr podwójny: 45 fr.b.

Z powodu nowej podwyżki kosztów ekspedycji i porta, wynoszących obecnie 30 fr. od jednego egzemplarza, zmuszeni byliśmy podwyższyć koszty prenumeraty również w Belgii, Szwajcarii i Szwecji.

Podwyżka nie dotyczy prenumerat już opłaconych ani prenumerat, które wpłyną przed 1 lipca 1951. Zwiększenie ilości prenumeratorów zabezpiecza bowiem byt i niezależność pisma.

Cena 120 frs.